

STRATEGIA I TAKTYKA POLITYKA

Jarosław Gowin – konserwatysta mainstreamowy



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 18/423 4–9 MAJA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Imigranci z Ukrainy – szansa czy zagrożenie dla Polski?



ODSŁANIAMY KULISY ROZMÓW
PRYMASA WYSZYŃSKIEGO Z GIERKIEM

Ziemkiewicz o lewicy
i molestowaniu seksualnym

HOMOHEREZJA NA ZACHODZIE

Biskupi w Niemczech, Austrii i Szwajcarii,
mimo zakazu Watykanu, deklarują,
że błogosławią związki homoseksualne



Na zdjęciu: Biskup Georg Bätzing,
przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 57,3 tys. egzemplarzy



18 >



PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto kogo ograł

Na pierwszy rzut oka sprawa jest jasna. To premier Mateusz Morawiecki, a może raczej stojący za nim prezes Jarosław Kaczyński, odnieśli wielki sukces.

Trudno inaczej patrzeć na ogłoszony przez szefa rządu plan porozumienia z lewicą, dzięki któremu Sejm zapewne przyjmie wynegocjowaną w Brukseli umowę i Polska będzie mogła skorzystać z 770 mld zł. Wprawdzie partia Biedronia i Czarzastego osiągnęła aprobatę dla swoich postulatów – m.in. dla budowy 75 tys. tanich mieszkań na wynajem oraz przeznaczenie 2,2 mld zł na szpitale powiatowe – ale politycznie najwięcej, może się wydawać, zyskuje premier.

Faktycznie, nakłonienie lewicy do poparcia wynegocjowanej w Brukseli umowy to swego rodzaju majstersztyk. Ci, którzy do niedawna atakowali wszelkie posunięcia władzy, nagle stali się gwarantami jej prawomocności. Nic lepiej nie obrazuje tego stanu wewnętrznego rozbicia niż dramatyczne wpisy Joanny Szczepkowskiej: „Je.ąc PiS? Lewico, jeśli to jest jeb.nie, to nic nie wiesz o seksie”. Nie mniej historycznie zareagowały liderki Strajku Kobiet, na czele z Martą Lempart: „Ogłaszamy krótko: wóz albo

przewóz. Doba na ogarnięcie się albo zaczynamy ogólnopolską akcję wybijania głupoty z głowy Lewicy”. Nie wiem do końca, na czym ogólnopolska akcja wybijania będzie polegać, ale same już groźby i szantaże godne są uwagi. Zagubiona jest też główna siła opozycyjna, czyli Koalicja Obywatelska. Borys Budka robi wrażenie, jakby uszło z niego powietrze, i miota się od ściany do ściany, to oskarżając Lewicę o zdradę, to atakując ślepo (nic nowego pod słońcem) rząd. Gdyby miarą, która wystarcza do oceny skuteczności działań politycznych, były emocje opozycji, porozumienie PiS z Lewicą byłoby ruchem mistrzowskim. Są wkurzeni i rozbici. Czego więcej potrzeba do szczęścia?

Tyle że stan uczuć opozycji to miara niewystarczająca. Żeby ocenić należycie, kto kogo ograł, należy sięgnąć do podstawowych założeń obu ugrupowań z przeszłości. Otóż nie da się ukryć, że w 2015 r. to PiS obiecywał obronę suwerenności Polski i to Zjednoczona Prawica twierdziła, że będzie sprzeciwiać się dalszej federalizacji Europy, podczas gdy to Lewica była i jest najbardziej profederacyjną siłą w Sejmie. Kto zatem pozostał na swoim stanowisku, a kto je zmienił? Przyjmując Fundusz Odbudowy Unii, Polska zgadza się na to, że nasze państwo będzie gwarantem długów zaciągniętych przez całą Unię. Nie jest to niczym innym jak właśnie wprowadzanym tylnymi drzwiami systemem europejskiego państwa federalnego.

Podobnie jeszcze w zeszłym roku to politycy rządzącej większości twierdzili, że nie wolno zgodzić się na zasadę „pieniądze za praworządność”, bo jej przyjęcie, co oczywiste, w niedługim czasie doprowadzi do praktycznej

likwidacji polskiej suwerenności. Tymczasem to lewica, łącznie z innymi partiami opozycyjnymi, domagała się wówczas wprowadzenia tej zasady, słusznie uważając, że jej akceptacja otwiera drogę do szybkiej rewolucji kulturowej w Polsce. Bez jasnej definicji „praworządność” będzie tym, za co uznają ją brukselscy komisarze. Mając w ręku tak silne narzędzie nacisku – możliwość wstrzymywania funduszy w zależności od tego, czy Polska będzie, czy też nie realizować zasady „praworządności” – Komisja Europejska będzie zatem mogła wpływać na zmianę polskiego prawa, tożsamości kulturowej i obyczajowości. O tym, że tak będzie, mówili przedstawiciele Unii, a przewodnicząca Komisji Ursula von der Leyen wyraźnie powiedziała, jaki jest jej plan: „Kto jest rodzicem w jednym państwie Unii, będzie rodzicem w każdym innym”, co oznacza uznanie „małżeństw” homoseksualnych i praw par jedнопłciowych do adopcji dzieci – horrendum, przed którym na razie Polska skutecznie się broniła.

Dlatego mimo szczerych chęci nie jestem się w stanie cieszyć. W tej sprawie raczej zdają się mieć rację ci, którzy – tak jak lider Solidarnej Polski Zbigniew Ziobro – wskazują na zagrożenia. Niezależnie od tego, czy owe 770 mld zł (w ciągu kilku lat) to złote góry, jak to przedstawia rząd, czy też bardziej zabieg księgowy, jak twierdzą niektórzy krytycy, efektem przyjęcia Funduszu będzie osłabienie polskiej suwerenności. Od tej pory każdy następny polski rząd będzie miał jeszcze bardziej skrupowane ręce i jeszcze trudniej będzie mu bronić interesów polskiego narodu w zderzeniu z Brukselą. ©

RYСУNEK TYGODNIA

Śledztwo w sprawie upadku Ikara trwa





TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ CHMIELEWSKI
GŁOSICIELE ZŁEJ NOWINY
Rewolucja zamiast Ewangelii

18 WOJCIECH GOŁONKA
RENEANS TRADYCJI?

KRAJ

22 ROZMOWA Z BARTŁOJEM WRÓBLEWSKIM
**POZAKONSTYTUCYJNE
STANY NADZWYŻAJNE
BUDZĄ LICZNE WĄTPLIWOŚCI**
Nie będzie żadnej rewolucji

26 KAMILA BARANOWSKA
MARZENIE O DEPISYZACJI

28 JAN FIEDORCZUK
KONSERWATYSTA MAINSTREAMOWY

30 TOMASZ ROWIŃSKI
CZY NAWROCKI ZOSTANIE SZEFEK IPN?

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
INTEGROWAĆ UKRAIŃCÓW

34 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”
**GDAŃSK PRZESIAKNIĘTY
TRADYCJĄ KRESOWĄ**

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
NAUKA W WAKACJE?

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MŁOT NA INKWIZYTORÓW

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
AWANTURY PO ŚMIERCI

KULTURA

42 JERZY MIZIOŁEK
NAPOLEON I POLACY
Ślad cesarza

46 PIOTR GOCIEK
WYZNANIA ŁGARZY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ŁUKASZ WARZECHA
NOWY PODZIAŁ POLSKI
„Do Rzeczy” szykanowane za okładkę

56 JANUSZ KORWIN-MIKKE
**NIE WYSTARCZYŁOBY
NIE KRAŚĆ**

58 MARIAN PIŁKA
BIAŁORUSKIE WYZWANIE

HISTORIA

60 RAFAŁ ŁATKA
SPOTKANIA NA SZCZYCIE
Kościół w PRL

ŚWIAT

66 WITOLD REPETOWICZ
**KONIEC
RÓWNIEŻ NASZEJ WOJNY**
Porażka misji w Afganistanie?

68 PIOTR WŁOCZYK
WYROK NA FILM

EKONOMIA

72 JAKUB WOZIŃSKI
**INFLACYJNY
RACHUNEK ZA PANDEMIE**
Dlaczego wszystko drożeje

O ZDROWIU

76 ROZMOWA
Z PROF. PAWEŁEM BOGDAŃSKIM
OTYŁOŚĆ I 200 POWIKŁAŃ
Choroba otyłościowa

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (64), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (78), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Ciejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Leniewicz, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torasiński,
Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk,
Jakub Woźniński, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk, Paweł Zdziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółka** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Thomas Lohnes/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,3 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Pocztę elektroniczną do redakcji
prosimy kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

Ocenili czasopismo po okładce

Z dużym niesmakiem przyglądałem się
reakcji na okładkę ostatniego numeru
„Do Rzeczy”, która zdaniem wielu
komentatorów miała „dawać pożywkę”
osobom wierzącym w teorie spiskowe.
Zarzuty te w większości przypadków nie
odnosiły się do treści artykułu „Nieświęte
wojny Billa Gatesa” autorstwa
Wojciecha Golonki, natomiast stanowiły
one powód do wysnuwania teorii, jakoby
celem poprzedniej „jedynki” tygodnika
było zasianie niepokoju wśród Polaków
czy nawet zniechęcenie ich do szczepień.
Tego typu nieuzasadnione zarzuty
uanościliśmy nam, że w dzisiejszych
czasach bardzo łatwo jest wysuwać
wymagowane oskarżenia,
niebędące zarazem merytorycznym
odniesieniem się do konkretnego tematu
lub problemu. O wiele prościej jest
bowiem przypuścić atak, podnosząc
nieuprawnione skądinąd zarzuty, niż
zastanawiać się, dlaczego wizjoner
z branży IT stał się wyrocznią w sprawie
pandemii. Co ciekawe, większość
krytycznych opinii pojawiła się ze
strony środowiska, które przecież tak
często głosi hasła o wolności słowa
i mediów, szacunku oraz swobodnej
wymianie poglądów. Niestety opisywana
sytuacja uświadomiła nam, że niektóre
osoby zamiast rzeczowo polemizować,
ograniczają się tylko do oceniania
czasopism po okładce...

Adam Wąsikowski

Hausmüll, Hausmüll über alles...

Najmilsze Panie, Szanowni Panowie!
Ostatnio jest wiele krzyku o horrendalne
ceny śmieci. Ceny cenami, ja zaś chciał-
bym podrzucić moje rozważania w tym
temacie, którymi ktoś bardziej kompe-
tentny niż ja mógłby się ewentualnie
zająć. Otóż:

1. ŻADEN „mieszkaniec” NIE
WYTWARZA ŚMIECI! Śmieci wytwarzają
PRODUCENCI. A „mieszkaniec” MUSI
te śmieci najpierw kupić, potem
posortować i wyrzucić, a za to
WSZYSTKO musi ZAPŁAĆ! A jeszcze się
nasłuchać, jakim to on jest sukinysem,

który „produkuje” TYŁE śmieci*.
:o((((Dla jasności: producenci wody
mineralnej nie produkują WODY! Oni
produkują miliardy plastikowych
butelek. Czyli setki ton ŚMIECI
właśnie. Na których to śmieciach
oni zarabiają, a ja nie mam żadnej
możliwości, żeby kupienia tych śmieci
uniknąć. Notabene za moich młodych
lat chodziłem do mleczarni po mleko,
śmietanę czy maślanek z BAŃKA, do
której pani ekspedientka nalewała
mi rzeczono mleko z wielkiej konwi.
Później chodziłem do tejże mleczarni
ze szklanymi butelkami na wymianę.
Dzisiaj MUSZĘ do każdej porcji mleka
dokupić (i zapłacić, bo przecież nikt
mi tego nie daje w prezencie) kartonik
z tektury i plastiku. Czyli ŚMIEĆ
właśnie. Dawniej pigułki w aptece były
w szklanych, zakręcanych buteleczkach,
które można było potem albo do czegoś
używać, albo sprzedać jako surowiec,
bo były punkty skupu szkła. Dzisiaj
prawie wszystkie tabletki są pakowane
w plastikowe blistry, najczęściej o wiele
większe od samej zawartości. I tak dalej,
i tak dalej.

2. Firmy utylizujące śmieci też
zarabiają (!) na tym miliony. Ostatnio
znalazłem w necie (money.pl) taki tekst:
„Największe czynne wysypisko w Polsce
(w Myślborzu) zajmuje 78 ha. Prowadzi
je Eko-Mysł, należąca do Sirius Finance
z Luksemburga. W 2018 r. Eko-Mysł
miała 38 mln zł przychodów i 5,6 mln zł
zysku netto. Rok wcześniej 37 mln zł przy-
chodów dało aż 11,2 mln zł zysku netto.
Rentowność godna pozazdroszczenia”.

W związku z powyższymi faktami
zrodziło się u mnie pytanie: Jaka jest
w ogóle PRAWNA podstawa do pobiera-
nia ODE MNIE opłat za wywóz i utyli-
zację śmieci, na których przecież inne
podmioty zarabiają krocie? I nie, nie
piszcie mi, że prawem kaduka, bo tyle to
i sam wiem. Zadałem to pytanie zarzą-
dowi miasta Warszawy. Jako jedyną
odповідź przysłano mi – po tygodniach
– cennik z aktualnymi cenami za wywóz
śmieci w Warszawie. No cóż, TAKIE są
MOJE możliwości. [...]

Pozdrawiam
Jerzy Zborucki

* Jest to moim zdaniem „dorabianie
gęby” (podobnie jak w przypadku 447)
„paskudnego śmieciucha” którego,
naturalnie, trzeba godnie ukarać za
to jego śmiecenie.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Referendum **bezpieki**

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Posiadający większość w KRN komuniści wyznaczyli w końcu na 30 czerwca 1946 r. substytut wyborów w postaci referendum nad trzema pytaniami dotyczącymi ustroju kraju. Pytanie nr 1 głosiło: „Czy jesteś za zniesieniem Senatu?”. Pytanie nr 2 brzmiało: „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?”. I wreszcie pytanie nr 3 sformułowano: „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?”.

Pytania nie odnosiły się do żadnego istotnego sporu. Mniejsza już z tym, że pytanie nr 3 nie odnosiło się do leżących

na północy Warmii i Mazur. Ważniejsze było to, że żadna z legalnie istniejących partii nie negowała ani nacjonalizacji wielkiego przemysłu, ani reformy rolnej, ani granic zachodnich. Pytania komuniści zbudowali tak, aby postawić PSL w ciężkiej sytuacji – ludowcy zawsze byli za zniesieniem Senatu. Jednak Mikołajczyk wiedział, że musi odróżnić się od tzw. bloku demokratycznego, czyli PPR i jego wasali z Polskiej Partii Socjalistycznej, ze Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Ludowego. Dlatego ogłosił, że PSL wzywa do odpowiedzi „nie” na pierwsze pytanie. Polacy w mig pojęli, że poparcie istnienia Senatu będzie faktycznie referendum sprzeciwu wobec komunistów. Barbara Różycka, która doskonale pamięta ówczesną atmosferę w podwarszawskim Piasecznie, pamięta, jak w gazetach drukowano kartki z numerami.

„Jedynka” oznaczała głosowanie tak, jak chce PSL, a „trójka” głosowanie tak, jak chciał Bierut.

Wszyscy powtarzali popularne wierszyki: „Kto wybierze jedynkę, będzie jadł masło i szynkę, kto wybierze trzy, będzie miał brud i wszy”. Inny slogan ułatwiający wskazania PSL brzmiał: „Tylko kaczką, głupi ptak, kwacze ciągle »tak, tak, tak«. Człowiek mądry wie, co chce, i na pierwsze mówi »nie«”.

Okres dwóch miesięcy przed referendum to jedna wielka fala aresztowań lokalnych działaczy, zawieszania działalności struktur PSL w ogromnej liczbie powiatów na terenie Polski i wreszcie wspomniane już prowokacje UB z podrzucaniem zastrzelonym bojownikom oddziałów leśnych legitymacji PSL, które bezpieczniacy rekwirowali w czasie rewizji lokali ludowców i wykorzystywali potem do mistyfikacji. ©©



RZESZÓW: WYBORY PRZESUNIĘTE

Przedterminowe wybory na prezydenta Rzeszowa, które miały odbyć się 9 maja – w związku z rekomendacją GIS związaną z sytuacją epidemiczną w kraju – mają zostać przesunięte na połowę czerwca. O fotel prezydenta walczą Konrad Fijołek, startujący z KWW Konrada Fijołka Rozwój Rzeszowa 2.0, popierana przez PiS Ewa Leniart, wojewoda podkarpacka startująca z KWW Ewy Leniart Wspólny Dom Rzeszów, związany z Solidarną Polską Marcin Warchoń oraz Grzegorz Braun z KWW Grzegorz Braun – Konfederacja. (jap) ©©



„Piątka dla zdrowia” ministra zdrowia

Wychodzimy z trzeciej fali: spada liczba nie tylko zachorowań, lecz także hospitalizacji i zgonów z powodu COVID-19 – mówi minister zdrowia Adam Niedzielski. I zapowiada „piątkę dla zdrowia”, czyli plan naprawy zdrowia Polaków po pandemii, która negatywnie odbiła się na zdrowiu nie tylko z powodu COVID-19, lecz także ze względu na ograniczenie dostępności do leczenia, zaniedbanie wykonywania badań profilaktycznych i niekorzystne zmiany w stylu życia. Pierwszym krokiem jest stopniowe „przywracanie” do systemu opieki niecovidowej „łóżek covidowych”, co zwiększy możliwość hospitalizacji z innych powodów niż COVID-19 i wykonywania zabiegów planowych. Od początku maja zostaje wycofana rekomendacja NFZ o wstrzymaniu i przesuwaniu zabiegów planowych (nie dotyczyła ona nigdy procedur onkologicznych).

W ramach planu odbudowy zdrowia Polaków osoby, które przeszły COVID-19 i mają po nim powikłania (zwłaszcza dotyczące układu oddechowego), będą mogły skorzystać z rehabilitacji postcovidowej, realizowanej zarówno w szpitalach, uzdrowiskach, jak i w warunkach ambulatoryjnych oraz domowych. Osoby po 40. roku życia będą mogły skorzystać z programu „Profilaktyka 40 plus”: po wypełnieniu ankiety, na podstawie której zostaną zidentyfikowane czynniki ryzyka, zostanie zaproponowany indywidualny pakiet badań profilaktycznych, które będzie można bezpłatnie wykonać. Mają również zostać zlikwidowane limity kontraktów na świadczenia płacone przez NFZ w ramach AOS (ambulatoryjnej opieki specjalistycznej), co powinno ułatwić pacjentom dostęp do specjalistów. Ostatnie dwa punkty „piątki” są związane z poprawą organizacji leczenia. Pilotaż Krajowej Sieci Onkolo-

gicznej, funkcjonujący obecnie w kilku województwach i dotyczący tylko kilku nowotworów, ma zostać rozszerzony na całą Polskę. KSO ma poprawić organizację leczenia nowotworów, spowodować, że pacjent – niezależnie, do jakiego trafi ośrodka – będzie miał taką samą dobrą, koordynowaną opiekę. Podobne rozwiązania mają zacząć funkcjonować w przypadku chorych kardiologicznie. Już wkrótce na Mazowszu ruszy pilotaż Krajowej Sieci Kardiologicznej, która ma zapewnić pacjentom koordynowaną, kompleksową opiekę. KSK będzie stopniowo rozszerzana na całą Polskę. Już wprowadzenie pierwszych programów opieki koordynowanej (KOS-Zawał, czyli program koordynowanej opieki nad chorymi po zawale serca) udowodnił, że sama poprawa organizacji przyczynia się do zmniejszenia śmiertelności pacjentów, którzy czują się też lepiej traktowani. (kp) ©©

Hotele już czekają na gości

Hotelarze w całej Polsce szykują się do ponownego przyjmowania gości. Zgodnie z decyzją ogłoszoną przez premiera Mateusza Morawieckiego zostaną one otwarte 8 maja, chociaż nadal z pewnymi ograniczeniami.

– Dane, które otrzymujemy, dotyczące zakażeń, pozwalają na podjęcie decyzji związanych z odmrażaniem gospodarki. Dają podstawy ostrożnego optymizmu. Ponad 3 tys. osób cały czas walczy o życie na łóżkach respiratorowych. Dane analizujemy z każdego możliwego punktu widzenia. Zgony naszych bliskich to aspekt, na który kładziemy największy nacisk. To, jaka będzie dynamika w kilku podstawowych kryteriach, będzie podstawą do decyzji – mówił premier Morawiecki podczas ubiegłotygodniowej konferencji prasowej.

Zgodnie z decyzją rządu od 8 maja hotele będą funkcjonowały w regule obłożenia 50 proc. Zamknięte będą nadal strefy restauracyjne, wellness oraz spa.

Tydzień później – od 15 maja – będą mogły zostać otwarte ogródki restauracyjne. Od 15 maja znów bę-



dzie też można organizować imprezy okolicznościowe, np. wesela. A jeżeli wskaźnik zakażeń na 100 tys. osób spadnie poniżej 15, to od 15 maja na zewnątrz maseczki nie będą musiały być noszone.

Na pełne wznowienie działalności gastronomii trzeba jednak będzie poczekać co najmniej do 29 maja.

Hotelarze – rozgoryczeni stosunkowo restrykcyjnym podejściem rządu do znoszenia epidemiologicznych ograniczeń – liczą na powrót gości i czekają już na długi weekend w czerwcu, gdy czynne będą już w całości restauracje i strefy spa. Część hotelarzy i ich pracowników zapowiada już jednak pozwy przeciwko rządowi. (jap) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wybór po europejsku

Ze wszystkich krajów „Europy pierwszej prędkości” Holandia jest tym właśnie, który najbardziej rozmiłował się w atakowaniu Polski. Ilekroć tutejsza opozycja zawyje o pomoc w walce z „reżimem”, tylekroć, jak dobrze ułożony ratlerek, odzywa się jakiś Timmermans albo Rutte, albo któryś z ministrów czy deputowanych, by pouczyć Polaków, co to znaczy europejska praworządność, szacunek dla konstytucji (mówiąc nawiasem, w Holandii w ogóle nie ma Trybunału Konstytucyjnego, tamtejsi politycy potrafią nadzorować się sami – tak głęboko mają praworządność we krwi!), no i oczywiście wolność słowa.

Dużo w tym oczywiście kompleksów kraju, który przed wiekami był kolonialnym mocarstwem

i rabował ćwierć świata, a został zredukowany do rozmiarów znaczka pocztowego – ale sporo także wyrachowania. Obaj wspomniani holenderscy politycy nie ukrywali nawet, że kopanie i pouczenie przy każdej okazji Polski traktują jako sposób na zrobienie w strukturach unijnych kariery.

Tymczasem właśnie przyszła z Holandii wiadomość o protestach pracowników prywatnej telewizji AT-5 po zwolnieniu przez właściciela p.o. redaktor naczelnej, Héléne Pronk (już sam fakt, że od pięciu lat kierowała ona stacją jako p.o., a nie naczelna, wiele mówi o stosunkach w niej). Ona sama i jej podwładni twierdzą, że to kara za niezależność i krytykowanie władz. Co rozbijające, szef firmy otwarcie te zarzuty potwier-

dził. W odpowiedzi na protesty wyjaśnił, że stacja co prawda jest prywatna, ale od pewnego czasu jej byt zależy od pieniędzy władz miejskich Amsterdamu. A te są od lat lewicowe. I redaktor naczelny nie może tego obiektywnego uwarunkowania nie przyjmować do wiadomości, a skoro nie przyjmuje – to paszoł won.

Idę o zakład, że ta szczerość dyrektora Alfonsa Martensa spotka się w Europie z pełnym zrozumieniem. Nie będzie pajacowania z czarnymi stronami gazet i ekranami ani darcia szat w europejskich rezolucjach nad „mediami bez wyboru”. Kto płaci, ten wymaga, a płaci ten, to ma kasę. A kasę ma ten, kto rządzi. Czego nie rozumiecie? Wyższa, europejska kultura medialna. © ©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Reforma deformuje

Do pomysłu repolonizacji prasy regionalnej odniosłem się od początku z entuzjazmem. Jako zwolennika kontrrewolucji cieszy mnie każdy dowód, że „nieuchronny” bieg rzeczy można odwrócić i że kraj można uwolnić od „nieodwracalnych” błędów początków lat 90. Na Orlenie tankuję od zawsze, a od kiedy usłyszałem, że prezydent Trzaskowski postanowił koncern bojkotować, tankuję z jeszcze większą satysfakcją. Ale gdy sąd przyjął wniosek rzecznika Bodnara o wstrzymanie repolonizacji, zacząłem się obawiać, że na końcu może nam z niej nie zostać nic prócz chwilowej satysfakcji właśnie.

W przeciwieństwie do repolonizacji mediów nigdy nie byłem zwolennikiem sądowej polityki obecnych władz, ściśle biorąc – jej metod i wykonania. Rozpętanie awantury wokół Trybunału Konstytucyjnego uważałem za skrajną nieodpowiedzialność. Ale konsekwencji tej polityki obawiałem się dopiero po ewentualnej zmianie władzy. Niestety, rzeczywistość bywa jeszcze bardziej bezwzględna niż demokracja, a uzasadnione obawy najczęściej spełniają się szybciej, niż się spodziewamy, i nierzadko w dwójnasób.

Wyrok w sprawie repolonizacji bowiem żadnym wyjątkiem nie był. Podobnych i w innych dziedzinach jest coraz więcej. Katowicki sąd uprawomoc-

nia stalinowski wyrok przeciwko bohaterowi podziemia, płocki legalizuje profanację ikony jasno-górskiej, nowosądecki rozgrzesza antypolską, dezinformacyjną prowokację. Nic nie wskazuje, że ten trend wygasa. Krótko mówiąc – w Roku VI Reformy „dobrze zmienione” sądownictwo orzeka gorzej niż kiedyś. A może to tylko złudzenie? Może niepotrzebnie przejmuję się wyrokami, zapominając, że w najważniejszym wymiarze, wyborczym – im gorsze wyroki, tym mocniejsze pobudzenie elektoratu? W każdym razie wygląda na to, że działa stara dialektyczna teza, iż Układ się umacnia w miarę jego zwalczania. Pytanie więc, kto tak naprawdę na końcu za tę ekscytującą walkę zapłaci. © ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tragedii na Morzu Śródziemnym

Uwybrzeży Libii 24 kwietnia utonęło 130 migrantów, którym libijscy gangsterzy sprzedali sen o świetlanej przyszłości w Europie (kosztuje średnio 2 tys. euro). Zatonęły trzy chybotałowe łódki, którymi handlarze ludzkim towarem wysłali ich na śmierć. Lista odpowiedzialnych jest jednak dłuższa. Ponoć libijska straż przybrzeżna mogła ich uratować, ale tego nie uczyniła.

**Gdyby u wybrzeży
Libii nie było
statków organizacji
pozarządowych,
to nie dochodziłoby
do tragedii**

W tej chwili proceder przewozu migrantów z Libii do Włoch wygląda w ten sposób, że wsadzani są do łodek, które przy dobrej pogodzie mogą ledwie wypłynąć poza libijskie wody terytorialne. Tam czekają już na statki ratunkowe organizacji pozarządowych, którymi docierają do Włoch. 24 kwietnia coś poszło nie tak. Wiele wskazuje na to, że na łódzie czekał „Ocean Viking” międzynarodowej organizacji SOS Méditerranée, ale z nieznanych powodów cztery godziny

przed tragedią popłynął z inną misją ratunkową w kierunku Tunezji.

Zjawisko nazywa się „pull factor”, czyli „czynniki przyciągający”. Statki ratunkowe organizacji pozarządowych stają się w ten sposób niejako współnikami libijskich gangsterów. Gdyby tych statków u wybrzeży Libii nie było, nie dochodziłoby do takich tragedii jak ta z 24 kwietnia. Na te zarzuty organizacje odpowiadają, że ratują ludzi, którzy dotarli do Libii z obszarów wojny i nędzy, i są w nieludzkich warunkach przetrzymywani w libijskich obozach i zaimprovizowanych więzieniach.

Włoski anarchista i zadymiarz, Luca Casarini, stworzył organizację Saving Humans, która wynajęła statek „Mare Ionio” i przystosowała go do akcji ratunkowych. W sierpniu ubiegłego roku mały duński tankowiec „Maersk Etienne” uratował z tonącej łodzi 27 migrantów i popłynął na Maltę. Maltańczycy zwlekali, a Duńczykom się spieszyło. Wówczas podpłynął do nich statek Casariniego. Po dwóch dniach negocjacji handlowych wziął na pokład migrantów i skasował Duńczyków na miłą sumkę 125 tys. euro. I przywiózł ich do Włoch.

Zaraz po ubiciu interesu Casarini wysłał do swojej organizacji SMS: „Jutro pijemy szampana”. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

W trosce o cudze kadry

Jest takie narzędzie na TT, które pokazuje hasła, stwierdzenia, profile, sprawy będące w trendach, czyli jaki temat jest z jakiegoś tam powodu lub powodów najciekawszy dla komentatorów. Jednym z takich dominujących haseł i profili był w minionym Strajk Kobiet. Nie zawsze jednak ten Strajk chwalono, delikatnie rzecz ujmując. Strajk Kobiet zapłonął gniewem, kiedy dowiedział się, że Lewica doszła do porozumienia w sprawie głosowania nad Funduszem Odbudowy. Postawił ten Strajk ultimatum Lewicy, że żadnych porozumień z reżimem, bo jak nie, to... Tu Strajk stracił jednak inicjatywę i nie dość, że nie zapanował strach, to jeszcze sam stał się obiektem kpiny. Twitterowicze nazbyt często odwracali hasło Strajku „Wypierd...ć” w stronę samego Strajku. Cóż, jak widać, wulgarne paliwo wyraźnie się skończyło, a spod szat wojowniczek prześwitują wdzianka błaznów...

Kadry, kadry, kadry. O kadry telewizji Republika postanowiła zadbać „Gazeta Wyborcza”. Znamienity dziennikarz tejże gazety poinformował na TT: „Telewizja Republika ma nowego dyrektora programowego. Produkował twarde narkotyki, napadł na policjanta, kilka lat siedział w więzieniu. Doświadczenie medialne? Redakcja gazetki w zakładzie karnym”. Z tekstu ma wynikać, że postać Witolda Newelicza, bo o nim mowa, nie nadaje się z wymienionych powodów na to stanowisko. Tu jednak pojawiło się na TT wiele pytań i zastrzeżeń do takiego dbania o kadry Republiki przez „GW”. Po pierwsze, jeśli to zły kandydat, to chyba dla „GW” dobrze, bo projektu nie rozwinie. Po drugie, zaczęto w ramach retorsji komentować kadry pracowników i współpracowników samej „GW” w sposób tendencyjny. Wyciągnięto postać redaktora Maleszki, esbeckiego kapusia, który donosił na przyjaciół z opozycji, a mimo tej wiedzy redakcja „GW” dawała mu pracę. Wyciągnięto też Tomasza Piątka, który od czasu do czasu publikuje na łamach „Wyborczej”, choć, jak wszyscy wiedzą, gdyż sam to opisał z detalami – był ciężko uzależniony od heroiny, albo i ciężiej. Dyskutowano również nad wątkiem, czy „GW” pozwala ludziom, którzy zeszli ze złej drogi, na nowe życie, czy też nie pozwala. Chyba pozwala niektórym, a innym to nie. Nie i nie. ©

SHOW MUST GO ON

Mamy nowy konflikt w naszym show-biznesie. Nawet, można by rzec, jest to konflikt zahaczający także o amerykański show-biznes. Zaczęło się od tego, że aktorka Weronika Rosati przy okazji rozdania Oscarów została zapytana przez plotkarski portal Plejada o zeszłoroczny wyczyn Kingi Rusin, której to udało się wbić na oscarowe afterparty i wbrew zasadom zdać z niego relację i zamieścić kilka fotek. Rosati stwierdziła, że takie zachowanie jest niedopuszczalne. Kinga się bardzo tą opinią zezłościła i przywaliła Weronice poniżej pasa. „Nie komentowałam twojej relacji z Herveym Weinsteinem...” – napisała i rozpętało się piekło. Weronikę w obronę wzięły inne celebrytki. „Delikatnie przypomnę, że Harvey Weinstein jest skazanym za gwałty kryminalistą, więc strzelanie w nielubianą koleżankę taką amunicją jest nie do przyjęcia. I nie chodzi tu o znane panie, tylko mechanizm dowalania drugiej kobiecie poniżej pasa. Grubo poniżej” – napisała Paulina Młynarska. Przed używaniem tego typu haków ostrzegła także Karolina Korwin-Piotrowska. „Wyleci z szaf, szafeczek i pawlaczy tona zaśmierdłych i zamierzchłych zdjęć i trupków, wylecą ze wszystkich szaf (a nie wiem, czy wszyscy tego chcą i czy potrzebują)” – ostrzega, dodając, że jest „teamWera”. Można by uznać, że Kindze na mózg rzucił się nadmiar słońca, bo celebrytka od miesięcy wyleguje się na Malediwach. Sęk w tym, że i przed Malediwami nie było lepiej, jeśli idzie o jej światło opinie i komentarze. Więc niestety to nie słońce.

JESTEM GWIAZDĄ, GWIAZDĄ

Konflikt Weroniki z Kingą będzie miał pewnie ciąg dalszy, bo Rosati zapowiedziała, że komentarzem Rusin zajmują się już jej prawnicy. Nas jednak zaintrygował fragment jej wypowiedzi o tym, jak to największe gwiazdy Hollywood mają w USA dobrze, jeśli idzie

o ochronę ich prywatności. – Jeśli jestem na imprezie, na której nie można robić zdjęć, to ich nie robię, a niektóre z nich byłyby naprawdę ciekawe. Po prostu Amerykanie szanują prywatność gwiazd – mówi Rosati. – Tutaj gapienie się na gwiazdę jest postrzegane jako szczyt chamstwa. To jest fajne, bo dzięki temu gwiazdy mają prywatność i namiastkę normalności. Ja to bardzo cenię – dodaje. Ceni sobie jako gwiazda, na którą nikt się tu nie gapi. My dla odmiany cenimy taką szczerość!

JAK TO W RODZINIE

Tymczasem Pola Lis, starsza córka Tomasza Lisa i Kingi Rusin, wyraziła swoje głębokie rozczarowanie zachowaniem Lewicy w sprawie Funduszu Odbudowy. O czym poinformowała na Instagramie. „Próba dogadania się z ludźmi, którzy na każdym kroku podważają wartości konstytucyjne, to przykładanie ręki do dzielenia i rozkradania Polski. Z ludźmi, którzy złodziejstwo, patologię i kłamstwo opanowali do perfekcji, nie siada się do stołu! Ręce opadają...” – napisała córka Kingi Rusin i Tomasza Lisa. I dodała: „Lewica dzisiaj pokazała, że ma gdzieś demokrację w Polsce i wszystkich tych, którzy o tę demokrację na co dzień walczą”. Zwłaszcza tych, którzy walczą na Instagramie. Ewentualnie na Malediwach. Podsumujmy zatem: opinię Tomasza już znamy, oburzenie Hanny Lis także, opinii Kingi Rusin się domyślamy, Pola Lis odhaczona. Czyli czekamy jeszcze na głos Igi Lis. Potem można się rozejść.

HEJ, JESTEM ZNANY!

Niejaki Friz, ponoć najpopularniejszy youtuber w Polsce, ten od lodów, o które się o mało nie pozabijają nastolatki i po których papierki osiągną zawrotne kwoty na portalach aukcyjnych (serio!), został zatrzymany ostatnio przez drogówkę za przekroczenie prędkości. Był bardzo zdziwiony, że policjanci go nie rozpoznali. – Policjanci byli bardzo profesjonalni, pełna kulturka: dzień dobry, przekroczył pan ponad 50 w terenie zabudowanym, ja oczywiście powiedziałem, że rozumiem i się nie zgadzam, i nie przyjmuję mandatu. Ale nie wiedziałem, że prawo zabierają i tak, mimo nieprzyjęcia. W trakcie oczywiście podbiły z trzy grupy widzów, pukając w szybę, pytając o fotę – relacjonował Friz. – To paradoksalnie mogło mnie uratować od mandatu i straty prawka, ale policjanci mnie nie znali XD W takich sytuacjach akurat właśnie widzowie bardziej pomagają, niż przeszkadzają – dodał. Ale żeby potraktować pana Friza z YouTube'a jak zwykłego nołnejma i chcieć mu mandat wlepić?! No wstydu nie mają ci policjanci! ©©



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

FOT. PAMEL GROMADA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż Lewica dogadała się z PiS w sprawie swoich postulatów, w środowiskach Koalicji Obywatelskiej podniosło się słuszne oburzenie, iż jak to tak się dogadywać i iż jest to zdrada ideałów opozycyjnych.

Tym samym środowiska KO murem stanęły za zasadą, iż liczy się, kto

ni PO głosowali tak samo jak radni PiS, o czym informowały zszokowane media. A przecież najważniejsze to dbać o pielegnowanie różnic, już nawet nie o to, iżby różnić się pięknie.

Minister zdrowia zapowiedział, że już w połowie maja nie będzie trzeba nosić maseczek

nie spotkać się z niechęcią ze strony jakiegoś janusza.

A już za dwa tygodnie znów będziemy musieli patrzeć na te złe, zmęczone, szare twarze, które każdego dnia nam będą przypominały o tym, jak wspaniale się w tym kraju mają ksenofobia, rasizm i fashym.

Podobno rekordowo mało osób na całym świecie oglądało w tym roku uroczystość rozdania Oscarów. Z jednej strony to dobra wiadomość, iż Oscar jest wizerunkiem, no może nie białego, ale zapewne heteroseksualnego i jednak mężczyzny.

Naszym zdaniem wręczanie tej statuetki osobom reprezentującym mniejszości może być urągające i traktowane w kategoriach okazywania męskiej supremacji. Aż dziwne, że nikt o tym jeszcze głośno nie mówi.

Z drugiej strony jest to jednak wiadomość zła, iż być może mamy do czynienia ze spadkiem zainteresowania kinem, które może być świetnym narzędziem lewicowej, progresywnej edukacji.

Może więc Hollywood i kino w ogóle powinny pójść w kierunku bardziej progresywnym, nagradzani twórcy powinni mówić jeszcze więcej o ekologii, rasizmie i feminizmie? Przecież to brzmi jak świetny sposób na zachęcenie ludzi do kina :) ☺☺

Tak cię nienawidzę, że załóżę z tobą koalicję!



z kim głosuje, a nie w jakiej sprawie. A jak wiemy, w polskiej polityce jest to niedopuszczalne, iż ważniejsze obowiązuje „kto z kim i kogo” niż „kto i w jakiej sprawie”.

Zresztą o czym my tu mówimy, skoro zdarzało się, iż na szczeblach lokalnych, w jakichś radach gmin czy miast, rad-

na świeżym powietrzu. Jesteśmy w związku z tym pełni obaw, ale nie są one natury epidemicznej.

Otóż nas martwi bardziej to, iż znów będziemy musieli oglądać na ulicach te wszystkie wykrzywione w nienawiści polskie twarze. Teraz wystarczyło unikać kontaktu wzrokowego, aby

PODSŁUCHANE

Herbatka

Przytulnie tu u pana, panie prezesie.

Proszę, pan siądzie, panie Adrianie. A pan tu nie był nigdy u mnie?

Nie miałem okazji.

No, może w przyszłości częściej się tu będziemy spotykać. Herbatki?

Chętnie, poproszę. Myśli pan, że mamy jakąś... by tak rzec... wspólną przyszłość?

Ja nie widzę problemu. Pan młody jest, nieobciążony przeszłością, zresztą nawet jak ktoś jest obciążony, to u nas może być miejsce, jeśli się pokaja odpowiednio. Społecznie, gospodarczo poglądy pan ma bardzo mi bliskie...

No dobrze, ale co zrobimy na przykład z gejowskimi małżeństwami?

Nie ma takiej rury, której... i tak dalej. Pan sobie przeczyta tutaj.

„Wprowadzenie związków partnerskich posłuży zrównaniu szans obywateli, a to było dla nas zawsze bardzo ważne”... Co to jest?!

Gotowiec. Ja mam różne gotowce. Ten będzie grany, jak się dogadamy i zawrzemy kompromis. O, jest pani Basia z herbatką. Słodzi pan? ☺☺

Łukasz Warzecha

FASHYM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

OD RZECZY

„To swoisty pakt Ribbentrop-Mołotow w polskiej polityce”.

RADOŚLAW SIKORSKI, europoseł KO, o tym, że Lewica rozmawiała z rządem, jak wykorzystać środki z UE w ramach Krajowego Planu Odbudowy

Zżycia nadzwyczajnej kasty. Zadzwoń do nas sędzia Waldemar Żurek, żeby wyjaśnić, że co prawda skorzystał z oferty priorytetowych szczepień dla sędziów, ale nie brał udziału w awanturze, która się rozpętała w centrum szczepień przy ul. Galicyjskiej w Krakowie. Przypomnijmy – pisaliśmy o tym, że grupa sędziów wymachując legitymacjami, usiłowała minąć kolejkę, co spotkało się z burzliwą reakcją innych zachowujących się kulturalnie. Napisaaliśmy, że sędzia Żurek zachowywał się kulturalnie. Uściślijmy zatem, że szczepił się indywidualnie, a nie w grupie awanturników.

Okazuje się, że przed nami o awanturkach dowiedział się rzecznik dyscyplinarny. Taki od dyscyplinowania sędziów. Uznał, że wymachiwanie legitymacją sędziowską, by ominąć kolejkę, może naruszać godność sędziego, i wszczął postępowanie. Też do nas dzwonił. Czujemy się docenieni oraz popularni. Przynajmniej w kręgach kasty i antykasty.

Mariusz Kozak-Zagóza, bardziej znany jako Sok z Buraka, został ujawniony jako beneficjent funduszy partyjnych Platformy Łobywatelskiej. O tym media już pisały. Ciekawsze jest to, że był opłacany także w czasie kampanii wyborczej. I to sówiciej niż zazwyczaj. W związku z tym problem: na Soku ukazywały się wtedy materiały, które bez trudu kwalifikują się jako materiały wyborcze. Ale nie były sygnowane jako materiały wyborcze. A przecież jeszcze kampanie wyborcze trzeba opłacać z osobnego funduszu wyborczego. Cóż, czujemy, że pan Mariusz już długo nie pokoczy.

Wkwestii kozaczenia. Trochę się martwimy pomysłem Radka Sknerusa Sikorskiego. Ogłosił, że Unia Europejska powinna stworzyć własny „europejski legion”. Normalny człowiek powiedziałaby „własną armię”, Radek musi po swojemu – to nas nie dziwi. Ale legion już tak. Gdyż pamiętamy, jak Radek w Berlinie wzywał Niemcy do wzięcia większej odpowiedzialności za Europę. Dwa plus dwa jest cztery. Sikorskiemu marzy się Legion Condor?

Radek Sknerus Sikorski w ogóle miał dobry tydzień. I znów sięgniemy w przeszłość. Otóż kiedyś Radek

porównywał do nowego paktu Ribbentrop-Mołotow budowę rurociągu Nord Stream 2. Dziś porównuje do niego porozumienie Lewicy i PiS w sprawie planu odbudowy. Trudno o lepszy dowód na to, jaką atrofią szarych komórek kończy się współpraca z Platformą Łobywatelską.

Tymczasem Lewica triumfuje, a Włodek Sweterek Czarzasty, znany też jako Wielki Przewodniczący Czaa, to cwany gapa. Pomyślcie tylko. Przez ostatnie lata cała ta lewica budziła tyle zainteresowania co postulaty hodowców rukwi wodnej. A teraz nagle za sprawą jednego posunięcia stała się najważniejszym tematem polityki polskiej na miesiąc. Byle agencja PR powie wam, ile baniek warta jest taka promocja brandu w mediach.

Nieobecna przez dłuższy czas Marta Lempart nagle uaktywniła się po sukcesie czerwonych braci, czyli porozumieniu w sprawie funduszu odbudowy. Jak wiadomo, postawiła nawet ultimatum Lewicy. Że jak nie zmienia zdania, to hasło ***** zamieni się w hasło *****. Wiemy, dlaczego Wielki Przewodniczący Czaa nie przejął się zbyt. Otóż zdaje się, że i do niego dotarły wieści o dojrzewaniu Strajku Kobiet do decyzji, żeby wywalić Lempart. Będziemy śledzić z zaintereso-

waniem. Od dawna fascynuje nas historia walk frakcyjnych w łonie czerwonych. A ponieważ jesteśmy ludźmi gołębiego serca, to mamy nadzieję, że Lempart nie skończy z czełkanem w mózgu jak niedyś Trocki.

Zbliża się głosowanie w Senacie nad kandydaturą Bartłomieja Wróblewskiego na rzecznika praw obywatelskich. Z tej okazji tefaueny wysłały zawczasu kamery do Wielkopolski. Specjalni wysłannicy od paru tygodni nagabują wszystkich, którzy mieli w życiu cokolwiek wspólnego z Wróblewskim. Coś nam mówi, że przy Wiertniczej całkiem serio traktują możliwość, że on w tym Senacie jednak przejdzie.

Apropos Senatu. Sprawa głosowania na RPO przynosi tam bardziej dewastujące zdrowie skutki niż pandemia koronawirusa. Skarżą nam się senatorowie Eine Totaloposition, że boją się wziąć choćby paru dni L4, żeby nie wyszło potem, że przez nieobecność umożliwili wybór Wróblewskiego. Chorują więc na nielegalu, w ciszy i z godnością. Lepsze to niż hejt, jaki wyprawili tolerancyjne media liberalne radnemu Wojciechowi Kałuży, gdy wsparł PiS w śląskim sejmiku.

Żli ludzie kpią z Borysława Budki i z gdańskiej dulczessy Dulkiwicz. Wszystko dlatego, że wspierając kampanię kandydata na prezydenta Rzeszowa, mówili, iż chcą zmienić na lepsze Wrocław. My nie szycimy. My rozumiemy. Widzicie, Wrocław to leże Grzegorza Skorpionia Schetyny, czyhającego ponownie na fotel szefa Peło. Borysław myśli o nim obsesyjnie, cały czas. Jak go zabierzecie do Salt Lake City, to też będzie mówił: „Ale ładny ten Wrocław”.

Komunikaty i ogłoszenia. Kongres PiS w drugiej połowie czerwca? Pisaliśmy o tym dwa miesiące temu. Przesunięcie ogłoszenia Nowego Ładu na maj? Pisaliśmy o tym miesiąc temu. Pozdrawiamy media polskie, dziękujemy wiewiórkom. Przy okazji – jak widzicie, potwierdziło się także nasze info sprzed tygodnia, że rząd wpuści kibiców na stadiony, żeby nie musieć tłumaczyć potem, dlaczego działacze się mogą spotkać na kongresie, a kibice na stadionie już nie. Teraz pora na żużel. ©©

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Już za tydzień w „Do Rzeczy” dodatek



Partner dodatku



eprasa.pl e392e076fe



Paweł Chmielewski

W Kościele katolickim w Niemczech, Austrii i Szwajcarii wypowiedziano posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej. Mimo wyraźnego zakazu Watykanu biskupi z tych krajów deklarują, że błogosławią i będą błogosławić związki gejowskie

Głosiciele złej

Kongregacja Nauki Wiary, najważniejszy urząd Watykanu ds. doktryny, wydała 15 marca niewielki dokument poświęcony przede wszystkim problematyce duszpasterstwa wobec par jedнопłciowych. Tekst zatytułowany „Responsum ad dubium Kongregacji Nauki Wiary odnośnie do udzielania błogosławieństwa związkom osób tej samej płci” wywołał prawdziwą burzę, choć jego treść jest – wydawałoby się – zupełnie oczywista. Stolica Apostolska przypomniiała, że w Kościele katolickim – zgodnie z Pismem Świętym i nauczaniem soborów oraz papieży – nie można błogosławić żadnych relacji międzyludzkich, które są obiektywnie grzeszne. To oznacza, że żaden kapłan nie ma prawa uczynić tego względem np. związku homoseksualnego albo związku rozwodników. Człowieka zawsze można pobłogosławić, ale już nie jego nieuporządkowany moralnie sposób życia. Pod dokumentem złożył podpis prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Luis Ladaria Ferrer, a papież Franciszek wyraził zgodę na jego publikację.

Pismo z Watykanu jest w istocie upomnieniem skierowanym do tych duchownych i świeckich, którzy twierdzą, że nauczanie Kościoła w omawianym aspekcie się zestarzało i powinno zostać uzupełnione o ocenę współczesnej nauki, tak by najrozmaitsze relacje intymne poza małżeństwem oceniać raczej jako neutralne lub nawet pozytywne, a już w żadnym razie nie jako bez wyjątku grzeszne. Takie głosy rozlegają się najsilniej w Niemczech, Austrii i Szwajcarii (choć nie tylko tam je słychać). W ocenie większości tamtejszych biskupów, księży i świeckich należy jak najszybciej zmienić doktrynę i praktykę duszpasterską tak, by otworzyć się na idee rewolucji seksualnej 1968 r. i ideologię LGBT. To miałyby uratować Kościół przed spychaniem na margines i pomóc mu odzyskać utracone wskutek nadużyć seksualnych zaufanie. Niemieckojęzyczni moderniści sądzą, że nauczanie Kościoła, tak jak stoi w Katechizmie, głęboko rani osoby w związkach pozamałżeńskich i jedнопłciowych.

Dokument Kongregacji Nauki Wiary w teorii powinien przywrócić porządek i doprowadzić do sytuacji, w której przy najmniej kardynałowie, biskupi i księża zaprzestaną głoszenia tez niezgodnych z nauczaniem Kościoła.

Niestety, Watykan po raz kolejny okazał się być bezzębnym tygrysem. Ryknął

nowiny

Wprawdzie dosadnie, ale wzbudził tym głównie zażenowanie lub co najwyżej pełną pogardę irytację. W krajach niemieckojęzycznych nikt nie ma zamiaru zmieniać swojego stanowiska i przemawiać się „staroświeckimi opiniami Rzymu”. Publikacja dokumentu przyniosła w efekcie okopanie się przez progresistów na wcześniejszych pozycjach, a miejscami nawet radykalną eskalację buntowniczych i wrogich wobec papieżstwa nastrojów.

GŁOSY ANTYZRZYMSKIEGO BUNTU

Zakaz przypomniany przez Kongregację najmniejsze poruszenie spośród trójki wspomnianych państw wywołał chyba w Szwajcarii. To prosta konsekwencja faktu, że w tym kraju tęczowa rewolucja niemal całkowicie przesiąknęła Kościół. W odpowiedzi na dokument Stolicy Apostolskiej przewodniczący Episkopatu bp Felix Gmür z Bazylei zaświerkał na Twitterze krótko, lecz treściwie: „Watykański zakaz błogosławienia par homoseksualnych jest zgodny z tradycyjnym nauczaniem. Teologia i duszpasterstwo muszą jednak rozwijać się dalej także w tym obszarze. Właśnie temu służy nasze tęczowe duszpasterstwo”. Jego zastępca, bp Markus Büchel z Sankt Gallen, nie raczył nawet osobiście skomentować sprawy. Przekazał tylko przez jednego ze swoich urzędników, że „rzymski dokument” nic nie zmienia w jego opinii, którą wyraził w mediach w 2015 r. Wówczas hierarcha wyznał, że raduje go „każdy związek” oparty na wzajemnym poszanowaniu.

Do sytuacji z pogranicza groteski doszło w Chur. To diecezja, która jako jedyna w Szwajcarii przez całe lata stawiała opór modernistycznej rewolucji. Biskup Vitus Huonder i jego poprzednicy trzymali się dość wiernie doktryny katolickiej. Jednak bp Huonder przeszedł na emeryturę, a papież Franciszek nowym ordynariuszem Chur uczynił ks. Josepha Bonnemaina, członka Opus Dei związanego z liberalnymi środowiskami Zurychu. Hierarcha zaledwie kilka dni po swoim ingresie skomentował w lokalnych mediach całą kontrowersję. Stwierdził, że jemu błogosławienie par homoseksualnych zasadniczo nie przeszkadza i jeżeli w jego diecezji jakiś kapłan będzie chciał takiego błogosławieństwa udzielać, to on trudności robić nie zamierza.

Głośniejsze lamenty popłynęły z Austrii. W tym kraju z jednej strony istnieje nieco większy niż w Szwajcarii konserwatywny

opór, a z drugiej austriaccy biskupi bliżej niż Szwajcarzy współpracują z Niemcami w dziele globalnej rewolucji eklesjalnej, stąd silnie zależy im na umocowaniu modernistycznych zmian nie tylko w praktyce, lecz także w prawie kościelnym.

Największy medialny rozgłos zyskało wystąpienie byłego przewodniczącego Episkopatu Austrii, arcybiskupa Wiednia kard. Christopha Schönborna, tego samego, któremu papież Franciszek powierzył w 2016 r. prezentację kontrowersyjnej adhortacji posynodalnej „Amoris laetitia”. Purpurat w rozmowie z własnymi mediami archidiecezjalnymi jednoznacznie odrzucił dokument Kongregacji. Stwierdził, że Kościół nie powinien nikomu odmawiać błogosławieństwa, a pary homoseksualne, chociaż nie wypełniają katolickiego ideału, żyją przecież „na swój sposób na gruncie ludzkich cnót”. Stąd w jego ocenie należy rozważyć udzielanie im liturgicznego błogosławieństwa.

za „innovacyjnym” rozwiązaniem opowiedział się za to bp Hermann Glettler, który z racji piastowania urzędu ordynariusza Innsbrucka nosi dumny tytuł prymasa Germanii. Hierarcha ten, wybrany na biskupa przez papieża w 2017 r., uznał, że skoro Watykan zakazał księżom błogosławić pary gejowskie, to na razie powinni to robić zastępczo członkowie rodzin homoseksualistów, organizując domowe liturgie słowa. Według niego „zniewagą” (sic!) jest powiedzieć homoseksualistom, że żyją w sposób nieprawidłowy. Głosy kard. Schönborna i bp. Glettlera odzwierciedlają austriacką opinio communis. Dość powiedzieć, że obecny przewodniczący Episkopatu Austrii, arcybiskup Salzburga Franz Lackner, już w 2015 r. zlecił dwóm teologom opracowanie książki, która przedstawia konkretną i ugruntowaną w modernistycznej teologii propozycję błogosławienia związków jednopłciowych...

To wszystko jednak niewiele w porównaniu z reakcjami duchownych i świeckich w Niemczech. W tym kraju watykańskie „nie” wywołało największą wściekłość. Przewodniczący Episkopatu bp Georg Bätzing uznał decyzję Stolicy Apostolskiej za wyraz przestarzałego myślenia. „Moim zdaniem trzeba inaczej oceniać homoseksualizm i związki partnerskie poza małżeństwem. [...] Nie możemy już dzisiaj wychodzić tylko od prawa natury, ale musimy myśleć o wiele bardziej w kategoriach wzajemnej troski i odpowiedzialności za siebie. [...] Musimy zająć stanowisko wobec

tego pragnienia. Potrzebujemy intensywniej wymiany myśli. [...] Od dawna mamy już do czynienia z rozwojem duszpasterstwa, które wykracza poza to. A to oznacza, że nadchodzi zmiana” – powiedział mediom. Podobne opinie wygłosiło kilku jeszcze niemieckich biskupów. Niektórzy zadeklarowali, że w ich diecezjach, niezależnie od „opinii” głoszonych w Rzymie, wolno błogosławić związki gejowskie oraz lesbijskie i żadnemu kapłanowi nie grożą za to sankcje. Zrobił tak np. biskup z Essen, Franz-Josef Overbeck, jedna z czołowych figur Synodu Amazońskiego.

Największe emocje wywołują jednak nie słowa tego czy innego hierarchy, ale konkrety – a tych doprawdy nie brakuje. Wkrótce po ogłoszeniu przez Kongregację dokumentu, na wieżach wielu niemieckich kościołów zawisły tęczowe flagi, co chętnie dokumentowały ogólnokrajowe media. Na 10 maja księża oraz świeccy duszpasterze i duszpasterki (sic!) z całych Niemiec zapowiedzieli akcję błogosławienia homozwiązków. Wybrano ten właśnie dzień, bo według ekumenicznego leksykonu świętych wspomina się wówczas Noego. Ma to podkreślać, że gejom, lesbijkom i transseksualistom należą się te same „prawa” co osobom bez tego rodzaju skłonności czy zaburzeń. To inicjatywa księży Bernda Mönkebüschera z Nadrenii Północnej-Westfalii i Burkharda Hosego z Bawarii. Według ich deklaracji udział w akcji zgłosiło już ponad 2 tys. osób. Oczywiście ordynariusze obu księży nie wyciągnęli wobec nich żadnych konsekwencji.

Jednoznacznie zareagował też Centralny Komitet Niemieckich Katolików – organizacja, która za Odrą wspólnie z biskupami kieruje Kościołem. Wielu czołowych funkcjonariuszy tego gremium, używając rewolucyjnego języka, odcięło się od pisma z Rzymu, a pod koniec kwietnia Komitet jasno zmanifestował pełne poparcie dla ideologii gender. Grupa ogłosiła, że wkrótce zmieni język używany w oficjalnych wypowiedziach i pismach: każdy rzeczownik określający osoby opatrywany będzie tzw. gwiazdką gender. Gwiazdka ta oznacza, że rodzaj męski i żeński jest umowny, bo w istocie każdy może dowolnie wybierać jedną z całej palety płci. Wcześniej tego rodzaju nowomowę przyjęło już wiele środowisk, w tym feministki i zieloni.

WATYKAŃSKA MIAŁOŚĆ

Wszystkie te słowa i czyny mogą szokować, ale w istocie są prostą konse-

kwencją beznadziejnie miąkłej polityki, jaką Stolica Apostolska prowadzi wobec dysydentów od kilku dziesięcioleci. Kościoły w krajach niemieckojęzycznych już od dawna są przyzwyczajone do tego, że jakakolwiek bzdurę by zaproponowały, to nie tylko wszystko ujdzie im płazem, lecz także niektóre aberracje natrafiają w Rzymie nawet na gorliwą aprobatę. Opisywanie niemieckich wysiłków w rozwadnianiu i niszczeniu katolickiej nauki, uwieńczonych takimi sukcesami jak „Amoris laetitia” czy warunkowa zgoda Watykanu na interkomunię, nie jest zadaniem tego tekstu. Jak można byłoby się jednak obawiać papieża i jego kurii w sprawie LGBT, jeżeli także na tym polu widoczna jest daleko posunięta ugodowość wobec rewolucji?

Owszem, papież Franciszek co kilka miesięcy uznaje za stosowne odciąć się od genderyzmu. Trafia wtedy na czołówki konserwatywnych portali taknających z Rzymu jasnej doktryny jak kania dżdżu. Niestety, to tylko słowa. Gdyby w otoczeniu Ojca Świętego panowało autentyczne przekonanie o szkodliwości tęczowej ideologii, to niemożliwe byłyby najrozmaitsze skandale. Błyskotliwej kariery nie zrobiłby nigdy ks. James Martin SJ, amerykański jezuita, który otrzymał pracę w Watykańskim Sekretariacie ds. Komunikacji, mimo że jest jednym z najbardziej popularnych koryfeuszów ruchu LGBT, gotowym do tego nawet, by rozpowszechniać w mediach sprofanowany wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej. Biretu kardynalskiego w roku 2020 nie otrzymałby Marcello Semeraro, który jako biskup diecezji Albano we Włoszech wykonywał liczne gesty głębokiego poparcia wobec środowisk homoseksualnych. Watykan nie zgodziłby się też, by udzielić nihil obstat ks. Ansgarowi Wucherpfennigowi, jezuitcie z Frankfurtu, który jako rektor Wyższej Szkoły Teologiczno-Filozoficznej publicznie przyznawał, że błogosławi pary homoseksualne, a nauczanie moralne Kościoła uważa za błędne. O całym szeregu różnych działań samego papieża, takich jak spotkania z wpływowymi przedstawicielami tęczowego ruchu, nie ma już nawet co wspominać.

PLATFORMA ZMIAN

W tej sytuacji nie dziwi, że w krajach niemieckojęzycznych próbuje się kuć żelazo, póki gorące. W sprawie homoseksualizmu główną platformą rewolucyjnych

dążeń jest oślawiona Droga Synodalna w Niemczech, czyli rozpoczęty w grudniu 2019 r. proces szczególnej „debaty”... mającej z góry rozpisane wyniki. Kwestia LGBT odgrywa na Drodze kluczową rolę, bo jest ściśle związana z wielkim skandalem nadużyć seksualnych, które od 2010 r. wstrząsają Kościołem za Odrą, a które pośrednio dotyczą także Austriaków czy Szwajcarów, prowokując wzmożenie liczby apostazji i głęboką erozję zaufania do katolickiej hierarchii. W ramach synodalnego nowego agiornamento Niemcy chcieliby uznać za moralne i dopuszczalne niemal wszystko, co w dziedzinie seksualności jest grzeszne.

Szczegóły zaprezentował na wstępnym spotkaniu uczestników Drogi już wiosną 2019 r. ks. prof. Eberhard Schockenhoff. Jego wystąpienie zostało przedstawione przez ówczesnego przewodniczącego Episkopatu Niemiec kard. Reinharda Marxa jako swoisty wzorzec i gotowy program działania. Ksiądz Schockenhoff próbował za pomocą karykaturalnej teologii udowodnić, że co do zasady w takich czynach jak stosunki homoseksualne, przedmażeńskie czy onanizm nie ma nic złego. Za słuszną uznał też teorię transgender. Wystąpienie zmarłego niedawno teologa moralnego z Fryburga przeszło jednak bez echa, a Kościół powszechny zadziwił się niemieckimi pomysłami dopiero kilka miesięcy później.

W grudniu dwa lata temu zebrali się w Berlinie reprezentanci niemieckiego Episkopatu i grupa psychologów, by ogłosić, że w ich ocenie Katechizm trzeba zmienić, bo już nie odpowiada ustaleniom naukowców – zgodnie z nimi homoseksualizm jest przecież tak samo naturalny jak heteroseksualizm. Na to szalone wystąpienie Rzym nie zareagował. Jedynie biskupi na Ukrainie napomnieli swoich niemieckich braci, apelując o powrót do ortodoksji. Bezskutecznie. Już na początku 2020 r. nowym szefem Episkopatu Niemiec został bp Georg Bätzing. Biskup Limburga niemal od razu wyłożył karty na stół. Niejako na powitanie zaprezentował cały szereg reformistycznych postulatów, wśród których – obok poluzowania celibatu, wprowadzenia kapłaństwa kobiet czy odebrania władzy w parafiach księżom – poczesne miejsce odgrywała kwestia uznania związków homoseksualnych za pełne cnót. Biskup Bätzing zresztą chyba nieco się zagalopował, bo oprócz reakcji Waty-

kanu na propozycje w sprawie LGBT dał Watykanowi powód do wydania kilku jeszcze innych dokumentów – to jednak historia na inny artykuł.

SCHIZMA?

Co z tego jednak, skoro za słowami nie idą czyny i heretycy mogą grasować zupełnie bezkarnie? A przecież trzeba powiedzieć wprost: w co najmniej kilku europejskich państwach wiara katolicka uległa tak daleko posuniętej deformacji, że zatraciła swój autentyczny charakter. Oprócz Niemiec, Austrii i Szwajcarii dotyczy to także Luksemburga i wielu diecezji w innych krajach, zwłaszcza w Belgii, Holandii i we Włoszech. Według określenia kard. Waltera Brandmüllera w wielu Kościołach partykularnych władze pełnią dziś biskupi nie katolicki, ale „bezreligijni”. Zamiast Ewangelii głoszą ideologiczne kłamstwa współczesności. To ślepi przewodniczący ślepych, prowadzących samych siebie i powierzonych swojej pieczy dusze ku zatraceniu.

Nie powinniśmy w Polsce zbywać tej sytuacji milczeniem i udawać, że nic się nie dzieje. Watykańskie dokumenty, jak widać, nie wystarczają. Trzeba działać. Byłby to wyraz troski o zbawienie nie tylko pogubionych katolików na Zachodzie, lecz także samych Polaków. Wystarczy przecież otworzyć dowolny liberalny portal katolicki czy lewicujące czasopismo kościelne, by przekonać się, że także w naszym kraju idee promowane w państwach niemieckojęzycznych mają rosnące grono swoich zwolenników. Sprawy zaszły naprawdę daleko, skoro i nad Wisłą grupy księży publikują listy otwarte, w których jednym głosem z tłuszcza dewastującą świątynię dopominają się o legalność mordowania chorych dzieci nienarodzonych.

Rewolucyjna ideologia seksualnej swobody przeżera mentalność niektórych Polaków. Nie przeciwdziałać postępującej erozji świadomości moralnej katolików w Polsce byłoby poważnym zaniechaniem. Trzeba pójść za przykładem odważnych kardynałów i biskupów, wzywając błądzących do opamiętania i jasno wskazując wiernym, gdzie leżą granice ortodoksji oraz kto te granice dawno przekroczył. Nie ustrzeże się owiec przed wilkami, jeżeli pasterze, widząc zbliżające się bestie, dalej będą milczeć, licząc na to, że ktoś odpędzi je za nich. Nie odpędzi. Do dzieła!



Wojciech Golonka

Tradycyjne wspólnoty katolickie zwiększyły w dobie pandemii swoją rozpoznawalność i oddziaływanie. Mniejszości wygrały w różnych krajach sądowe batalie o swobodę kultu w kontekście restrykcji. A polski Episkopat zauważył pociąg młodego pokolenia katolików do tradycyjnej liturgii łacińskiej

W 2007 r., gdy Benedykt XVI ogłosił motu proprio „Summorum Pontificum”, stwierdzające prawo każdego kapłana do sprawowania tradycyjnej Mszy łacińskiej (przedsoborowej), „Dziennik Wschodni” tytułował tekst: „Łacina się nie utrzyma”, dodając: „Kapłanów gotowych poprowadzić msze w rycie trydenckim nie brakuje. Ale wszystko wskazuje na to, że nie będzie powrotu do przeszłości, bo wierni przyzwyczaili się do liturgii w języku polskim”. Przeszło 15 lat później tradycjonalistyczne seminaria na świecie nie świecą pustkami, wręcz przeciwnie – w dobie koronawirusa odnotowały rekordowe liczby zgłaszających się kandydatów do kapłaństwa. Mimo postępującej w świecie sekularyzacji Tradycja katolicka najwyraźniej się rozwija i okazuje się pociągaczką również młodych, co zostało także dostrzeżone przez polskich biskupów w tegorocznym liście do kapłanów na Wielki Czwartek.

KOŚCIÓŁ WOBEC COVID

„Jestem niewierzący, ale dziękuję za wasze kazania – są krzepiące w tych ciężkich czasach” – głosił wpis pod jednym z nagrań na kanale YouTube kościoła Saint-Nicolas du Chardonnet, najbardziej znanej francuskiej tradycjonalistycznej parafii. Komentarze w podobnym duchu, czasem także ze strony zadeklarowanych protestantów czy muzułmanów, dość często pojawiają się pod materiałami duszpasterskimi publikowanymi w sieci przez paryską wspólnotę. O kościele pw. św. Mikołaja w Paryżu, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie katedry Notre Dame i dzielnicy łacińskiej, stało się głośno w świecie w 1977 r., gdy

doszło do jego zajęcia i okupacji przez kilkutysięczną grupę wiernych rozgryzionych kolejnymi odmowami kurii na rzecz sprawowania przedsoborowej Mszy łacińskiej w paryskich kościołach. Parafia – do dziś w rękach tradycjonalistów – stała się wówczas ewenementem na skalę światową i zyskała przydomek „latarni Tradycji”. Dzisiaj, otworzywszy się na zdalny apolat, przeżywa swoją drugą młodość. Podobny trend obserwowalny jest w wielu innych tradycjonalistycznych wspólnotach na świecie, także w Polsce. W dobie pandemii ich przekaz trafił do nowych odbiorców, przekonując ich do siebie spójną doktryną i podejściem duszpasterskim.

Ogólnie rzecz biorąc, reakcja znacznej części hierarchii na pandemię i jej

konsekwencje zdawała się zdominowana przez spojrzenie właściwie doczesne. W niedawnym wywiadzie dla LifeSiteNews szwajcarski biskup Marian Eleganti stwierdził nawet, że Kościół „działał zgodnie z ogólną świecką logiką, która nie zna wiary i powoduje między innymi zaniechanie sakramentów i opustoszenie sanktuariów pielgrzymkowych”. W pewnym sensie można by nawet mówić o „teologicznym resecie” dokonanym przy okazji COVID-19: podczas gdy wierni zadawali sobie pytanie, czy rewolucja koronawirusowa może być karą za grzechy ludzkości, postępowi teologowie słyszeli zapewnienia, że Bóg nikogo nie upomina, a jeśli już – jak z kolei głosił Franciszek – to kryzys covidowy był, owszem, krzykiem



Renesans Tradycji?



FOT. PIZURMAN/REPORTER

ostrzeżenia, ale ze strony krzywdzonej przez człowieka przyrody. I rzeczywistość, kategorię grzechów wołających o pomstę do nieba – jak uczył onegdaj katechizm – zastąpił nowy „grzech” ekologiczny. Tymczasem z tradycyjnych katolickich wspólnot płynął ten sam co dawniej nadprzyrodzony przekaz: zarazę (przynajmniej tę prawdziwą), niezależnie od jej przyczyny, traktowano zawsze w Kościele jako impuls do nawrócenia, pokuty i gorliwszej modlitwy dla zażegnania niebezpieczeństwa, w myśl słów Chrystusa: „Jeśli pokutować nie będziecie, wszyscy podobnie zginiecie” (Łk 13, 3). Katolicy zdezorietowani naturalistyczną reakcją części duchowieństwa na koronawirusa mogli więc odnaleźć w tradycjonalistycznych

wspólnotach to, co podpowiadał im instynkt ich niezsekularyzowanej wiary.

TRYDENT ODPORNY NA COVIDOWĄ PANIKĘ

Rozdźwięk między tymi dwoma wizjami rzeczywistości był przede wszystkim widoczny we wspomnianej przez bp. Elegantiego pustce świątyni na świecie, spowodowanej po części przez odgórne zarządzenia tudzież przez bierność duszpasterzy wobec decyzji administracyjnych. W miarę, jak władze świeckie rozważały wprowadzanie restrykcji, duchowni w różnych krajach nierazdo ubiegli rozporządzenia sanitarne, zamykając kościoły i znosząc de facto dostęp do sakramentów – coś niebywałego z punktu widzenia historii Kościoła,

wręcz nie do pomyślenia. A jednak. W USA wiosną ubiegłego roku tam, gdzie pozwalało na to prawo poszczególnych stanów, kościoły tradycjonalistyczne były przez moment jedynymi amerykańskimi świątyniami, w których katolicy mogli uczestniczyć we Mszy Świętej. Doktor Taylor Marshall, znany katolicki apologeta z Teksasu, wdzięczny za sakramenty, które mógł z rodziną przyjąć w Wielkanoc w jednym z kościołów prowadzonych przez Bractwo św. Piusa X, przeproszał publicznie za wszelkie zło, które mógł w przeszłości powiedzieć o tym zgromadzeniu.

Z kolei tam, gdzie kult pozostał dopuszczony lub został wznowiony, nastąpiło nagłe rozpowszechnienie praktyki udzielania Komunii na rękę, która np. w Polsce była dotychczas rzadkością. Zmiana ta wywołała w Kościele i wśród wiernych burzliwe dyskusje. Podczas gdy dla niektórych była to kwestia czysto techniczna i imperatywu sanitarny, dla innych godziła w poszanowanie Ciała Pańskiego, obecnego we wszystkich okrucinach konsekrowanej Hostii oraz w adekwatne wyrażanie wiary w rzeczywistą obecność Chrystusa. W powstałym sporze pojawiły się zresztą głosy konserwatywnych kardynałów o tym, że katolikom, nawet podczas pandemii, nie można narzucić obowiązku przyjmowania Komunii na rękę. Przy czym zasady zasadami, a w praktyce każdy biskup czy nawet proboszcz na świecie postępował wedle swego własnego uznania. Tymczasem tradycyjny ryt rzymski nie dopuszcza praktyki przyjmowania Komunii na rękę, stąd duszpasterstwa tradycjonalistyczne zaczęły stawiać się dla wiernych dotkniętych tą sytuacją oazą spokoju i wolności od nacisków czy zarzutów. Arcybiskup Paryża, Michel Aupetit, najprawdopodobniej podpuszczony przez francuski rząd, stwierdził np. w Radiu Notre Dame, że samolubne kontynuowanie przez niektóre wspólnoty praktyki Komunii na rękę latem ubiegłego roku było powodem, dla którego jesienią władze po raz drugi zakazały we Francji uczestnictwa w praktykach religijnych. Czym nie bardzo kogokolwiek przekonał, a jedynie spowodował kolejną dysputę. W jednym z kazań ks. Denis Puga – tradycjonalista – ripostował zresztą, że w Saint-Nicolas, przy zachowaniu tradycyjnego sposobu rozdawania Komunii, było w tym samym okresie mniej pogrzebów wśród parafian niż zazwyczaj.

■ Sama kwestia swobody kultu religijnego była bodajże najgłośniejszym sukcesem tradycjonalistów w dobie covidowych restrykcji. W maju 2020 r. różne tradycyjne zgromadzenia i wspólnoty zaskarżyły we Francji obowiązujący wówczas rządowy zakaz uczestnictwa w aktach kultu religijnego, a francuska Rada Stanu przyznała im rację: rząd dyskryminował swobodę kultu w stosunku do innych dopuszczanych wówczas wolności. Niedługo potem analogiczna sytuacja miała miejsce za oceanem, w dosyć specyficznej konfiguracji, gdy z kolei prawnicy Towarzystwa Tomasza Morusa, reprezentujący dwóch kapłanów tradycjonalistów z Bractwa św. Piusa X oraz trzy wspólnoty ortodoksyjnych Żydów, obalili przed sądem rozporządzenia burmistrza i gubernatora Nowego Jorku.

Podobne skargi i wyroki miały miejsce w różnych częściach globu i w pewnym sensie narzuciły także ton hierarchii. We Francji jesienią ubiegłego roku kolejną procedurę sądową przeciw rządowym ograniczeniom kultu podjęli tym razem już sami poszczególni biskupi i Konferencja Episkopatu w imieniu wszystkich – będąc zresztą pod presją swych owieczek, które manifestując co niedzielę pod kościołami, domagały się dopuszczenia ich do sakramentów. Manifestacji, notabene, na których tradycjonaści także odcisnęli swe znamię: światowe media obiegło zdjęcie z Nantes, gdy na uboczu jednej z nich zmocony deszczem kapłan w sutannie ze stulą spowiada klęczącego pod gołym niebem wiernego.

OD MSZY DO DOKTRYNY

To prawda, tradycjonaści w dobie COVID zyskali nową dynamikę i rozpoznawalność, przy czym ich oddziaływanie w Kościele, nieproporcjonalne do ich liczby, wykracza poza kwestie reakcji na covidową rewolucję. Po okresie wykluczania i silnej stygmatyzacji z lat 70. i 80., po dekadzie traumy spowodowanej konsekracjami czterech biskupów przez abp. Marcela Lefebvre'a w 1988 r. wbrew woli Jana Pawła II i konsekwentnego rozbicia tradycjonalistycznego ruchu na różne frakcje, po 2000 r. przyszedł okres na zatwierdzenie status quo. Dwa lata po tym, jak Benedykt XVI potwierdził nieskrępowane prawo każdego kapłana do sprawowania Mszy Świętej w tradycyjnym rycie rzymskim, w 2009 r. wycofał on kary, które miały dotknąć biskupów konsekrowanych przez abp. Lefebvre'a.

Przed wszystkim doprowadzono do dyskusji między teologami Watykanu a Bractwa św. Piusa X na temat zasadności i prawowierności reform Soboru Watykańskiego II. Dyskusje te miały za cel wskazanie przyczyn kryzysu wiary i kryzysu w Kościele, który dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą. Czy wziął się on ze sztucznie wytworzonego przez media liberalnego „ducha soboru” i rewolucji kulturowej 1968 r.? A może same teksty soborowe zawierały dwuznaczności i orientacje, które, wdrożone w praktykę, przyczyniły się do zjawiska sekularyzacji i relatywizmu wewnątrz Kościoła?

Dyskusja ta wciąż się toczy i zatacza coraz szersze kręgi wśród duchownych oraz świeckich – również w Polsce, czego wyrazem jest np. esej „Dogmat i tiara” Pawła Lisickiego. Ciekawym przykładem tej debaty są słowa watykanisty Aldo Maria Valli, który w wywiadzie dla Radia Spada w lutym przyznał, że za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI był zwolennikiem „hermeneutyki ciągłości”, czyli interpretowania zmian jako zgodnych z Tradycją, jednak wraz z pontyfikatem Franciszka, a także pod wpływem wieloletniej obserwacji tradycjonalistów, doszedł do wniosku, że podstawowa sprzeczność leży w pierwotnym założeniu soboru, a mianowicie traktowaniu przez papieża Jana XXIII doktrynalnej precyzji i obrony wiary jako czegoś sprzecznego z chrześcijańskim miłosierdziem.

Arcybiskup Vigano, były nuncjusz papieski w USA, o którym zrobiło się głośno, gdy zarzucił Watykanowi pobłażliwość wobec amerykańskich hierarchów pedofilów, też upatruje przyczynę zerwania w orientacjach i dwuznacznościach dokumentów soborowych. Do podobnych konkluzji w ostatnich latach doszedł także bp Athanasius Schneider. Stanowisko tradycjonalistów, marginalne w latach 70., 50 lat później najwyraźniej narzuca debatę i zyskuje zwolenników.

TRADYCJA PRZYCIĄGA RÓWNIEŻ W POLSCE

Zainteresowanie młodych dawną liturgią i niezsekularyzowaną doktryną świadczy, że Tradycja – chciałoby się powiedzieć – pociąga i inspiruje, ale chodzi o coś głębszego i niesentymentalnego – karmi umysł i pobudza wolę. Przy czym młodzież miewa zainteresowania ulotne, tymczasem tradycjonalistyczny trend w Polsce zdaje się obejmować wszystkie

kategorie wiekowe, czego najlepszym przykładem jest abp Jan Paweł Lenga, emerytowany ordynariusz Karagandy, znany ze swego bezpośredniego języka duszpasterskiego, który będąc na emeryturze, nauczył się odprawiać Mszę trydencką.

Co znaczące, rośnie w Polsce liczba małżeństw obierających na nowo model tradycyjnej katolickiej rodziny, otwartej na liczniejsze potomstwo, a co za tym idzie – wiążące się z tym poświęcenie i wysiłki. Tego typu wybory życiowe, jeśli są trwałe – a często takie właśnie są – to świadczą jednak o chrześcijańskiej dojrzałości i czynnej wierze, która ma przełożenie na codzienne życie.

Rośnie w Polsce liczba małżeństw obierających na nowo model tradycyjnej katolickiej rodziny, otwartej na liczniejsze potomstwo

W dłuższym artykule na łamach Klubu Jagiellońskiego w marcu Jakub Maciejewski, konstatując nową wiosnę Kościoła we Francji, której tradycjonaści są po części zaczynem, postawił mocną tezę: „Poza Tradycją nie ma przyszłości”. Przy czym, podczas gdy atrakcyjność i oddziaływanie Tradycji katolickiej nie budzi wątpliwości, z punktu widzenia historycznego jest to zadanie długofalowe. Tradycjonaści zdali egzamin, jeśli chodzi o zachowanie Mszy Świętej trydenckiej, doprowadzili do ogólnokościelnych debat, ugruntowali swoją pozycję w Kościele przynajmniej w postaci tolerowanego status quo. Nie mają jednak wpływu na kościelne nominacje i ogólne kierunki, które za pontyfikatu Franciszka naznaczone są paradygmatem progresizmu, stąd trudno mówić o rzeczywistym renesansie Tradycji w Kościele.

Nie ma jednak wątpliwości, że w praktyce udział tradycjonalistów na „rynku” duszpasterskim będzie się umacniał i poszerzał, zarówno pod kątem świeckich, jak i duchownych. Szczególnie w nieszczęśliwym – Kościół w dobie COVID-19 pokazał także swe tradycyjne oblicze. Te pierwotne, w długofalowej perspektywie, mogą wydać dojrzałe owoce.

NAJLEPSZY PROGRAM
INTERWENCYJNY W POLSCE!

NA POMOC!

ZAPRASZAMY NA **100.** ODCINEK



niedziela
21:10
poniedziałek
19:45

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

zaprasza
Ilona Januszewska

Pozakonstytucyjne stany nadzwyczajne budzą liczne wątpliwości





Z Bartłomiejem Wróblewskim, posłem PiS, kandydatem na Rzecznika Praw Obywatelskich (wybrany już na RPO przez Sejm, ale niepotwierdzonym jeszcze przez Senat)
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Mówi pan, że jest gotowy wyrzec się polityki. Czy to możliwe w polskich realiach, że Rzecznik Praw Obywatelskich może być rzeczywiście apolityczny?

BARTŁOMIEJ WRÓBLEWSKI: Tak, to możliwe. A pytanie, które pan stawia, nie dotyczy wyłącznie Polski, ale może być postawione szerzej: Czy w ogóle powinno być możliwe, żeby parlamentarzysta został sędzią sądu konstytucyjnego, szefem instytucji kontrolnej typu NIK czy ombudsmanem? I jak świat długi i szeroki, politycy obejmują takie stanowiska. I tak jest też w Polsce od ponad 30 lat. Tym, co przemawia za takim rozwiązaniem, jest doświadczenie w życiu publicznym. Chociaż decydujące powinny oczywiście być kompetencje i zdolność do zachowania niezależności. W ostatnich latach w polityce pokazałem, że jestem osobą niezależnie myślącą i szczególnie – co tu ważne – uwrażliwioną na sprawę wolności i praw jednostki, zarówno tych konserwatywnych, jak i klasycznych wolności liberalnych. Z jednej strony prawa do życia, prawa rodziców i rodziny oraz wolności religijnej, a z drugiej – prawa własności, wolności działalności gospodarczej czy prawa do prywatności.

Jak w takim razie te priorytety pogodzić z ofertą, którą pan przedstawił, żeby jednym z pana zastępców była osoba reprezentująca inny światopogląd, inną opcję polityczną? Czy to nie sparaliżuje urzędu RPO?

Nie widzę takiego zagrożenia. Rzecznik jest jeden. Ale ofertę traktuję poważnie, bo tylko wtedy możemy przełamać pat z wyborem następcy obecnego rzecznika. Zamierzam jej też dotrzymać. Pochodzę z Poznania, dziś miasta liberalnego. Moje środowisko szkolne, studenckie, zawodowe zawsze było zróżnicowane. Mam doświadczenie we współpracy z ludźmi o innych poglądach. Ewentualne kolizje światopoglądowe są także mało prawdopodobne ze względu na moje przekonanie dotyczące charakteru instytucji RPO. Rzecznik nie działa w obszarze polityki i ideologii, to sfera kompetencji parlamentu. Dla niego wyznacznikiem są wyłącznie konstytucja i ustawy. Gwarantuję, że jeśli zostanę rzecznikiem, nie będzie żadnej

rewolucji, żadnych eksperymentów ideologicznych. Takimi sprawami, jeśli już, zajmują się politycy.

Czy ma pan jakiś standard, jeżeli przyjrzeć się historii tego urzędu w Polsce, pewien wzorzec Rzecznika Praw Obywatelskich, który w ciągu ostatnich 30 lat sprawował tę funkcję?

Z kilku powodów szczególnie bliską mi osobą jest śp. dr Janusz Kochanowski. Był osadzony w bliskiej mi tradycji prawno-naturalnej. Rozumiał, że prawo nie może funkcjonować bez odniesienia do sprawiedliwości. Wiedział – co nie jest powszechne na polskiej prawicy – że jeśli chcemy z sukcesem prowadzić spory cywilizacyjne, to musimy odwoływać się do idei praw człowieka i bronić ich klasycznego odczytania. Inaczej wygrają koncepcje progresywne, a idea praw człowieka będzie wyłączną domeną środowisk liberalno-lewicowych. Kiedy mówimy o rzecznikach, nie można nie wspomnieć o prof. Andrzeju Zollu i jego dorobku z zakresu ochrony życia w Polsce, a szerzej – w sferze zagadnień bioetycznych. Ale uczciwie mówiąc, każdy z rzeczników, nawet jeśli był wybrany przez większość lewicową i nawet jeśli w niektórych aspektach możemy się z nim nie zgadzać, miał swój udział w budowaniu tej instytucji.

Wiele symptomów wskazuje na to, że czas, w którym przyjdzie panu – jeżeli ten wybór zostanie potwierdzony przez Senat – sprawować swój urząd, będzie okresem kumulującego się sporu o granice ochrony życia. To spór, który bardzo mocno wybrzmiewa nie tylko w polskiej przestrzeni publicznej. Czy jest pan gotowy zaangażować się w projekty prawne, które zwiększają zakres ochrony życia?

Dzięki orzeczeniom TK z lat 1997 i 2020 mamy w Polsce wysoki standard ochrony życia, jeden z najwyższych w Europie i na całym Zachodzie. Natomiast rzeczywiście musimy być gotowi, że spory kulturowe będą się w kolejnych latach w naszym kraju nasilać. Nie chodzi tylko o dyskusję na temat prawa do życia, lecz także o kwestie praw rodziny, rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem czy wolności religijnej. Środowiska

Radikalne wykorzystują każdą okazję do podsycania sporów cywilizacyjnych, a na płaszczyźnie prawnej do ograniczenia tradycyjnie pojmowanych wolności i praw człowieka. Rzecznik wobec takich działań nie może pozostać bierny, jak miało to miejsce np. w sytuacji ostatnich ataków na kościoły. Musi bronić tych wolności, które są bardzo mocno zakorzenione w naszej kulturze. Bronić ich oczywiście nie tylko ze względu na fakt ich zakorzenienia, lecz także dlatego, że to jego obowiązek. Jak stanowi art. 208 konstytucji, RPO stoi na straży konstytucyjnych wolności i praw. Nie ma tu więc mowy o postawie pasywnej.

Jaki jest pański pogląd na sprawę wypowiedzenia przez Polskę konwencji stambulskiej?

Jest dość powszechna zgoda co do deklarowanego celu konwencji. Nikt nie akceptuje przemocy domowej. Pod kierunkiem ministra Zbigniewa Ziobry przygotowano bardzo restrykcyjne przepisy, które chronią słabszych domowników, w szczególności kobiety i dzieci. Natomiast kontrowersje budzą elementy ideologiczne w konwencji. Z jednej strony, np. kwestia wiązania przemocy ze stereotypami religijnymi, a nieuwzględnianie jej realnie najczęstszych przyczyn, jakimi są uzależnienia od alkoholu czy narkotyków. Z drugiej strony, użyta w konwencji terminologia progresywnej lewicy. Te elementy ideologiczne wywołują kontrowersje właściwie w całej Europie. Dlatego w niektórych krajach, w szczególności w naszej części kontynentu, ta umowa nie została przyjęta. Natomiast tam, gdzie została, też przez niemałą część społeczeństwa jest odrzuca. Obecnie na wniosek premiera Mateusza Morawieckiego konstytucyjność konwencji bada Trybunał Konstytucyjny. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby jej zastąpienie międzynarodową konwencją praw rodziny, o czym od kilku już lat mówi Marek Jurek. Mielibyśmy wtedy bardzo skuteczne przepisy antyprzemocowe, a jednocześnie szeroką ochronę praw rodziny i rodziców. Byłoby to rozwiązanie konkretyzujące najbardziej podstawowe prawa człowieka, a jednocześnie pozbawione silnego ideologicznego ładunku, a tym samym niewzbudzające takich kontrowersji.

Kryzys związany z koronawirusem unaoczniał nam, że jak poważnym zagrożeniem wolności słowa mamy do czynienia. To zagrożenie, które znajduje szczególnie spektakularny wyraz, m.in. w mediach społecznościowych. Czy wobec cenzury i ideologicznego dyktatu ze strony operatorów

Mamy brutalną ingerencję w wolność słowa. I to konserwatyści stoją w pierwszym szeregu w obronie tej klasycznej liberalnej wolności

globalnych mediów społecznościowych Rzecznik Praw Obywatelskich w takim kraju jak Polska może skutecznie przeciwdziałać brutalnej ingerencji w naszą podstawową swobodę, jaką jest wolność słowa? Za pomocą jakich instrumentów może to robić?

Rzeczywiście, mamy brutalną ingerencję w wolność słowa. I – co może nawet nieco paradoksalne – to nie liberałowie, a konserwatyści stoją w pierwszym szeregu w obronie tej klasycznej liberalnej wolności. Musimy zrobić wszystko, żeby zachować wolność słowa, której konsekwencją jest pluralizm w przestrzeni publicznej. Sprzeciwiać się różnorodnym próbom ich ograniczenia. Coraz popularniejsze są propozycje tzw. mowy nienawiści, które mimo szlachetnych uzasadnień w praktyce mogą służyć eliminowaniu oponentów politycznych. Trzeba oczywiście przeciwstawić się także praktycznym ograniczeniom, np. w postaci monopoli medialnych czy internetowych, które realnie wpływają na swobodę debaty publicznej. Rzecznik Praw Obywatelskich ma możliwość i obowiązek, widzę w tym także swoje zadanie, aby współpracować z władzami państwowymi, a także z władzami międzynarodowymi i europejskimi w celu stworzenia takich regulacji, które uniemożliwią funkcjonowanie cenzury w Internecie.

Czy nie widzi pan zagrożenia w systemie, który niektórzy określają jako reżim sanitarny, opartym na wykorzystywaniu w sposób niekonstytucyjny narzędzi prawnych? Chodzi o wprowadzanie regulacji poprzez rozporządzenia, które w istotny sposób ograniczają nasze swobody obywatelskie. Czy zamierza pan występować – w wypadku wyboru na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich – z działaniami, które uporządkują sytuację w tym obszarze? Obecny „epidemiczny stan prawny” budzi zasadnicze wątpliwości ze strony wielu prawników. To znajduje później wyraz w położeniu obywateli ukaranych za nieprzestrzeganie różnego rodzaju restrykcji, którzy później odwołują się do sądów.

Po zakończeniu pandemii trzeba przemyśleć obowiązujące przepisy ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych wśród ludzi. Przypomnę, że była to ustawa, która

została stworzona przez Platformę Obywatelską i Polskie Stronnictwo Ludowe w 2008 r. Została przyjęta w drodze szerokiego konsensusu politycznego. Z tego, co mi wiadomo, nigdy jako taka nie była kwestionowana przez kolejnych Rzeczników Praw Obywatelskich. Nie zakładam niczyjej złej woli, ale po roku doświadczeń widzimy, że pozakonstytucyjne stany nadzwyczajne budzą w praktyce liczne wątpliwości. Uczciwie dodam, że przestrzegałbym przed swoistym populizmem, aby oczekiwać natychmiastowych zmian. Nie zmienia się bowiem koni w trakcie przeprawy przez rwącą rzekę. Niemniej jeśli zostanę Rzecznikiem, to nie będę zwlekał i podejmę analizy, a następnie działania w tej materii.

Czy tzw. certyfikaty szczepionkowe, paszporty szczepionkowe nie są jaskrawym złamaniem wolności obywatelskich? Tego rodzaju rozwiązanie już wdraża się w Unii Europejskiej, o takim modelu mówi się również w Polsce.

Jestem przeciwnikiem wprowadzania takich instrumentów segregacji sanitarnej, choć jednocześnie bardzo wszystkich zachęcam do tego, aby poważnie traktować zagrożenia związane z epidemią. W ciągu ostatniego roku wielu spośród nas straciło członków rodziny, przyjaciół, znajomych. To powinno być dla każdego z nas memento. Natomiast rozumiem obawy, że epidemia może doprowadzić do trwałego ograniczenia wolności jednostki, w tym wolności poruszania się i prawa do prywatności. Uważam, że temu zagrożeniu trzeba się przeciwstawiać.

Przeciwstawi się pan również próbom podważenia dobrowolności szczepień? Takie głosy ostatnio pojawiły się ze strony niektórych ekspertów także w naszym kraju...

Łącznie kilka lat mojego życia spędziłem na podróżach i wspinaczce w górach na wszystkich kontynentach. Kilka razy mocno odczułem tropikalne choroby. Od czasu mojej pierwszej podróży do Azji niemal ćwierć wieku temu mam nawyk szczepienia się. Także teraz się zaszczepiłem, bo uważam, że korzyści są większe niż ryzyko. Natomiast rozumiem jednocześnie, że nie ma podstaw do tego, aby zmuszać wszystkich do poddawania się szczepieniom. Także z tego powodu, że cały czas istnieje wiele wątpliwości dotyczących ich skuteczności i trwałości.

© Wszystkie prawa zastrzeżone

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~737~~ zł

**W PREZENCJE
KSIĄŻKI**

PAWEŁ LISICKI „KTO FAŁSZUJE JEZUSA”
SAVERIO GAETA „DUSZE OFIARNE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

277,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 460 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl e392e076fe

Rząd techniczny to pomysł, który powraca od czasu, gdy po raz pierwszy doszło do otwartego konfliktu między Jarosławem Kaczyńskim a Jarosławem Gowinem przy okazji wyborów kopertowych w ubiegłym roku. Wówczas u polityków opozycji zapaliła się lampka z napisem: „Szansa”. Były spotkania, te bardziej oficjalne i te mniej, oraz próby przekonania Gowina, by porzucił koalicję rządzącą i przeszedł na jasną stronę mocy, czyli do opozycji. W nagrodę jego zdrada i wszystkie inne przewiny miały zostać wspaniałomyślnie wybaczone. W ubiegłym roku Gowin jednak nie dał się przekonać i ostatecznie, pomimo odejścia z rządu i rezygnacji z teki wicepremiera, w koalicji pozostał.

Sprawa rządu technicznego powróciła jednak w ostatnich tygodniach, gdy Zjednoczona Prawica chwileje się w posadach.

– Czy warto marnować czas na bycie w podzielonej prawicy, czy lepiej teraz przejść na dobrą, zieloną stronę mocy? – pytał kilka dni temu Jarosława Gowina lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Zainteresowani stworzeniem rządu technicznego liderzy opozycji nie ukrywają, do czego taki rząd miałby służyć – a mianowicie do rozliczenia rządów PiS i rozpisania nowych wyborów, ale już na własnych warunkach. Czyli z „odzyskanymi” mediami publicznymi i innymi instytucjami państwa, a także z cofniętymi zmianami, chociażby w sądownictwie. Władysław Kosiniak-Kamysz zapytany w TVN24 o to, czy możliwe jest w tej kadencji powstanie rządu innego niż Zjednoczonej Prawicy, odpowiedział: „Tak”. – Po to, żeby przeprowadzić wybory, nie po to, żeby zawrzeć jakieś porozumienie, zawrzeć jakąś koalicję, która będzie koalicją programową – dodał od razu.

WSPÓLNE LISTY

Hasło „Koalicji 276” (tyle głosów trzeba do odrzucenia prezydenckiego weta) zostało po raz pierwszy oficjalnie rzucone podczas partyjnej konwencji Platformy Obywatelskiej przez Borysa Budkę i Rafała Trzaskowskiego. Pomysł nie spotkał się z entuzjazmem pozostałych partii, zwłaszcza że żadna z nich nie została zapytana wcześniej o zdanie. Liderzy Platformy wciąż jednak lansują ten scenariusz jako najlepszy z możliwych.

– Recepta na zwycięstwo z obozem populistów jest prosta. Wspólna lista, wspólny start. W wyborach do Senatu zapewniło to opozycji milion głosów

Marzenie o depisyzacji



Manifestacja KOD we Wrocławiu, 22 kwietnia 2021 r.

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER



Kamila Baranowska

Opozycja z jednej strony marzy o jak najszybszym odsunięciu PiS od władzy, ale z drugiej jest nieprzygotowana na wcześniejsze wybory. Jakże ma więc możliwości i który scenariusz ostatecznie wybierze?

więcej – oznajmił w styczniu w TVN24 Borys Budka.

– Jakbym oceniał dziś relacje pomiędzy formacjami opozycyjnymi, to powiedziałbym, że jest nam bliżej do siebie, niż było przed powstaniem Koalicji Europejskiej, a przecież KE w wyborach do Parlamentu Europejskiego powstała i skutecznie walczyła o mandaty – stwierdził niedawno rzecznik PO Jan Grabiec.

Z tą skutecznością w wyborach europejskich nie było tak dobrze, jak twierdzi dziś poseł Grabiec. Rzeczywiście, utworzono wtedy sojusz wszystkich przeciw PiS, miało być lekko, łatwo i z sukcesem na końcu. Sukcesu nie było, opozycja wybory, które miała bez większych problemów wygrać, przegrała. Okazało się, że jej wyborców nie przekonał dziwny twór od prawa do lewa. Dlaczego więc miałyby

ich przekonać dzisiaj? – Wspólna lista nie ma większego sensu. PiS już w sondażach traci samodzielną większość. Odgrzewanie kotletów po Grzegorz Schetynie nikomu nie jest potrzebne. Wspólna lista nie zachęca ludzi do głosowania. Partie konkurują ze sobą na programy, a później szukają większości z tymi, którzy są zbliżeni. To jest alfabet demokracji – tak pomysł wspólnej listy komentował Adrian Zandberg z partii Razem.

Politycy PO podpierają się jednak badaniami – i tymi oficjalnymi, i tymi wewnętrznymi, z których wynika, że wspólny start pozwala myśleć o rządzeniu. Najgłośniejszy sondaż to Ipsos dla OKO.press z lutego. Pokazał on, że sojusz Koalicji Obywatelskiej, Polski 2050 Szymona Hołowni, Lewicy i PSL pokonałby PiS w wyborach wynikiem 57 proc. do 29 proc. Poparcie dla połączonych sił opozycji okazuje się być, wedle tego badania, większe niż suma poparcia tych czterech partii osobno.

Na razie opozycja testuje wspólny start w Rzeszowie, gdzie wystawiła jednego kandydata. Wciąż jednak do wspólnych list do Sejmu i Senatu jest dalej niż bliżej. Rozwiązania tego nie chcą ludowcy, trudno też, by zgodził się na nie Hołownia, który jest na fali wznoszącej i może powalczyć o samodzielny bardzo dobry wynik. Poza tym wspólne listy oznaczają tarcia i konflikty już na starcie, przy ich układaniu. Niełatwo byłoby pogodzić interesy i apetyty wszystkich zainteresowanych.

DWA DUŻE BLOKI

Takie rozwiązanie to start w dwóch dużych opozycyjnych blokach: lewicowo-liberalnym oraz umiarkowanego centrum. W tym pierwszym miałyby się znaleźć Koalicja Obywatelska, która od jakiegoś czasu w sprawach światopoglądowych skręca w lewo razem z Lewicą. W tym drugim byłiby PSL oraz Szymon Hołownia, a także – opcjonalnie – ugrupowanie Jarosława Gowina. Znalazłoby się tu miejsce także dla rozbitków z Platformy, którzy nie chcieliby iść zbyt mocno w lewo.

To scenariusz, o którym od wyborów w 2019 r. mówią ludowcy. – Jestem wiernej tej strategii budowania dwóch bloków. PSL-Koalicja Polska będzie współtworzyła centrowy blok i moim zdaniem powinien być współtworzony drugi blok, liberalno-lewicowy, i wtedy z dwóch stron można wygrać z PiS – mówił w Radiu Plus Władysław Kosiniak-Kamysz, który przy każdej okazji podkreśla, że należy

wyciągnąć wnioski z wyborów europejskich z 2019 r. i nie powtarzać po raz drugi nieudanego eksperymentu. Prezes ludowców swoją ofertę kieruje przede wszystkim w stronę Szymona Hołowni. Sęk w tym, że jeśli Hołownia pozycjonuje się jako nowa jakość na politycznym rynku, to pójście do wyborów ze zgranymi twarzami i z zasiedzającymi w Sejmie partiami już na starcie odebrałoby mu wiarygodność i punkty za świeżość.

W ostatnich dniach pojawił się jednak jeszcze jeden problem, który stawia scenariusz z dwoma blokami pod znakiem zapytania. Mianowicie przy okazji głosowania nad ratyfikacją Funduszu Odbudowy Lewica na śmierć poróżniła się z Platformą. Lewica dogadła się bowiem z PiS, że poprze Fundusz, ale postawiła kilka warunków, m.in. co do przeznaczenia unijnych pieniędzy. Były rozmowy, premier Morawiecki zgodził się na propozycje Lewicy. Platforma się wściekła i oskarżyła polityków Lewicy o zdradę i paktowanie z diabłem. Padło wiele mocnych słów i wzajemnych oskarżeń, które będą kładły się cieniem na przyszłej ewentualnej współpracy obu partii. I to nie tylko tej przedwyborczej, lecz także powyborczej.

START OSOBNY, KOALICJA POTEM

To scenariusz, w którym każdy gra na siebie, układa listy pod siebie, nie musi oglądać się na innych i rozliczany jest ze swojego wyniku. Jeśli PiS wygrałby ponownie i po 2023 r. (zakładając, że wybory odbędą się w ustawowym terminie) nadal rządził, to łatwiej byłoby taką porażkę przełknąć. Przy przegranej opozycji, która do wyborów szłaby z pompą jako wielka koalicja przeciwko PiS, straty wizerunkowe i rysy na wiarygodności byłyby dużo większe. Ostatnie sondaże, w których PiS oscyluje wokół 30 proc. poparcia, pokazują, że opozycja po zsumowaniu wyników może stworzyć rząd. Byłby to rząd dość egzotyczny i zanim by powstał, czekałby nas festiwal negocjacji, sporów, konfliktów, zrywania rozmów i wywracania stolików. Trudno będzie partiom od lewa do prawa dogadać się w kwestiach programowych, a postulat rozliczania rządów PiS nie będzie działał w nieskończoność.

WCZEŚNIEJSZE WYBORY

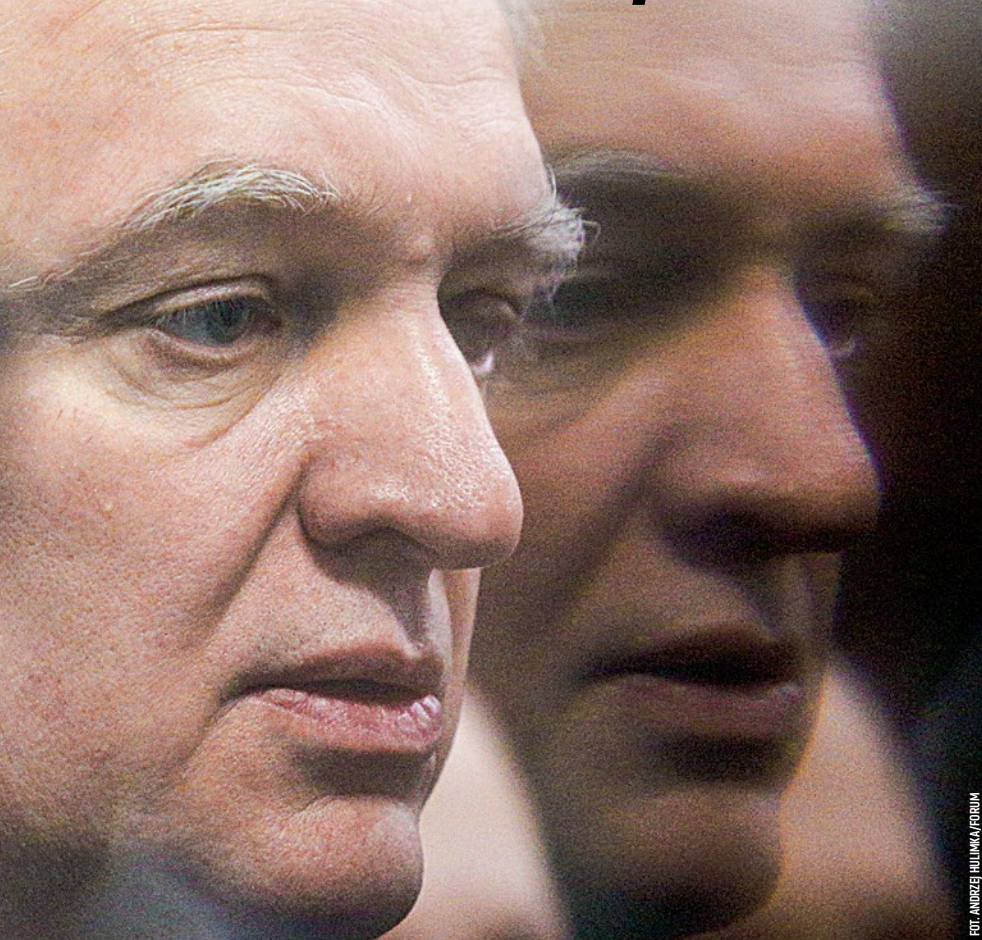
To scenariusz, o którym opozycja najczęściej mówi, ale do którego jest najmniej przygotowana. Największa partia

opozycyjna, czyli Platforma Obywatelska, właśnie pokłóciła się na śmierć z potencjalnym koalicjantem, czyli Lewicą, a do tego ma problemy wewnętrzne, bo część polityków kwestionuje cały czas przywództwo Borysa Budki. Sam lider PO zaklina rzeczywistość, że im szybciej odbędą się wybory, tym lepiej. – My, jako Koalicja Obywatelska, jesteśmy przygotowani na każdy scenariusz – stwierdził niedawno. Widząc, że to nie do końca prawda, na ratunek pospieszyła „Gazeta Wyborcza”, która piórem Dominiki Wielowieyskiej zaproponowała układ „Trzaskowski premierem, Hołownia prezydentem”. W skrócie – skoro Platforma i Polska 2050 idą w sondażach też w łeb, to bez względu, czy będą startować razem, czy osobno, powinny się dogadać i pokazać wspólnych kandydatów na najważniejsze stanowiska w państwie. Rafał Trzaskowski miałby zostać premierem, bo „w jednym z rankingów popularności zajął ostatnio pierwsze miejsce”, a wicepremierami byłiby Borys Budka i Władysław Kosiniak-Kamysz. „Opozycja w postaci KO i PSL musiałaby też przyjąć zobowiązanie, że w następnych wyborach prezydenckich poprze solidarnie Szymona Hołownię. A na razie w nowej kadencji zostanie on marszałkiem Sejmu” – czytamy dalej w „Wyborczej”.

Pytanie: Dlaczego Hołownia miałby się na taki deal zgadzać? Jego ugrupowanie rośnie w sondażach, w niektórych przegania nawet Platformę, i on jako jedyny mógłby dziś realnie zyskać na wcześniejszych wyborach. Bo wszedłby do Sejmu i nie musiałby przez kolejne miesiące prowadzić polityki z zewnątrz. – Opozycja nie jest gotowa na wcześniejsze wybory – stwierdził niedawno Hołownia. – Jest potrzebna zmiana władzy. Partie opozycyjne nie są na to gotowe, bo Lewica musi się jeszcze ze sobą „poskładać”, Platforma ma swoje problemy wewnętrzne, PSL być może by chciało, ale też musi się pozbierać – podkreślał.

Cała opozycja ma dziś jeszcze jeden ważny, jeśli nie najważniejszy, problem z ewentualnymi wcześniejszymi wyborami. Pod koniec zeszłego roku portal OKO.press zamieścił wyniki badania Ipsos, pokazującego, że zdecydowana większość, bo aż 62 proc. badanych, uważa, iż w razie przejęcia władzy opozycja nie jest gotowa do tego, by dobrze rządzić. W ostatnich miesiącach nie wydarzyło się nic spektakularnego, co mogłoby wpłynąć na zmianę tej oceny.

Konserwatysta mainstreamowy



FOT. ANDRZEJ NULIŃKA/VEBUD

go zaangażowania Pawłowskiej w Strajk Kobiet i agitacji na rzecz legalnej aborcji, którą to określiła „podstawowym i godnym” prawem człowieka. Kilka minut po ogłoszeniu transferu Twitter i Facebook zostały zalane co ciekawszymi fotografiami, na których nowa posłanka Porozumienia gorliwie wspierała Martę Lempart w jej proaborcyjnej krucjacie. Sama kwestia aborcji jest nośna medialnie i została natychmiast podchwycona przez oponentów Gowina, jednak podobnych kwiatków bez trudu znajdziemy więcej.

Sama poseł stwierdziła, że postanowiła opuścić Lewicę, gdyż partia „zupełnie nie przypomina ugrupowania, z którym się kiedyś związała”. Jak to zatem należy rozumieć? Czy Porozumienie Gowina przypomina jej Wiosnę, dzięki której dostała się do Sejmu w 2019 r.? Czy w Porozumieniu będzie miała większe szanse zdelegalizować Marsz Niepodległości, opodatkować Kościół, wprowadzić aborcję na życzenie albo ustanowić „małżeństwa jedнопłciowe”? Od Biedronia do Gowina jest rzut beretem – zdaje się twierdzić Pawłowska. Ten transfer wiele mówi o kondycji dzisiejszej lewicy, wiele o koniunkturalizmie poseł, jednak zdecydowanie najwięcej o samym Jarosławie Gowinie.

KONSERWATYWNOLIBERALNY SOCJALISTA

Slalom Gowina między prawicą a lewicą naraża go na kpiny zarówno opozycji, jak i koalicjantów z ZP. Ostatnio na konserwatywno-narodowym portalu Nowy Ład spotkałem się nawet z określeniem lidera Porozumienia mianem „prawicowego Biedronia”, co wydaje się być już stwierdzeniem na wyrost, ale jednocześnie pokazuje, jak sypie się wizerunek wicepremiera po prawej stronie.

Gowin miał rzeczywście swoje wielkie chwile w karierze. Warto tu oczywiście wskazać na zatrzymanie majowych wyborów korespondencyjnych, ale równie dobrze można przypomnieć, jak w roku 2013 doprowadził do małego buntu w PO przeciw ustawie o związkach partnerskich czy też jak udało mu się (chwilo-wo) zablokować przyjęcie przez Polskę konwencji stambulskiej. Problemem jest jednak wspólny mianownik łączący te pamiętne szarże – mają one charakter stricte defensywny. Gowin zdecydowanie opowiada się przeciwko rewolucyjnym zmianom, jednak kłopotliwą kwestią pozostaje jego program pozytywny. Jeżeli



Jan Fiedorczuk

Jarosław Gowin kieruje polską prawicę na ścieżki, którymi w przeszłości podążyli brytyjscy konserwatysty. Doświadczenie Zachodu pokazuje, że to niebezpieczna droga, z której nie ma powrotu

Konserwatysta, republikanin, katolik, wolnorynkowiec, minister Tuska, wicepremier Kaczyńskiego, buntownik... Wiele twarzy ma Jarosław Gowin. Która z nich jest jednak prawdziwa? Wszystkie? Żadna? Wice-

premier wysyłał już tyle sprzecznych sygnałów, że nie sposób pojąć, jakie stawia sobie cele w polityce. Nie licząc trwania w niej dla samego trwania. Przejście do jego partii Moniki Pawłowskiej nie jest jakimś nagłym zwrotem, a jedynie kolejnym z rzędu symptomem świadczącym o ideowych slalomie szefa Porozumienia. Ten transfer (niewątpliwie najbardziej spektakularny w ostatnich latach) na nowo każe się zastanowić, czego właściwie pragnie Jarosław Gowin i jaką prawicę chce budować.

Wicepremier podkreślał, że decyzja o przejściu wiceprzewodniczącej klubu Lewicy była przemyślana i „poprzedzona wieloma rozmowami”. Lider Porozumienia z pewnością wziął zatem pod uwagę dotychczasową karierę posłanki. Wszak nie sposób było nie uwzględnić gorliwie-

weźmiemy pod lupę wypowiedzi liderów PiS, Solidarnej Polski czy Konfederacji, to bez większego trudu uda nam się opracować zarys państwa, do jakiego dążą. Porozumienie takiej wizji nie ma.

W teorii hasła, którymi szermuje Gowin, wyglądają atrakcyjnie – prawica, ale nowoczesna; liberalna, lecz bez korwinistycznej ekstrawagancji; ceniąca suwerenność narodową, jednak nie szukająca konfliktu z Brukselą. Dodatkowo miałyby to być prawica o republikańskiej wrażliwości, skupiająca się na oddolnej inicjatywie i obywatelskim zaangażowaniu. Propozycja Gowina to taki elegancki, mainstreamowy konserwizm unikający radykalizmów, stawiający na dialog, szacunek i – nomen omen – porozumienie ponad podziałami.

Historia III RP dowodzi jednak, że nad Wisłą nie ma miejsca na tego typu centroprawicę. Umiarkowana Polska Jest Najważniejsza nie odniosła żadnego sukcesu, o Polsce Fair Play Roberta Gwiazdowskiego nikt już nie pamięta, także inicjatywa Gowina spełzała na niczym, gdyby nie pomocna dłoń prezesa PiS. Zresztą sam Kaczyński w latach 90. bez większego powodzenia formował Porozumienie Centrum w kontrze zarówno do komunistów, jak i klerykalnych radykałów. Popularna anegdota, opowiadał ją m.in. Piotr Trudnowski w rozmowie z „Do Rzeczy”, głosi, że Kaczyński swego czasu sondował, na jakie poparcie może w Polsce liczyć taka umiarkowana chadecja. Wyniki miały być jednoznaczne – takiego elektoratu po prostu nie ma. Dlatego Gowin, aby egzystować w polityce, musiał zrezygnować albo z budowy autonomicznej partii, albo z wizerunku mainstreamowego prawnika. Zdecydował się na to drugie i wybrał stanowisko wicepremiera u boku Jarosława Kaczyńskiego, przez cztery długie lata pierwszej kadencji akceptując de facto wszystkie rozwiązania autorstwa prezesa PiS. I tak Gowin wolnościowiec popierał fiskalizm i etatyzm, Gowin republikanin akceptował drogę obraną przez Telewizję Polską, a Gowin konserwatysta głosował (ale się nie cieszył) za rewolucją w sądach. Postać lidera Porozumienia zdaje się być odpowiedzią na pytanie postawione niegdyś przez Leszka Kołakowskiego dotyczące tego, „jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą”.

CAMERON ZNAD WISŁY

– Chciałbym doprowadzić do zebrań rozproszonych środowisk konserwatywno-liberalnych i zbudować

mocną partię republikańską – zapewniał nie tak dawno Gowin w rozmowie z „Rzeczpospolitą”. Jak jednak ten „konserwatywno-liberalny republikanizm” miałby wyglądać w rzeczywistości?

Lider Porozumienia od ponad pięciu lat współtworzy rząd Zjednoczonej Prawicy, jednocześnie jednak wyraźnie daje do zrozumienia, że nie jest zwolennikiem rewolucyjnych zapędów Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. Poszukując sprzymierzeńca w obozie rewolucyjnej permanentnej, wicepremier zbliżył się do Mateusza Morawieckiego. Obaj wyraźnie dawali znać, że są przeciwni wprowadzaniu przepisów antyaborcyjnych, uznając tzw. kompromis, który obowiązywał przez lata. Obaj również opowiadają się za poparciem dla Funduszu Odbudowy, mimo uszu puszczając ostrzeżenia kolegom z prawej strony, że grudniowy szczyt UE jest kolejnym krokiem w stronę federalizacji Europy, stanowi zagrożenie dla polskiej suwerenności.

To nie jest zresztą pierwszy raz, gdy Gowin znalazł się w ogniu konserwatywnej krytyki. Wszak naczelny projekt wicepremiera z pierwszej kadencji ZP reformujący uczelnie wyższe był najzacieklej krytykowany właśnie przez prawą stronę. – To katastrofa, próba leczenia polskiej nauki śmiertelną trucizną – oceniał w rozmowie z portalem wPolityce.pl słynący z konserwatywnych poglądów wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prof. Jacek Bartyzel. Reforma była zresztą szeroko komentowana na prawicy. Sceptycyzmu względem poczynań Gowina nie kryli m.in. Jarosław Marek Rymkiewicz, Andrzej Nowak (UJ), Marek Kornat (PAN), Adam Wielomski (UKSW) czy Radosław Żurawski vel Grajewski (UŁ). W 2018 r. niemal 150 naukowców i wykładowców akademickich podpisało apel dotyczący tzw. Konstytucji dla Nauki.

Gowinowi wytykano jednak nie tylko kontrowersyjną reformę, lecz także to, że w żaden sposób nie sprzeciwił się środowiskom lewicowym, które starają się podporządkować uczelnie wyższe wymogom politycznej poprawności. – Położę się Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował na uczelniach ograniczyć wolność słowa zwolennikom ideologii gender – deklarował w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” w 2019 r. Po tych słowach na lidera Porozumienia spadła fala krytyki z prawej strony. Politycy, komentatorzy – a także (choć z oczywistych względów nieco subtelniej) kadra

akademicka – okazywali irytację nagłą troską wicepremiera o światopoglądową lewicę, przy całkowitym ignorowaniu faktu, że to właśnie konserwatywne treści są na cenzurowanym. Ta kwestia nabiera dodatkowego znaczenia, jeżeli weźmiemy pod uwagę terror, jaki de facto lewica zaprowadziła na zachodnich uniwersytetach. Tam również przez lata prawica mówiła o pluralizmie i dialogu, torując tym samym drogę młodym rewolucjonistom. O tolerancji i gościnności lewicy przekonał się m.in. prof. Ryszard Legutko, którego wykład został odwołany przez władze Middlebury College po tym, jak lewicowi studenci zaczęli protestować przeciwko „rasiście z Polski”.

Tutaj jak w soczewce zdają się skupiać wszelkie problemy z konserwatyżmem Gowina. Wicepremier proponuje prawicę skrojoną pod normy TVN. To projekt prawicy mainstreamowej, która, aby nie drażnić postępowych kręgów, koncentruje się na obronie obecnego stanu posiadania. Rzecz nie w tym, że Gowin nie ma racji, tylko w tym, że – jak pokazuje doświadczenie państw zachodnich – taktyka appeasementu nigdy nie doprowadziła do ugłaskania lewicy. Siłom rewolucji nie zależy na wypracowaniu modus vivendi z konserwatystami, tylko na całkowitym przeobrażeniu obecnego ładu na swoją modłę. Niemal dekadę temu Gowin zapewniał, że jest „prawicowym mastodontem”, dla którego wzorcami pozostają Margaret Thatcher i Ronald Reagan. Liderowi Porozumienia bliżej jest jednak do innego anglosaskiego przywódcy – Davida Camerona. Brytyjscy konserwatyści już dawno oddalili się od ideałów Żelaznej Damy, lecz to dopiero Cameron dopełnił miary ich upadku. Odgrywając rolę „nowoczesnego konserwatysty”, poprowadził on torysów w stronę tęczyowych standardów, czego ukoronowaniem była legalizacja tzw. małżeństw osób tej samej płci. Oczywiście robił to w trosce o wspólnotę, argumentując, że usankcjonowanie tego typu związków jest postulatem stricte konserwatywnym.

Sam Gowin cały czas balansuje między światami. Obrana przez niego ścieżka niebezpiecznie mocno kojarzy się z „prawicą” europejską, czyli z prymitywną imitacją quasi-Burke’owskiego konserwatyżmu ewolucyjnego. To prawica, która jest akceptowana na medialnych salonach, gdyż nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czy Nawrocki zostanie szefem IPN?



FOT. WOJCIECH STRÓŻYŃSKI/REPORTER



Tomasz Rowiński

Trudno z dużą dozą pewności mówić, że w lipcu Jarosława Szarka zastąpi na stanowisku prezesa IPN Karol Nawrocki. Sprzeciwić temu może się Senat. Co to oznacza?

Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej pod przewodnictwem prof. dr. hab. Wojciecha Polaka 27 kwietnia zdecydowało, że to dr Karol Nawrocki powinien zostać nowym prezesem tej instytucji. Decyzja nie jest zaskoczeniem, już wcześniej można było usłyszeć, że dyrektor Muzeum II Wojny Światowej jest faworytem. O tym, czy faktycznie obejmie funkcję, ostatecznie zdecyduje parlament. Od 2016 r. o wyborze prezesa IPN decyduje Sejm bezwzględną większością głosów, ale za zgodą Senatu.

Dotychczasowy prezes IPN dr Jarosław Szarek podjął decyzję, że nie będzie ubiegał się o kolejną kadencję. Jego

odejście nie jest zaskakujące, choć mógł on liczyć na poparcie wicemarszałka Sejmu, jednej z najważniejszych osób w PiS, Ryszarda Terleckiego. Wizerunek dotychczasowego prezesa IPN ucierpiał po tym, jak stanął on w obronie dr. Tomasza Greniucha z wrocławskiego oddziału IPN. Gdy Greniuch został wyznaczony na p.o. szefa wrocławskiego oddziału instytutu, media obieły zdjęcia, na których historyk publicznie unosi rękę w geście salutu kojarzonego z pozdrowieniami hitlerowców. Ujawniono także związki Greniucha z ONR. Szarek próbował perswadować mediom, by z podobnym zaangażowaniem, z jakim zajmują się poglądami pracowników IPN, zajmowały

się efektami pracy instytucji. Choć ONR jest legalną instytucją, to jednak prezes Szarek 25 lutego 2021 r. poinformował dziennikarzy, że dr Greniuch został odwołany ze swojego stanowiska. Jako przyczynę podał „utratę zaufania, spowodowaną ujawnionymi obecnie działaniami pracownika sprzecznymi z misją IPN”. Niezależnie od oceny poglądów i zachowań dr. Greniucha, stało się wtedy jasne, że dotychczasowy prezes właśnie osłabił swoją pozycję polityczną.

KANDYDACI

W drugim etapie konkursu oprócz dr. Karola Nawrockiego znalazło się czterech doktorów: Adam Buława, Marek Chrzanowski, Jacek Wiatrowski i Paweł Zyzak. Wszyscy oni kojarzeni są z prawicą, ale otwarte pozostaje pytanie, czy rzeczywiście któryś z nich miał szansę zostać szefem IPN, skoro nie od dziś wiadomo, że funkcja ta ma znaczenie polityczne.

Co możemy powiedzieć o konkurentach dr. Nawrockiego? Doktor Marek Chrzanowski jest specjalistą od historii średniowiecznej. Na co dzień pełni funk-

cję dyrektora I LO im. ks. A.J. Czartoryskiego w Puławach. Zakończony konkurs to jego drugie podejście do stanowiska prezesa IPN. Pierwszą próbę podjął pięć lat temu. „Jako nauczyciel historii nie wiem, co mam mówić dzieciom, co się tam wydarzyło. Uważam też, że należy przeprowadzić ponowną ekshumację i dojść do prawdy, bo ta sprawa szkodzi wizerunkowi Polski” – mówił w 2016 r. Chrzanowski o ekshumacjach w Jedwabnem.

Doktor Adam Buława to historyk, który od roku 2016 do roku 2019 pełnił funkcję dyrektora Muzeum Wojska Polskiego. To on – obok Nawrockiego – był kandydatem z doświadczeniem w kierowaniu dużą jednostką skupioną na badaniu i popularyzacji historii. Adam Buława od ponad 20 lat, a dokładnie od 1998 r., jest też samorządowcem i zasiada w radzie warszawskiej dzielnicy Żoliborz. W latach 2014–2018 był jej przewodniczącym.

Trzecim z odrzuconych kandydatów jest kielczanin dr Jacek Wiatrowski. On także w przeszłości związany był z Instytutem Pamięci Narodowej, gdzie pełnił funkcję naczelnika Okręgowego Biura Edukacji. Obecnie jest ekspertem w zakresie bezpieczeństwa informacji i prowadzi kancelarię audytorską w swoim rodzinnym mieście.

Pewne emocje budziło przejście do drugiego etapu dr. Pawła Zyzaka, który stał się szeroko znany dzięki swojej demaskatorskiej pracy magisterskiej na temat Lecha Wałęsy. Potężny tom w wersji książkowej pt. „Lech Wałęsa. Idea i historia. Biografia polityczna legendarnego przywódcy »Solidarności« do 1988 roku” wydało w 2009 r. wydawnictwo Arcana. Książka wywołała burzliwą debatę na temat roli i dziedzictwa Wałęsy w polskiej historii najnowszej. Zarzucano jej braki warsztatowe i częściowo plotkarski charakter – Zyzak wykorzystał w niej opinie i wspomnienia osób, które stawiały Wałęsę w złym świetle, ale pozostały anonimowe. Mimo tego tom znalazł też uznanie u części krytyków, czego wyrazem było przyznanie dr. Zyzakowi Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Skrajnie sprzeczne opinie na temat książki dobrze oddają emocje, jakie ona wywoływała. Paweł Zyzak przez lata po wydaniu biografii Wałęsy przede wszystkim zbierał doświadczenia akademickie. W 2015 r. ukończył studia doktoranckie, a w roku 2018 został powołany na stano-

Jeśli Senat odrzuci kandydaturę Nawrockiego jako człowieka obozu władzy, to cały proces wyboru zacznie się od początku

wisko zastępcy dyrektora Departamentu Studiów Strategicznych w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

SPRAWDZONY CZŁOWIEK

„Poparcie mojej kandydatury przez Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, w którego skład wchodzi wybitni naukowcy, publicyści i zasłużeni członkowie opozycji antykomunistycznej w PRL, jest przede wszystkim wielkim zaszczytem. Cieszę się, że czteroletnia praca moja i mojego zespołu w Muzeum II Wojny Światowej została doceniona, a zebrane doświadczenie zaowocuje w dalszej służbie Polsce. Droga do funkcji prezesa IPN jest jednak bardzo długa i skomplikowana, więc należy się po niej poruszać z właściwym spokojem i rozważą” – powiedział dr Karol Nawrocki po decyzji Kolegium Instytutu, która sprawiła, że to on właśnie będzie przedstawiony Sejmowi, a potem Senatowi do zatwierdzenia.

Kim jest być może przyszły prezes IPN? Nawrocki w swojej pracy naukowej był pionierem badań historycznych nad polskimi grupami przestępczymi w schyłkowym okresie PRL, czyli w latach 80. Często przypomina mu się także jego karierę sportową. Nawrocki z IPN był związany od roku 2009, w latach 2013–2017 był naczelnikiem Okręgowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku.

Jednak to nie w tym doświadczeniu znajdziemy jego główną przewagę nad pozostałymi kandydatami. Nawrocki od roku 2017 jest dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, którą to placówkę przejął w trudnym politycznie momencie. Chodzi o decyzję wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego łączącą Muzeum II Wojny Światowej oraz Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. Negatywne opinie o wystawie głównej tej drugiej placówki w specjalnych recenzjach wyrazili m.in. Jan Żaryn i Piotr Semka. W konsekwencji doszło do reorganizacji. Elementem procesu przejęcia przez Ministerstwo Kultury zarządu nad pamięcią o obronie Wybrzeża był konflikt

z władzami Gdańska, którym na mocy specustawy odebrano tereny Westerplatte, by rozbudowywać nowe muzeum. Obozowi PiS bardzo zależało na tym, by móc na własnych zasadach zorganizować tam 80. rocznicę obrony przylądka. Nawrocki z tego zadania się wywiązał. Dzisiaj, podobnie jak wcześniej Jarosław Szarek, ma poparcie wicemarszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego, a także wicepremiera Piotra Glińskiego. Mówi się również, że popiera go związany z Pomorzem wiceminister kultury Jarosław Sellin.

Czy dr Karol Nawrocki ma jednak rzeczywiste szanse zostać prezesem IPN? Chociaż procedura wyboru wydaje się prosta, to można mieć wątpliwości, czy szybko doczekamy się nowej osoby na tym stanowisku. Zapewne w sytuacji, w której do Zjednoczonej Prawicy należałaby większość i w Sejmie, i w Senacie, Nawrocki mógłby już ze spokojem oczekiwać przyszłej prezesury. Jednak w obecnej sytuacji, przy oczekiwanym sprzeciwie Senatowi, może się okazać, że od początku stoi na przegranej pozycji. Jeśli Senat odrzuci jego kandydaturę jako człowieka obozu władzy, to cały proces wyboru zacznie się od początku.

JEST PLAN?

Być może jednak partia rządząca będzie starała się pozyskać bardziej konserwatywnych senatorów opozycji, by poparli ich kandydata. Jeśli taki plan nie istnieje, to oznaczałoby to świadome wystawianie faworyzowanego – a zatem uważanego prawdopodobnie za najlepszego – kandydata na utracenie. Jeśli za miarę polityczno-instytucjonalnej skuteczności Zjednoczonej Prawicy mielibyśmy brać – do pewnego stopnia analogiczną – sytuację, jaką wywołał koniec kadencji Rzecznika Praw Obywatelskich, to trudno z dużą dozą pewności mówić, że w lipcu Jarosława Szarka zastąpi w IPN Karol Nawrocki. Przypomnijmy, że Senat skutecznie od wielu miesięcy odrzucał kolejnych kandydatów na RPO, nawet jeśli przeszli oni przez głosowanie w Sejmie. Jest zatem możliwe, że Jarosław Szarek jeszcze przez wiele miesięcy będzie pełnił obowiązki prezesa IPN, co tak naprawdę jest sytuacją korzystną dla PiS. Szarek nie zostanie realizować w IPN dotychczasowej linii, a jednocześnie to na opozycję spadnie odpowiedzialność, że nie wsparła usunięcia prezesa, którego uznaje za skompromitowanego.



Integrować Ukraińców



Maciej Pieczyński

Jest ich nad Wisłą coraz więcej. Łatwo się integrują, ale trudniej asymilują. Czy musimy bać się Ukraińców w Polsce?

Polska po drugiej wojnie światowej stała się państwem właściwie monoetnicznym. Pozbawionym problemu, jakim dla II RP były agresywne, zakorzenione na swoich etnicznych ziemiach mniejszości narodowe, nielojalne wobec Warszawy i uparcie dążące do utworzenia jej kosztem własnego państwa. Ukraińcy z Podkarpacia, będący potencjalną bazą dla UPA, w ramach akcji „Wisła” zostali przesiedleni na tzw. Ziemie Odzyskane, gdzie nie mogli już czuć się u siebie. Dzisiaj, gdy ich rodacy znad Dniepru i Dniestru masowo przybywają do Polski, zdaniem wielu komentatorów wracają widma przeszłości. Sytuacja jest jednak o wiele bardziej złożona, niż to się wydaje działaczom środowisk kresowych, którzy w każdym przejawie ukraińskiej tożsamości są skłonni widzieć banderowski ślad. Drugi Wołyń nam nie grozi. To nie znaczy jednak, że nie ma powodu do obaw.

Przede wszystkim trzeba pamiętać, że Ukraińcy w Polsce nie stanowią jednolitej siły – ani pod względem politycznym, ani pod względem kulturowym, ani nawet pod względem językowym. Wiele komentatorów zdaje się tego faktu nie dostrze-

gać. Wrzucanie wszystkich Ukraińców do jednego, czerwono-czarnego worka z wizerunkami Bandery i Szuchewycza, jest rażącym uproszczeniem. Warto więc na wstępie wskazać podstawową linię podziału na dwie, zupełnie osobne grupy. Z jednej strony – mniejszość ukraińska. Czyli obywatele polscy pochodzenia ukraińskiego, zamieszkali w Polsce od pokoleń. Z drugiej strony – imigranci. Czyli obywatele ukraińscy, którzy od kilku lat w coraz większej liczbie przyjeżdżają do Polski, głównie w celach zarobkowych.

Mniejszość liczy prawie 39 tys. osób. Szacunki dotyczące liczby imigrantów są różne. Część ekspertów mówi nawet o milionie czy dwóch milionach Ukraińców w Polsce. Pewni możemy być jedynie statystyk, którymi dysponuje Urząd do spraw Cudzoziemców. Zgodnie z tymi danymi obecnie 262 336 Ukraińców posiada aktualnie ważne dokumenty uprawniające do pobytu w Polsce. To ponad połowa wszystkich cudzoziemców w naszym kraju. Większość ukraińskich imigrantów to ludzie młodzi, poniżej 40. roku życia. Przebywają w Polsce głównie krótkoterminowo. Coraz więcej z nich chce jednak pozostać na dłużej. Świadczy o tym rosnąca liczba wniosków o wydanie zezwolenia na pobyt.

POLITYCZNE ZAANGAŻOWANI

Większość obywateli polskich pochodzenia ukraińskiego to potomkowie rodzin przesiedlonych z Podkarpacia na tzw. Ziemie Odzyskane w ramach akcji „Wisła”. Jest to środowisko mocno zintegrowane pod względem kulturowym, językowym, a nawet politycznym. Najważ-

niejszą jego organizacyjną emanacją jest Związek Ukraińców w Polsce. Wieloletnim prezesem ZUWP był Piotr Tyma, historyk, zażyły krytyk polskiej prawicy. Ponadto funkcjonują też mniej znane i nie tak prężne jak ZUWP organizacje: Towarzystwo Ukraińskie, Związek Ukraińców Podlasia, Ukraińskie Towarzystwo Historyczne. Mniejszość ma również swoją, ukraińskojęzyczną prasę. ZUWP wydaje tygodnik „Nasze Słowo”, ZUP natomiast – dwumiesięcznik „Nad Buhom i Narwoju”.

Jak przystało na diasporę, polscy Ukraińcy mają silne poczucie odrębności, tożsamości narodowej. Ich swoistym mitem założycielskim jest martyrologiczny mit akcji „Wisła”, którą uważają za zbrodnię państwa polskiego na narodzie ukraińskim. W 2017 r. po raz pierwszy w dziejach III RP rząd odmówił wsparcia finansowego dla organizatorów rocznicy tego wydarzenia. ZUWP zorganizował społeczne obchody. Działacze Związku do dziś chwalą się, że była to ich „najszerzej zakrojona akcja pamięci w ostatnim czasie”. Ponadto przed wybuchem pandemii organizowane były liczne wydarzenia kulturalne.

Środowisko ZUWP nie kryje swoich sympatii politycznych. Miron Sycz, syn działacza OUN i partyzanta UPA Ołeksandra Sycza, należał najpierw do UW, następnie do PO. Jest członkiem zarządu ZUWP. Podobnie jak Mirosław Czech – w przeszłości działacz Unii Demokratycznej i UW. Publicyści „Naszego Słowa” otwarcie wyrażali niezadowolenie z faktu, że Andrzej Duda pokonał Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Hryhorij Spodaryk z rozbrajającą szczerością przyznał, że ZUWP

zawsze był zaangażowany politycznie najpierw po stronie Unii Wolności, następnie po stronie PO. Dodał też, że podobnie mogłyby się ułożyć relacje Związku z PiS. Stawia jednak „prosty warunek”. Oto partia Kaczyńskiego, aby zasłużyć na poparcie Polaków ukraińskiego pochodzenia, musiałaby zacząć „szanować wszystkich, przestać dzielić społeczeństwo oraz zacząć przestrzegać zasad demokratycznych”.

Organizacje zrzeszające polskich Ukraińców angażują się też w politykę zagraniczną. Właśnie na zaproszenie tych środowisk w 2018 r. przyjechał do Polski Petro Poroszenko. Ówczesny prezydent Ukrainy wziął udział w uroczystościach upamiętniających zbrodnię dokonaną przez polskie podziemie na ukraińskich cywilach w Sahryniu. Poroszenko towarzyszyli m.in. ówczesny szef ZUwP oraz Grzegorz Kuprianowicz, prezes Towarzystwa Ukraińskiego w Lublinie. Kuprianowicz wygłosił wówczas skandaliczne przemówienie, w którym nazwał mord w Sahryniu „zbrodnią przeciwko ludzkości”, popełnioną przez „członków narodu polskiego”. Nie dodał przy tym, że zbrodnia ta pod względem skali i okrucieństwa była nieporównywalna z ludobójstwem na Wołyniu. Obchody odbyły się 8 lipca. To o tyle ciekawe, że rocznica mordu w Sahryniu przypada 10 marca... W oczywisty sposób zatem celem wydarzenia było przykrycie rocznicy „krwawej niedzieli” 11 lipca, względnie – zbudowanie fałszywej symetrii win. I tak Andrzej Duda, ograny jak dziecko przez ukraińskiego prezydenta, samotnie składał kwiaty w pustym polu na Wołyniu, podczas gdy Poroszenko, otoczony wianuszkami polskich Ukraińców, na polskiej ziemi mówił o polskich zbrodniach.

FUNDAMENTALNE RÓŻNICE

Dla środowiska ZUwP charakterystyczna jest mentalność „oblężonej twierdzy”. Oblężonej przez złych polskich nacjonalistów, którzy współ z kremłowską agenturą tępią wszystko, co ukraińskie. Pytanie zasadnicze: Czy ukraińscy imigranci mogą tę twierdzę wzmocnić? W najbliższym czasie to bardzo mało prawdopodobna perspektywa. Przed aneksją Krymu i wybuchem wojny w Donbasie do Polski przyjeżdżali głównie mieszkańcy zachodnich, a więc bardziej świadomych narodowo, obwodów Ukrainy. Po 2014 r. rośnie liczba migrantów z centralnej i wschodniej czę-

ści kraju. Wielu albo mówi po rosyjsku, albo posługuje się surżykiem (mieszaną ukraińskiego i rosyjskiego). To dla polskich Ukraińców realny problem. Po pierwsze – z reguły nie znają rosyjskiego. Po drugie – uważają ten język za język wroga. Słyszałem o wielu sytuacjach, w których działacze ZUwP odmawiali pomocy obywatelom Ukrainy tylko dlatego, że ci ostatni mówili po rosyjsku albo surżykiem.

Ponadto, niezależnie od kwestii językowej, dość oczywiste jest, że obywatele Ukrainy przyjeżdżają do Polski z powodów ekonomicznych, a nie ideowych. Ich celem jest zarobek, a nie banderowska rewolucja. Jeśli ktoś jest ukraińskim nacjonalistą, żadnym krwi wrogów swojej ojczyzny, to tej krwi szuka na wschodzie kraju, a nie za jego zachodnią granicą. Oczywiście migranci też zaczynają się organizować w grupy. Są to jednak raczej grupy niezależne od upolitycznionych, zideologizowanych struktur typu ZUwP. Dobrym przykładem jest szczecińskie stowarzyszenie Mi-Gracja. Zajmuje się ono szeroko pojętym wsparciem dla imigrantów, pomaga im się też integrować. Co istotne, zrzesza Ukraińców, Białorusinów i Rosjan. Z natury rzeczy więc wyklucza banderowskie resentymenty. Sojusz tego typu organizacji z hurrapatriotami ze środowiska ZUwP wydaje się bardzo mało prawdopodobny. Kolejna fundamentalna różnica tkwi w religii. Według ostatniego spisu powszechnego 40 proc. polskich Ukraińców to wierni Kościoła greckokatolickiego, który tradycyjnie był i jest ostoją ukraińskiego nacjonalizmu. Tylko 19 proc. stanowią wyznawcy prawosławia, które dominuje wśród przybyszów z centralnej i ze wschodniej Ukrainy.

To wszystko jednak nie oznacza, że nie dochodzi do prób połączenia obu środowisk. Kilka dni temu ruszyła Koalicja Organizacji Mniejszościowych i Migranckich. Zrzesza głównie organizacje ukraińskie. Retoryka Koalicji ma jednak raczej charakter lewicowej, równościowej nowomowy i jest adresowana do mniejszości jako takich, nie jest natomiast ukierunkowana na krzewienie tożsamości narodowej w opozycji do państwa przyjmującego. Z dokumentu przygotowanego pod koniec ubiegłego roku przez MSWiA wynika jasna konkluzja: sytuacja demograficzna coraz bardziej będzie zmuszać polski rząd do sprowadzania imigrantów. Autorzy prognozy ostrzeżają,

że jeśli zabraknie Ukraińców, to trzeba będzie „uruchomić nowe kanały migracyjne, prawdopodobnie z kierunków, które będą się wiązały z wyższymi kosztami integracji”. Niespecjalnie więc możemy sobie pozwolić na zatrzymanie fali zza południowo-wschodniej granicy.

ZACHĘĆ DO POLSKOŚCI

Poza wszystkim Ukraińcy, którzy przyjeżdżają do Polski do pracy, bez wątplenia są nam bliżsi kulturowo niż choćby przybysze z krajów muzułmańskich. Oderwani od korzeni nie czują się u siebie. Kierują nimi cele praktyczne, nie zaś ideologiczne. Szybko się integrują, bo nie po to wyjechali do „lepszego świata”, by ten świat zmieniać albo by się od jego wartości izolować. Jednak integracja nie oznacza asymilacji. Zresztą państwo polskie w oficjalnych dokumentach nie używa tego drugiego pojęcia. Nie ma programu polonizacji migrantów. Ukraińcy, jeśli tu zostaną, pozostaną nadal Ukraińcami. Z reguły szybko uczą się języka polskiego. Wiadomo bowiem, że bez jego znajomości nie osiągną sukcesu na rynku pracy.

Dlatego trzeba zrobić wszystko, aby oprócz integracji zwyczajnie opłacała im się asymilacja. Czyli: nie przesadzać z kulturową gościnnością. Język ukraiński nie powinien być przesadnie obecny w przestrzeni publicznej – nawet w biletomatach w komunikacji miejskiej. Ale też błędem byłaby zbyt natrętna polonizacja czy stygmatyzacja – im gorzej będą traktowani, im bardziej pogardzani, im częściej wyzywani od „banderowców”, tym prędzej się do tej polskości zniechęcą. A do polskości trzeba ich zachęcić, uniemożliwiając jednocześnie funkcjonowanie w Polsce bez znajomości języka polskiego i bez poszanowania dla polskiej kultury. Gościnnie, ale bez przesady. Gościnnie, ale stanowczo, wyznaczając jasne granice. A już na pewno nie można dopuścić do tworzenia się zwartych skupisk ludności ukraińskiej. Nie mogą być przywiązani do miejsc, które potem mogą uznać za swoje. Trzeba zrobić wszystko, aby przedstawiciele tej być może niebawem kilkumilionowej grupy więcej wspólnego mieli z państwem polskim niż ze sobą nawzajem. Bo w przeciwnym razie, nawet jeśli nie uda im się porozumieć ze strukturami nacjonalistycznej mniejszości, sami mogą stworzyć siłę polityczną, która będzie reprezentować ich interesy.

JAN HLEBOWICZ: Jaką postawę wobec komunistycznych władz przyjął dziadek Józef Woźnicki?

PIOTR SEMKA: Przypuszczam, że była to postawa „państwowca”, „bezpартyjnego fachowca”, trzymającego się z dala od PPR i PZPR, a jednocześnie jakoś zginającego kark przed nową władzą. Najlepiej postawę dziadka charakteryzują wpisy z dziennika prowadzonego w tamtym czasie przez moją mamę Alinę. 19 stycznia 1946 roku: „O ósmej trzydzieści słuchaliśmy audycji polskiej z Anglii i wypiliśmy herbatę z UNRRA. W łóżku czytałam »Tygodnik Powszechny«. Inny wpis mamy, dokładnie rok później: „Rodzice poszli głosować. Głosował tylko tata, bo wpięrow wpuszczają jedynie grupy ludzi manifestacyjnie głosujących na listę rządową numer 3. Tata na ten numer właśnie głosował i robił to w taki sposób, żeby każdy widział, na co głosuje”. Dziadek najprawdopodobniej nie miał wątpliwości, że odmowa udziału w zbiorowym jawnym głosowaniu na listę rządową będzie oznaczała usunięcie ze stanowiska i koniec kariery akademickiej. Zgiął więc kark. Co ciekawe, babcia Maria, żona Józefa, nie poszła głosować razem z nim na reżimowy Blok Demokratyczny. Wyraziła swoje poparcie, oddając głos na PSL. Trzeba jednak oddać dziadkowi to, że nigdy się do PZPR nie zapisał.

Zgięty kark, o którym mówisz, to cena, jaką twój dziadek zapłacił za...

... realizację swojego powołania i pasji. Mógł pływać na morzu, choć już nie na okręcie wojennym, tylko na statku hydrograficznym. Mógł uczyć kolejne pokolenia młodych Polaków na Politechnice Gdańskiej, jak tworzyć kadry morskie powojennej ojczyzny. Ci z jego kolegów, którzy zgłosili się do marynarki, byli w czasach stalinowskich represjonowani i sądzeni. Część przypłaciła to życiem, inni wyrokami wieloletniego więzienia. Jeden z dowódców, którzy uwierzyli w możliwość powrotu po wojnie do służby czynnej, kontradmirał Włodzimierz Steyer, bohater obrony Helu w 1939 roku, został w bezpardonowy sposób usunięty z marynarki i wegetował, zatrudniony „z łaski” jako prosty księgowy w gminnej spółdzielni Samopomoc Chłopska w Ostrołęce.

W tym samym ponurym okresie stalinowskim Józef Woźnicki otrzymał od władzy ludowej Złoty Krzyż Zasługi za dokonania w odbudowie gospodarki morskiej.



Gdańsk, Główne Miasto, po zniszczeniach drugiej wojny światowej. Na pierwszym planie: ul. Świętego Ducha (zburzona zabudowa), po prawej: Kaplica Królewska, w środku: kościół Mariacki, po lewej: wieża Ratusza Głównego Miasta FOT. WIKIPEDIA



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową

Cóż, podpis Bieruta widoczny na odznaczeniu do dziś kluje w oczy. Czy dziadek miał z tego tytułu wyrzuty sumienia? Nie wiem. Wyobrażam sobie, jak mógł odpowiadać na pytanie, czy nie żał mu kolegów, którzy w przeciwieństwie do niego odsiadali w tym czasie wyroki: „Czy oni nie widzieli w 1945 roku sowieckich doradców? Nie zdawali sobie sprawy, jaka to będzie armia?”. Dziadek uznał, że epizod wojskowy jest dla niego zamknięty. Zaczął odbudowywać po wojnie gdańską politechnikę, ponieważ tak rozumiał rację stanu Państwa Polskiego nad Bałtykiem.

W której tradycji wzrastałeś – dziadka Jana, wychowanego w kulturze pogranicza niemiecko-polskiego, czy dziadka Józefa, wilniuka? Obaj byli żołnierzami AK. Jednak po wojnie wybrali zupełnie odmienne drogi.

Początkowo zdecydowanie bardziej w tradycji dziadka Józefa, ponieważ mieszkaliśmy z jego żoną, babcią Marią, która miała na mnie niezwykle duży wpływ. Muszę w tym miejscu dodać, że babcia nigdy nie zapomniiała komunistom ani zniewolenia Polski, ani zniszczenia kadry przedwojennej marynarki. Jej antykomunizm był namacalny i w znacznym stopniu mnie kształtował. Z drugiej strony, tak jak wspominałem, o losach Jana Semki i jego synów, w tym także mojego ojca, przez dłuższy czas w domu się właściwie nie mówiło. Już jako człowiek dorosły zacząłem lepiej poznawać świat dziadka Jana, który zapłacił niemałą cenę za podjęcie tożsamościowego wyboru na korzyść Polski, a nie Niemiec. Tylko ludzie, którzy doświadczyli tak bliskiej obecności kultury i mentalności naszych zachodnich

sąsiadów, są w stanie zrozumieć zagrożenia płynące ze strony Niemiec w latach 30. i 40. XX wieku. [...]

Wybory Jana i Józefa odzwierciedlają postawy wielu ludzi powojennych czasów.

Ci, którzy wybierali aktywność „pozytywistyczną”, musieli przyglądać się bezczynnie, jak deptane jest wszystko, co dla nich święte. Z kolei uczestnicy konspiracji często dochodzili do refleksji, że ich działalność ma charakter straceniowy.

Profesorskiemu statusowi dziadka Józefa wasza rodzina zawdzięczała duże pomieście mieszkanie w Gdańsku-Wrzeszczu. Tam upłynął czas twojego dzieciństwa...

Mieszkaliśmy przy ulicy Sobótki 22/4. Wrzeszcz był po wojnie dzielnicą gdańskiej inteligencji. To tutaj, w dużych, pomieściowych mieszkaniach, żyli między innymi wykładowcy Politechniki Gdańskiej czy Akademii Medycznej. W znacznej mierze pochodzący z Kresów – Wilna i Lwowa. To był wyjątkowy mikrokosmos, w którym mieszały się tradycje repatriantów z tradycjami autochtonów – niemieckojęzycznych mieszkańców przedwojennego Wolnego Miasta Gdańska. W mojej kamienicy mieszkała na przykład rodzina Miothke. Mówili z twarzym, niemieckim akcentem, ale całkowicie czuli się Polakami. Z drugiej strony pamiętam też wielodzietną dziewięcioosobową rodzinę Reinke, która w 1976 roku wyjechała do Niemiec. W Gdańsku po drugiej wojnie światowej zwyczajnie nie czuli się jak u siebie w domu.

Kto był najważniejszą postacią w domu?

Babcia Maria. Pochodziła z domu Krywatorowiczów. To była stara rodzina polska żyjąca na Litwie. Jej ojciec był właścicielem kantoru kupieckiego w miejscowości Berdiańsk nad Morzem Azowskim. Jego biznes opierał się na handlu z Turcją. Babcia Maria kształciła się i wychowywała w pensji dla wysoko urodzonych panien w Wilnie, a jednocześnie stale podróżowała ze swoim tatą po imperium rosyjskim. Pamiętam, że do końca życia potrafiła z pamięci zaśpiewać hymn „Boże, zachowaj cara”. Recytowała też wiersze wybitnych rosyjskich poetów. Wzrastała w tradycji przerażenia i współczucia dla zagłady tak zwanej białej Rosji. Opowiadała mi o ciekawym epizodzie z czasów rewolucji lutowej. Jak wiadomo, car Mikołaj II był skoligacony z brytyjską rodziną królew-

ską. Na wieść o jego uwięzieniu w Carskim Siole Brytyjczycy przysłali flotę, proponując, by Rząd Tymczasowy przekazał cara w ich ręce. Babcia mówiła, że okręty brytyjskie stały na rzemie Petersburga, ale Mikołaj II nie zdecydował się na ten krok. Uznał, że byłaby to zdrada. Babcia do końca życia była pod wrażeniem jego decyzji oraz etosu i zasad, które reprezentował. Te sympatie rosyjskie przełożyły się na mnie. Zawsze chętnie uczyłem się tego języka, oddzielając kulturę i społeczeństwo Rosji od komunistycznej władzy, której szczerze (podobnie jak babcia) instynktownie nie akceptowałem.

Z czego wynikała ta babcina nienawiść do bolszewizmu?

Jako żona przedwojennego oficera miała bardzo wysoki status społeczny i materialny. Ordynans, ekskluzywne mieszkanie, samochód służbowy, pokojówki były na porządku dziennym. Podobnie jak wakacje w Normandii czy Bretanii. To wszystko odebrał jej komunizm.

W ciągu siedmiu miesięcy 1945 roku Gdańsk zasiedliło ponad 23 tys. Polaków z byłych Kresów II RP, co stanowiło 30 proc. nowej gdańskiej społeczności. Wśród 165 tys. obywateli polskich u schyłku 1948 roku w Gdańsku około 16 proc. stanowili repatrianci. Kresowy duch powojennego Gdańska był odczuwalny?

Pamiętam Gdańsk jako miasto przeziębione tradycją kresową. To dopiero Donald Tusk przykleił na siłę Gdańskowi pewien rys sentymentu za „wolnym miastem”, po którym dziś jeżdżą tramwaje nazwane na cześć niemieckich naukowców czy artystów. Także obecne władze miasta od lat przekonują mieszkańców, że niezależność, umiłowanie wolności, Solidarność wynikają z hanzeatyckiej przeszłości. To oczywista bzdura. Nieubłagany gdański antykomunizm oraz duch wolności wynikają z kresowych korzeni – specyficznego wychowania, głębokiej wiary i żarliwego patriotyzmu ludzi, którzy przybyli na Pomorze po 1945 roku. Bez nich nie byłoby Grudnia '70 i Sierpnia '80. Gdańscy kresowianie nie mieli złudzeń, czym jest komunizm. Pamiętali dwie sowieckie okupacje, a także między innymi wiarołomny atak NKWD na AK po zdobyciu Wilna. Wiedzieli, czym są nocne aresztowania, wywózki, strzały w tył głowy. I właśnie



te nagromadzone przez lata rachunki wyrównali, paląc w Grudniu '70 pałac władzy komunistycznej, czyli Komitet Wojewódzki PZPR. „Kresowy brak złudzeń” wobec komunizmu był widoczny także w gdańskiej opozycji. Na przykład dla ludzi Ruchu Młodej Polski bohaterem był ksiądz

Józef Zator-Przytocki, proboszcz kościoła Na Czarnej we Wrzeszczu, a potem bazyliki Mariackiej, kapelan i podpułkownik kresowych oddziałów AK. Jeden z najważniejszych przedstawicieli opozycji przedsierniowej – Tadeusz Szczudłowski, związany z ROPCiO – był przedwojennym lwowiakiem.

Jestem więc przekonany, że to kresowe korzenie, a nie na siłę przywoływane tradycje Hanzы uczyniły z Gdańska miasto wolności. Miasto, które z powodzeniem rzuciło wyzwanie komunizmowi.

Gdańsk twojego dzieciństwa to miasto, w którym namacalnie odczuwałeś skutki wojny?

Pamiętam zrujnowany kościół Świętej Brygidy. Chodziliśmy tam razem z bratem, bez wiedzy rodziców, i patrzyliśmy na wielką zniszczoną bryłę świątyni. Aż dziw, że jakaś cegła nie spadła nam na głowę. Ciągłe też stykaliśmy się z ludźmi doświadczonymi wojną. Pamiętam, że częstym gościem na naszym podwórku był niejaki Adamek. W roku 1970 miał około czterdziestu lat. Kiedy mijało się go po drodze, zawsze mamrotał pod nosem: „Wędkę mi zniszczyli, wędkę mi zniszczyli”. Tylko to jedno zdanie na okrągło. Pamiętam, że z braćmi i kolegami z podwórka naśmiewaliśmy się z niego. W pewnym momencie podszedł do nas inny dorosły sąsiad i potężnie nawrzeszczał. Absolutnie zakazał nabijania się z tego człowieka. Później, na spokojnie, wytłumaczył nam, że Adamek w czasie niemieckiej okupacji przeżył ogromną traumę – został skatowany przez Niemców i od tamtej pory nie odzyskał psychicznej równowagi. To nam dawało do myślenia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

Dotychczas wydrukowaliśmy następujące fragmenty książki:

- „Jak Semkowie Polskę wybrali” – nr 16/2021
- „Dziadek Jan i dziadek Józef” – nr 17/2021



FOT. ADRIAN STOK

Nauka w wakacje?



Łukasz Zboralski

Podczas zdalnej edukacji uczniowie wiele stracili. Na świecie nikt nie ukrywa, że trzeba to będzie nadrobić, i padają propozycje dodatkowych zajęć, nawet w wakacje. Dlaczego polski rząd nie ma takiej odwagi?

Mimo czasem ogromnego wysiłku nauczycieli, samych uczniów, a nawet ich rodziców zdalne nauczanie – do którego zmusiła cały świat pandemia koronawirusa – nie było tak efektywne jak tradycyjna nauka

w szkolnych ławach. Wie o tym każdy, kto obserwował postępy własnych dzieci, wiedzą o tym dobrze też pedagodzy.

I nie chodzi tu wyłącznie o problem z przekazywaniem wiedzy na odległość czy ze skutecznym badaniem tego, czego nauczyły się dzieci. Chodzi także o problemy natury emocjonalnej, które mocno dotykały uczniów podstawówek i nastolatków. Dla najmłodszych dzieci trudne było już samo utrzymanie dyscypliny. Przy pracujących rodzicach, czasem poza domem, młodszy uczniowie – czasem do tej pory notujący świetne wyniki w nauce – nagle zostawiani sam na sam z komputerem nie potrafili powstrzymać pokus gier, YouTube i wielu innych rzeczy. Czy można się dziwić, że ulegali, skoro do wyboru mieli z jednej strony nieprzebrane morze rozrywki, a z drugiej – nauczycielski wykład na Teams? Dlatego nie brak swia-

dectw zrozpaczonych rodziców, którzy zmagali się z nagłym obniżeniem ochoty do nauki swoich pociech skutkującym coraz gorszymi stopniami.

Prognozowany efekt zamknięcia dzieci w domach nie napawa optymizmem – różne analizy (m.in. Banku Światowego) wskazują, że obecne pokolenie będzie słabiej wykształcone niż poprzednie.

– W kilku krajach, m.in. Europy Zachodniej, przeprowadzono standaryzowane oceny dzieci – takie, które da się porównać z międzynarodowymi wynikami sprzed pandemii. Rozrzut wyników pomiarów straty edukacyjnej jest dość duży, waha się od kilkunastu do kilkudziesięciu procent utraty rocznego przyrostu wiedzy w roku zamknięcia szkół. Nawet te mniejsze oszacowania to jednak ciągle ogromna utrata wiedzy, która rzutuje na kolejne lata nauki i je

obciąża – mówił niedawno w wywiadzie dla naszego tygodnika dr Tomasz Gajderowicz, ekonomista, ekspert w zakresie relacji między edukacją a rynkiem pracy z Evidence Institute oraz Uniwersytetu Warszawskiego (nr 15/2021 „Do Rzeczy”). Wskazywał, że ten problem najmocniej dotyka dzieci z biedniejszych rodzin, z trudniejszą sytuacją społeczną.

To wszystko prawdopodobnie będzie miało dalekosieczne skutki. Pandemiczne pokolenie, gdy wejdzie na rynek pracy, zarabiać będzie mniej. Z szacunków Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że uczący się dziś Polacy będą mieli dochody mniejsze o ok. 5,8 proc. od dziś obecnych na rynku pracy.

ZA GRANICĄ SYPIĄ PIENIĘDZMI I POMYSŁAMI

Nie wszystko da się nadrobić w kolejnych klasach. Kto nie poznał i dobrze nie zrozumiał pewnych podstaw matematyki, ten będzie miał kłopot z dalszym rozbudowywaniem myślenia matematycznego. Dotyczy to w takim samym stopniu innych szkolnych przedmiotów.

Na świecie urzędnicy odpowiedzialni za oświatę i eksperci nie tylko więc od dawna już – inaczej niż w Polsce – diagnozują, jakie straty edukacyjne poniosły dzieci, lecz także łamią sobie głowy nad tym, jak temu zaradzić.

Rząd Wielkiej Brytanii już na początku marca zadeklarował, że przeznaczy w sumie 700 mln funtów na zajęcia dla uczniów, którzy najbardziej potrzebowali uzupełnienia wiedzy. Przy czym to szkoły same będą decydować, jak wykorzystają wsparcie finansowe. Wiadomo, że część placówek będzie mogła organizować zajęcia dla uczniów latem. Do takich posunięć rządzących w Wielkiej Brytanii zmusza m.in. presja rodziców. Jak wynika bowiem z badań Institute for Fiscal Studies, aż dwie trzecie brytyjskich rodziców jest poważnie zaniepokojonych ilością wiedzy, którą ich dzieci straciły przez zdalne nauczanie i zamknięte szkoły. Część z nich uważa nawet, że ich dziecko takich zaległości już nigdy nie nadrobi. Dlatego – jak wskazało badanie IFS – aż 90 proc. brytyjskich rodziców przychylnie patrzy na rządowe zapowiedzi nadrobienia wiedzy.

Gavin Williamson, minister edukacji w gabinecie Borisa Johnsona, także jeszcze w marcu ujawniał, że tamtejszy rząd rozważa kilka opcji pomocy dzieciom w nauce. Chodzi m.in. o wydłużenie dnia

nauki szkolnej, a także o krótszą przerwę wakacyjną. I to nie tylko na jeden rok! Być może wakacje w Anglii będą permanentnie skracane aż do 2024 r. Taki horyzont zarysował Kevan Collins – zatrudniony specjalnie w rządzie jako ekspert do sprawy „podnoszenia osiągnięć dzieci” utraconych przez pandemię.

Podobne propozycje wysuwane są w USA. Już w lutym prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden zgodził się z ekspertami, którzy zasugerowali, że do nadrobienia zaległości edukacyjnych powinno się wykorzystać letnią przerwę w szkołach. Popierają to nawet związkowcy nauczycielscy. Według „New York Timesa” Randi Weingarten, szefowa American Federation of Teachers, powiedziała, że część rządowych pieniędzy na wsparcie w pandemii dystrykty powinny wykorzystywać na uczynienie z lata „kolejnego drugiego semestru” w szkołach.

Mike Bloomberg w płomiennym tekście wezwał Bidena do przeforsowania nauki latem. „Odwołanie wakacji może nie być popularnym pomysłem, ale jest to imperatyw narodowy podczas historycznego kryzysu” – napisał. I ostrzegł, że bez nadrobienia strat edukacyjnych, zwłaszcza u dzieci, którym rozwarstwienie społeczne i tak daje mniejsze szanse w życiu, USA grozi „dewastacja kraju”.

W samych Stanach dyskutuje się też o tym, że pandemia w ogóle może zmienić dotychczasowy, utrwalony także w Polsce, model długich letnich wakacji na rzecz krótszych przerw, rozłożonych w innych okresach roku szkolnego.

MEN NIE CHCE, NAUCZYCIELE TEŻ PRZECIW

W Polsce o skróceniu wakacji urzędnicy nawet nie myślą. – Nie ma żadnych zmian w obecnym kalendarzu szkolnym – informuje „Do Rzeczy” Anna Ostrowska, rzeczniczka Ministerstwa Edukacji i Nauki. Wcześniej takie spekulacje przecinał już sam minister, uznając, że zaległości będą nadrobiane od września. – Wakacje są po to, żeby odpocząć – skwitował Przemysław Czarnek w Polskim Radiu 24.

Przeciwni takim pomysłom są też sami nauczyciele. – Uważam, że skracanie wakacji to niedobry pomysł. Bo kogo tym ukarujemy? Dzieci! One i tak zostały już podczas pandemii solidnie poobijane w sensie emocjonalnym. Dlatego nie rekomendowałbym tego rodzaju zmian. Każde dziecko ma inny rodzaj braków i znajdzie-

nie złotego środka byłoby bardzo trudne – mówi „Do Rzeczy” Sławomir Broniarz, szef Związku Nauczycielstwa Polskiego. – Nie jestem też zwolennikiem mówienia o „straconym pokoleniu”, o dramatycznych wyzwaniach. Nauczyciele sobie dadzą radę i dzieci też. Nie stygmatyzujemy ich. Jako system edukacji z tym wyzwaniem sobie poradzimy – uważa.

Przyznać trzeba, że do dodatkowej pracy nie palą się zresztą nie tylko polscy nauczyciele. Jak wynika z badania YouGov „Teacher Tracker”, ponad 90 proc. brytyjskich nauczycieli jest przeciwnych przedłużaniu dni szkolnych, a 89 proc. nie chce skracania tegorocznych wakacji letnich, by zapewnić więcej czasu uczniom do nadrobienia zaległości. Część z nich jest przekonana, że byłoby to dodatkowym obciążaniem dzieci, których psychika i tak już mocno ucierpiała.

Na to samo wskazuje Dorota Łoboda, warszawska radna, jedna z liderek ruchu Rodzice przeciwko Reformie Edukacji. – To, że nauka była zdalna, nie oznacza, że uczennice i uczniowie odpoczywali – wskazuje Łoboda. – Nauka zdalna wymagała od nich tyle samo, a czasem nawet więcej pracy niż nauka stacjonarna. Do tego dzieci i młodzież są po prostu zmęczone długotrwałą izolacją i zamknięciem w domach. Dla ich kondycji psychicznej potrzebny jest odpoczynek i spokojny powrót do zwykłego życia. Priorytetem powinien być stan psychiczny uczennic i uczniów, a nie odrabianie strat edukacyjnych.

Tymczasem premier Mateusz Morawiecki zapowiedział, że tuż po majówce do szkół wrócą uczniowie klas I–III szkół podstawowych. Potem, od 15 maja, hybrydowo zaczną się uczyć uczniowie starszych klas podstawówek oraz uczniowie szkół średnich. I tylko po to, by dwa tygodnie później wszyscy już siedzieli w ławkach. Pełen powrót do szkół pod koniec maja oznaczał będzie zaledwie trzy tygodnie nauki stacjonarnej. I to już nie zadowoli ani rodziców (wysyłanie dzieci na końcówkę roku szkolnego wielu odbiera jako zagrożenie zachorowaniem akurat na wakacje), ani dzieci (część nauczycieli już przygotowuje sprawdziany, by „testować” wiedzę ostatnim rzutem na taśmę, więc zgotuje im kolejne piekło) i niczego też w tegorocznej edukacji już nie zmieni – może poza jednym, bardzo istotnym aspektem, czyli chwilą na odbudowanie społecznych więzi.



Rafał A. Ziemkiewicz

Nowa „seksinba” na lewicy tym razem wybuchła w gronie „antyfaszystów” na Uniwersytecie Warszawskim

Sprawa Marcina Kozaka, lewicowego aktywisty, doktoranta UW i współpracownika antypisowskich inicjatyw OKO.press i Archiwum Osiatyńskiego, oskarżonego przez działaczkę tzw. Studenckiego Komitetu Antyfaszystowskiego o gwałt, to kolejna okazja, by dostrzec rozpanoszenie się w Polsce patolewicy. I kolejny dowód, że ulubionym przysmakiem rewolucji są jej własne dzieci.

Pod wieloma względami kolejna już „seksinba” na lewicy przypomina pomówienia, jakimi grupa feministek z portalu Codziennik Feministyczny posłużyła się kilka lat temu wobec lewicowego publicysty Jakuba Dymka oraz dziennikarza „Gazety Wyborczej” Michała Wybieralskiego. Różnica jest tylko taka, że Kozakowi postawiono zarzut poważniejszy. Zdaniem oskarżycielki, studentki Darii Kondraciuk (z początku występującej jako „Karolina” – to charakterystyczne dla takich spraw, że media i instytucje występujące z oskarżeniem z punktu ujawniły personalia atakowanego mężczyzny, oskarżycielce starały się natomiast zapewnić anonimowość), Kozak na wyjazdowej imprezie miał jej podać środki odurzające, a po utracie przytomności uprowadzić do swego pokoju i tam „gwałcić do rana”. To już nie jakieś niezdefiniowane prawnie „molestowanie” czy „zachowania przemocowe”, tak jak ujmowały w swoim feministycznym żargonie zarzuty autorki Codziennika, tylko poważne przestępstwo zagrożone karą bezwzględnego więzienia od kilku do nawet kilkunastu lat.

OSKARŻANIE LEWICOWE

Podobieństw jest jednak więcej. Tak samo jak w sprawie Dymka i Wybieralskiego, oskarżenia oparte są na niepopartej żadnymi dowodami materialnymi opowieści domniemanej ofiary, niemającej nawet rangi oficjalnego zeznania, więc ewentualne odstępstwa od prawdy nie pociągną za sobą żadnych konse-



kwencji. Podobnie jak w wypadku rzekomej ofiary Jakuba Dymka (w języku „komitetu”, który ogłosił zarzuty przeciwko Kozakowi: „przeżywczyń”) okazało się, że po domniemanym gwałcie studentka utrzymywała z rzekomym gwałcicielem relacje o jednoznacznie romansowym charakterze. Na upublicznienie przez Kozaka dowodzących tego screenów z internetowego komunikatora Kondraciuk odpowiedziała wyjaśnieniem, że podtrzymywała znajomość, licząc, iż skłoni go do przemyślenia swego złego zachowania i przeprosin.

Okazało się też, że już w czasie, gdy uprawiała seks z doktorantem (jej zdaniem – odurzona, jego zdaniem – dobrowolnie), była w relacji z jednym z liderów Studenckiego Komitetu Antyfaszystowskiego – która to organizacja medialnie nagłośniła sprawę, co charakterystyczne, w formie ataku nie tyle na Marcina Kozaka, ile na władze Uniwersytetu Warszawskiego, wspomniane antypisowskie media i prokuraturę, że ośmielają się „badać sprawę”, zamiast z punktu, na podstawie samego oskarżenia, wyciągnąć wobec obwinionego najsurowsze konsekwencje. Apel ten zresztą odniósł skutek: podobnie jak wymienionym poprzednikom oskarżonemu zadano

natychmiast śmierć cywilną, zrywając z nim współpracę w mediach i na uczelni.

Kondraciuk w wydawanych oświadczeniach rozwodzi się głównie nad tym, jak głęboką ma traumę i depresję po tym, czego doświadczyła od seksualnego drapieżcy; Kozak nad tym, że padł ofiarą jej cynicznych kłamstw i zemsty jej kochanka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się próbował w tym grzebać i brać którejkolwiek ze stron, nie dysponując opiniami biegłych psychologów, zeznaniami świadków, zwłaszcza współlokatora Kozaka z inkryminowanego „wyjazdu integracyjnego”, i innymi dowodami, które władne są zebrać tylko organy ścigania.

Ciekawy i wart osobnego rozpatrzenia wydaje się poboczny wątek z oświadczenia Kozaka. Aby uprawdopodobnić tezę, że za próbą zniszczenia go publicznym oskarżeniem o gwałt stoi wspomniany już kochanek studentki i jeden z liderów „antyfaszystowskiej” bojówki, wspomina on o przypadku jednego z działaczy „komitetu”, który za jakąś nielojalność wobec organizacji miał zostać pobity przez swoich towarzyszy, którzy potem przypisali to pobiciu „neonazistom”. Z podanych okoliczności wynika, że może chodzić tylko o niejakiego Wojtkę Łobodzińskiego – sprawę sprzed kilku

Lewicowego aktywistę i doktoranta UW oskarżyła o gwałt działaczka tzw. Studenckiego Komitetu Antyfaszystowskiego FOT. ADOBE STOCK



lat, szeroko wtedy nagłośniona przez lewicowo-liberalne media i organizacje, jako dowód „narastającego w Polsce fašyzmu”, i podobnie jak wiele innych tego rodzaju „dowodów” nigdy niezamknięta żadnymi konkretami. W internetowych komentarzach pod oświadczeniem Kozaka padło zresztą wiele opinii, że to, iż napasać na lewaka „neonazistów” była lipna, stanowiło na UW tajemnicę poliszynela, i że wedle potocznej wiedzy przyczyną brutalnego „naprostowania” działacza było nie tylko podejrzenie o nielojalność, lecz także napięcia w jego związku z jednym z prominentnych w tym środowisku „antyfaszystów”.

OBRONA „PRAWICOWA”

Charakterystyczne jest, że Studencki Komitet Antyfaszystowski na oświadczenia Marcina Kozaka zareagował przede wszystkim „obelgą”, iż są one „prawicowe”. Cała sprawa powinna być dobrą okazją do przyjrzenia się tej z niewiadomych powodów hołubionej przez władze UW sekcji, niekryjącej fascynacji ideą politycznej przemocy i „dziedzictwem” Rote Armee Fraktion, pod nieformalną opieką dr Rafała Suszka, który swoje pięć minut sławy miał po obrzuceniu wraz z Klementyną Suchanow jajami prezydenckiej limuzyny

i doznany z rąk policji „męczeństwie” (w tym samym Archiwum Osiatyńskiego, które na życzenie SKA natychmiast zerwało współpracę z Kozakiem, chwali się on, że za różne uliczne ataki na siły porządkowe i patriotyczne manifestacje zdołał zebrać już 40 zarzutów). Prywatnie można na UW usłyszeć, że większość pracowników uczelni zwyczajnie boi się „antyfaszystom” narażać – zwłaszcza po sprawie dr Ewy Budzyńskiej, której oficjalne ukaranie za słowa o rodzinie jako związku kobiety i mężczyzny wymusiła na uczelnianych władzach analogiczna grupa lewicowych fanatyków działających na Uniwersytecie Śląskim.

Dymek i Wybieralski ostatecznie zostali przez prokuraturę całkowicie oczyszczeni, a mimo to nikt ze stawiających im fałszywe zarzuty nie został ukarany, potępiony, bodaj nikt nawet nie poczuł się zmuszony do ich wycofania czy przeprosin. Stało się na lewicy regułą, że rzucanie takich oskarżeń, nawet jeśli okażą się całkowicie wyssane z palca, zapewnia oskarżycielce swoisty immunitet. Ktokolwiek by za fałszywe oskarżenia potępiał, ktokolwiek by oskarżenie o gwałt – choćby przypominany sobie po latach i mający miejsce długo przed zerwaniem z „byłym” – podawał w wątpliwość, brany jest na celownik liberalno-lewicowej machiny nienawiszi jako obrońca „kultury gwałtu” i „faszysta”. W świetnym tonie jest natomiast śpieszyć z obroną i wsparciem dla „przeżywczyń”. Mimo oczywistej niezborności oskarżeń Darii Kondraciuk niemal nazajutrz po nich działaczka Maja Staśko, robiąca na „kulturze gwałtu” analogiczną karierę, jaką na „polskim fašyzmie” zrobił niedościgniony wzór dla całej lewicy – Rafał Pankowski, ogłosiła, że zna aż 10 innych „przeżywczyń”, które padły ofiarą seksualnej agresji Kozaka. Oczywiście – żadnych konkretnych.

WŁASNE GRZECHY PRZEMILCZANE

Gdy jednak chodzi o „swoich”, oskarżenia niekoniecznie traktowane są tak pryncypialnie. Skoro wspominamy o towarzysze bojów dr. Suszka, warto przypomnieć, że i ona, bliska współpracownica Marty Lempart, oskarżona została o „przemoc seksualną” i „molestowanie” przez Michała Szutowicza, występującego jako niebinarne „Margot”. Charakterystyczne jest to, że jakkolwiek „Margot” miał wtedy swoje medialne pięć minut

jako bohater i męczennik broniący przez media, intelektualistów i „postępowych” duchownych, jego oskarżenia puszczone mimo uszu. Suchanow nigdy się do nich nawet na poważnie nie ustosunkowała, nie czuła potrzeby im zaprzeczać, po prostu „Margota” publicznie wyśmiała i nikt nie odważył się od niej wymagać wyjaśnień, mimo iż zarzuty dotyczyły spraw poważnych (może poza „misgenderowaniem” „Margota” przez zwracanie się do niego per „mały” zamiast „mała”). Środowiska lewicowe mają swoją hierarchię i Suchanow jest w niej znacznie wyżej niż „niebinarny macho” Szutowicz. Podobnie jakoś nie zostały ani zdementowane, ani podchwyczone oskarżenia byłej działaczki partii Razem Agnieszki Herman-Jankowskiej o przemoc, także seksualną, z którą miała się tam wielokrotnie stykać. Można być pewnym, że nie zapadłoby nad nimi milczenie, gdyby dotyczyły innej partii.

Każde takie oskarżenie, choćby najbardziej absurdałne, kierowane przeciwko politycznym przeciwnikom liberalnej lewicy, było przez nią z pasją podchwytowane i nagłaśniane, a zdemaskowane kłamstwa traktowane jako dopuszczalne, bo „w słusznej sprawie”. W coraz częstszych wypadkach, gdy ofiarami mody na tropienie „seksualnych bestii” stają się sami tropiący, działa inna logika – wewnętrznej, lewicowej dintojry.

Nie jest to tylko polska specyfika – spójrzmy choćby na uchodzącego przez wiele lat za „złote dziecko” lewicy amerykańskiej gubernatora Nowego Jorku Andrew Cuomo. Gdy tylko jego pozycja w partii osłabła, wskutek błędów popełnionych w walce z epidemią COVID-19, nagle zaczęły się znajdować kobiety przypominające sobie po latach, że „złe je dotknął” albo „przemocowo” się wyraził. I choć żaden z zarzutów nie dotyczył zachowań zagrożonych w prawie karą, to wystarczyło to, by go politycznie „usadzić”. Broń #MeToo, która miała dla lewicy być młotem do niszczenia politycznych wrogów, w tej roli nie okazała się skuteczna. Ale w wewnętrznych porachunkach w lewicowych sektach najwyraźniej się sprawdza. Być może dlatego, że – jak łatwo zauważyć przy okazji wyjaśnienia każdej z takich spraw – środowiska skrajnej lewicy są rzeczywiście przesycone seksualnymi obsesjami i patologiami, co sprawia, że modus operandi lipnego oskarżania o gwałty czy molestowania ima się ich znacznie lepiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Już na pogrzebie Krzysztofa Krawczyka miało dojść do przepychanek w gronie jego krewnych i znajomych FOT. ROMAN ZAWISTOWSKI/PAP

Awantury po śmierci

Były transmisje z pogrzebu Krzysztofa Krawczyka, wspomnienia przyjaciół, powtórki zarejestrowanych przed laty koncertów i emisje teledysków. Stacje informacyjne wielokrotnie pokazywały grób piosenkarza na cmentarzu w Grotnikach pod Łodzią – zasypyany kwiatami i zniczami przyniesionymi przez żałobników. Zanim te jednak zdążyły się wypalić, media żyły już hałaśliwym sporem ludzi z otoczenia Krawczyka.

Zaczął się od tego, że w wywiadzie swoimi żałobami podzielił się Marian Lichtman – perkusista, kompozytor, który wraz z Krawczykiem tworzył zespół Trubadurzy. Lichtman zwierzył się serwisowi Pomponik, że Ewa Krawczyk, żona piosenkarza, nie poinformowała go osobiście o jego śmierci. „Jest mi bardzo przykro z tego powodu” – żalił się. Na te rewelacje zareagował wieloletni menedżer Kraw-



Agnieszka Niewińska

Już podczas pogrzebu Krzysztofa Krawczyka doszło do niesnasek między osobami z jego otoczenia. Przez następne dni tabloidy relacjonowały kolejne słowne utarczki. Kłótnie po śmierci gwiazd wcale nie są rzadkością

czyka, Andrzej Kosmala. „Trzeba być jak benben [pisownia oryginalna – przyp. red.] głucho brzmiący, mieć niezwykle poczucie własnej wartości, żeby żona w momencie tragicznej walki o życie męża i jego śmierci nie miała innych problemów jak dzwonić do Lichtmana!!!!” – skomentował na Facebooku. Stwierdził, że Ewa Krawczyk nie chciała Lichtmana podczas nabożeństwa pogrzebowego. „Marian Lichtman dobrze wie, dlaczego żona na pogrzebie

mu powiedziała: zjeżdżaj, robisz wszystko, by zarobić na śmierci mego męża. Od kilku miesięcy z naciskiem na ostatnie dni wydzwania po redakcjach z ofertą wywiadów. Na pogrzebie rozpychał się by kamera i aparaty fotograficzne jego ujmowały”.

Lichtman nie pozostawił tego bez odpowiedzi. „Ja tylko chciałem przepuścić syna Krzysztofa Krawczyka, bo nikt go nie chciał dopuścić do trumny. Podejrzewam, że tak się stało na prośbę pana Kosmali.

Nie mogłem na to patrzeć” – powiedział tym razem w „Fakcie”. Przyznał, że na pogrzebie doszło do nieprzyjemnej wymiany zdań z Ewą Krawczyk, ale nie padło słowo: „zjeżdżaj”. Relacjonował też treść SMS-a, którego miał wysłać do Kosmali. „Straciłem wielkiego przyjaciela, ale twoją gorycz rozumiem, bo... ty straciłeś pieniądze”.

Wzajemne oskarżenia przez kilka kolejnych dni po pogrzebie artysty drukowały tabloidy, publikowały plotkarskie portale. W końcu głos na temat awantury panów licytujących się, który z nich był tym prawdziwym przyjacielem Krzysztofa Krawczyka, zabrała Ewa Krawczyk. „Przyjacielem mojego Krzysia oddanym na całe życie i teraz jest Andrzej Kosmala. Mój mąż przed Tobą mnie ostrzegał, bo zawsze wynosiłeś do gazet, co się dzieje u nas w domu” – napisała wdowa do Lichtmana. Zadeklarowała, że o dorosłego już syna Krawczyka z poprzedniego związku dba: płaci za niego alimenty na dziecko, opłaca fundusz emerytalny, mieszkanie. „Do tego w tym tragicznym czasie spada na mnie i na naszą rodzinę kolejny cios. Brat Krzysztofa Andrzej jest w bardzo ciężkim stanie. Nawet nie wie o śmierci Krzysztofa. Czeka nas najgorsze! Tylko nie biegnij z tym zaraz do prasy!” – napisała Ewa Krawczyk na... Facebooku. Lichtman odpowiedział: „Droga Ewo, bardzo się cieszę, że zabrałaś głos w sprawie rozliczenia się z Krzysztofem juniorem Krawczykiem. Wierzę, że będzie to rzetelne, sprawiedliwe, rodzinne rozliczenie”. To dało asumpt do kolejnych publikacji – tym razem o sytuacji syna Krzysztofa Krawczyka. Media donosiły, że czeka w kolejce po mieszkanie komunalne, że wraz z pandemią stracił pracę w papugarni.

Wedle ostatnich doniesień (w tym przypadku Pudelka) wdowa po Krawczyku i Lichtman się pogodzili, ale dopiero czas pokaże, czy był to ostatni odcinek tej opery mydlanej.

NAMIOT U VILLAS, BIJATKA U JACKSONÓW

Wielu fanów Krawczyka jest zażenowanych medialnymi przepychankami bliskich mu ludzi – w komentarzach podkreślają, że godzą one w pamięć o Krawczyku. Czy będą rysą na wizerunku zmarłego artysty? – Nie sądzę, by kłótnie wśród bliskich i przyjaciół Krzysztofa Krawczyka były w stanie zniszczyć jego wizerunek teraz, po jego śmierci. Krawczyk był lubianym artystą, który łączył pokolenia, i publicznie toczono kłótnie ludzi z jego otoczenia tego

nie zmienia, choć oczywiście byłoby lepiej, gdyby spory rozwiązywali we własnym gronie, a nie na łamach prasy i w mediach społecznościowych – mówi Katarzyna Chołdżyńska, specjalistka w dziedzinie wizerunku. I dodaje, że kłótnie wśród bliskich artystów i osób publicznych już po ich śmierci nie są niczym nadzwyczajnym. – Często ich powodem jest walka o spadek. Ta jest w stanie wzbudzić ogromne emocje w rodzinie, nawet gdy chodzi o majątek o relatywnie niewielkiej wartości, a co dopiero, jeśli mówimy o spadku po gwiazdzie czy o przychodach z tantiem. Media szeroko relacjonowały np. walkę wdowy po Czesławie Niemienie, która posunęła się nawet do zastrzeżenia imienia i nazwiska męża w urzędzie patentowym. Kolejne batalie sądowe o prawa do spuścizny po Niemienie nie wpłynęły przecież na to, jak fani postrzegają jego twórczość.

Po śmierci Violetty Villas w 2011 r. media przez lata informowały o walce jedynego syna diwy Krzysztofa Gospodarka z jej opiekunką Elżbietą B. Ta przedstawiła testament, z którego wynikało, że Villas zapisała jej zarówno dom w Lewinie Kłodzkim, jak i prawa do utworów muzycznych. Syn podważył testament. Sąd uznał, że to jemu należą się dom i spuścizna po matce. B. została zaś skazana – najpierw na 10 miesięcy za nieudzielenie pomocy umierającej Villas, a potem na 1,5 roku więzienia za fizyczne i psychiczne znęcania się nad gwiazdą. Opiekunka zdążyła jeszcze zaprosić media do zrujnowanego domu gwiazdy, zapozować do zdjęć wśród rzeczy zmarłej. Kiedy syn wymienił zamki w domu w Lewinie Kłodzkim, B. rozstawiła na posesji namiot i nie omieszkła informować mediów o swojej trudnej sytuacji mieszkaniowej. Dziennikarze do wywiadów zapraszali także Gospodarkę, który opowiadał nie tylko o walce o spadek, lecz także o szczegółach relacji z matką, którą widział po raz ostatni pięć lat przed śmiercią.

Walka o dom w Lewinie Kłodzkim to i tak nic w porównaniu ze sporem o majątek po zmarłym w 2009 r. Michaelu Jacksonie. Chociaż król popu był zadłużony, to po śmierci wzrosły przychody ze sprzedaży jego płyt, z praw autorskich. Spadek po Jacksonie szacowano na miliard dolarów. Nie mogło obyć się bez kłótni, bo chętnych było wielu – zarówno matka Jackosna, jego dzieci, jak i jego bracia oraz siostry. Rodzeństwo Jacksona stwierdziło, że testament gwiazdora powierzający majątek dzieciom jest sfałszowany.

Dochodziło do zaskakujących zwrotów akcji. Dzieci Jacksona podejrzewały, że doszło do porwania opiekującej się nimi babci. Plotkarski portal TMZ nagłośnił też bijatykę, do której miało dojść w domu dzieci Jacksona – Janet, siostra króla popu, miała się pobić z jego córką – Paris.

SYN KOHLA Z ZAKAZEM WSTĘPU DO DOMU

Do żenujących rodzinnych sporów doszło też po śmierci byłego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla zmarłego w 2017 r. Media obieły zdjęcia jego syna Waltera i wnuków, którzy stoją przed drzwiami domu dziadka w Ludwigshafen. Policjant pouczył ich, że mają zakaz wstępu na teren posiadłości. Ochłodzenie w relacjach z synami z pierwszego małżeństwa miało nastąpić po tym, jak Helmut Kohl ponownie się ożenił z młodszą o 34 lata Meike Kohl-Richter, pracownicą urzędu kanclerskiego. – Mój ojciec zerwał kontakt z wieloma ludźmi ze swego otoczenia. Także z moim młodszym bratem Peterem – relacjonował słowa Waltera Kohla serwis Deutsche Welle. Syn byłego kanclerza opowiadał, że nie chciał on spotykać się z wnukami. Kiedy jeden z nich chciał pokazać mu swoje świadectwo maturalne, miano go nie wpuścić do domu. Niemieckie media podkreślały, że w pamięci zamiast przemówień światowych przywódców na część Kohla pozostaną groteskowe spory rodzinne.

Nawet jeśli po śmierci Helmuta Kohla media – głównie niemieckie – relacjonowały żenujący rodzinny spór, to i tak nie z tego zostanie on zapamiętany. W Polsce dalej jest postrzegany jako polityk, który przyczynił się do polsko-niemieckiego dialogu. Zainteresowanie rodzinną kłótnią było chwilowe. Podobnie będzie w przypadku złośliwości, które prawią sobie jeden z Trubadurów, wieloletni agent Krawczyka i wdowa po artyście. Za jakiś czas nikt o nich nie będzie pamiętał – mówi Katarzyna Chołdżyńska.

Skandalizujących publikacji wymazać się jednak nie da. Pozostaną w sieci na zawsze. – Skłócona rodzina i współpracownicy gwiazd muszą się liczyć z tym, że będą o nich pisać tabloidy i plotkarskie portale. Trudno im się zresztą dziwić. Przepychanki podczas uroczystości pogrzebowych, razy wymierzane sobie w mediach społecznościowych, oświadczenia i dementi to dla nich doskonała pożywka – podkreśla Chołdżyńska.

„Nadanie konstytucji Księstwu
Warszawskiemu przez
Napoleona 1807 r.”; Marcello
Bacciarelli, 1818 r. FOT. MNW

Napoleon i Polacy



Jerzy Miziołek

Mija 200 lat od śmierci Napoleona, a pamięć o nim trwa nieustannie – przywoływana w hymnie, „Panu Tadeuszu” i setkach innych, niekiedy zapomnianych pism, m.in. Leona Potockiego i Stanisława Wąsowicza, strażnika życia cesarza w drodze do Paryża w 1812 r.

Ludwik Jabłonowski, urodzony w Warszawie w 1810 r., tak opisał swoje zauroczenie Napoleonem: „Gdy Wielki ciągnął na Moskwę, nie mogłem mieć więcej jak kilkanaście miesięcy, jednak pamiętam wyraźnie i widzę się jasno na rękach jakiejś prostej kobiety, stojącej w bramie domu, a patrzę na ciągnącego na czele sztabu Cesarza. Może przypadkiem spojrzał na mnie, a tym spojrzeniem ujął ducha mego w magnetyczną niewolę, która trwa i trwać będzie do śmierci”.

W tej „magnetycznej niewoli” legendy i geniuszu wielkiego cesarza pozostawało długo wielu Polaków. Imię jego nosili dwaj wielcy poeci romantyczni – Adam Napoleon Mickiewicz i Napoleon Zygmunt Krasiński. Sam Jabłonowski na chrzcie otrzymał imiona: Napoleon Ludwik Józef – to ostatnie zapewne z uwielbienia dla księcia Józefa Poniatowskiego. Niegdyś ulica Miodowa w Warszawie nosiła imię cesarza Francuzów, a także plac w sercu tego miasta. Dzisiaj jest tam tylko skromny pomnik.

Co pozostało w Polsce z dawnego zauroczenia Napoleonem? Czy 200-lecie jego odejścia do wieczności zostanie jakoś uczczone w Warszawie? To tu, rezydując w Zamku Królewskim, przeżywał zauroczenie Marią Walewską, a nieopodal, w pałacu Czartoryskich-Potockich (obecnie siedzibie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego), miał miejsce najśłynniejszy bal w 1807 r. Potem przyszedł czas na nową konstytucję (Kodeks Napoleona), utworzenie namiastki państwa, wyprawę na Moskwę i szybki powrót przez Warszawę do Paryża z polską eskortą. Cesarz zawiódł wprawdzie Polaków, tworząc jedynie małe Księstwo Warszawskie, ale bez epopei napoleońskiej nie powstałyby Królestwo Kongresowe, Uniwersytet Warszawski i nie udałooby się uratować



Portret Marii z Łęczyńskich Walewskiej, Marie-Victoire Jaquotot, 1813 r. fot. MNW

wielu segmentów kultury narodowej. Wsłuchajmy się w głosy świadków tamtej epoki.

WIELKIE OCZEKIWANIE I SPEKTAKL W TEATRZE NARODOWYM

Już we wrześniu 1796 r. Napoleon, wówczas generał na początku swej wielkiej kariery, miał według Józefa Sułkowskiego, swego adiutanta, takie wypowiedzieć słowa skierowane do Michała Ogińskiego: „Cóż mam odpowiedzieć, coż mogę obiecać? Napisz do twego ziomka, że Kocham Polaków i że ich sobie wysoko cenię; że podział Polski jest aktem niesprawiedliwości, który nie może się utrzymać; że po skończeniu wojny we Włoszech pójde sam na czele

wojsk francuskich, aby zmusić Rosję do przywrócenia niepodległości Polsce, lecz powiedz mu także, że Polacy nie powinni polegać na obcej pomocy, że powinni się sami zbroić, niepokoić Rosję”.

Trzeba było całej dekady, by Napoleon, już jako cesarz, dotarł do granic dawnej Rzeczypospolitej. Sięgnijmy do niemal zapomnianego, nieco egzaltowanego dziełka Leona Potockiego pt. „Święcone” z 1854 r., które tak oto wprowadza w czasy Księstwa Warszawskiego: „Na stał rok 1806, wielkie zmiany polityczne Europie przyniósł. Prusacy opuścili Warszawę [...]. Gdy lada chwila spodziewano się przyjazdu cesarza Napoleona, wyporzadzono i odświeżono zamek, wystawiono obok kolumny Zygmunta tryumfalną bramę, przygotowano iluminację. Już wyglądano ciekawie, czekano niecierpliwie; tymczasem cesarz z dwoma tylko adiutantami i mamelukiem Rustanem przyjechał konno do Warszawy w nocy z 18 na 19 grudnia. Zatrzymawszy się przed odwachem, nim zamkową otworzono bramę, napił się wody, poczem wjechał do dawnego przybytku naszych królów”.

O ogromnym wybuchu radości w Warszawie wraz z nadejściem wojsk napoleońskich pisze Anna z Tyszkiewiczów-Potocka (niebawem żona jednego z adiutantów cesarza – por. Stanisława Dunin-Wąsowicza): „Zastawiano stoły nawet na ulicach i placach. Wzniesiono niejeden toast za przyszłą niepodległość, za dzielną armię, za wielkiego Napoleona!... Ścisano się, bratano, przepijano do siebie, trochę nawet za wiele, gdyż skończyło się na wypadkach swawoli żołnierskiej, które ostudziły przejściowo entuzjazm powitania”. Anetce – tak powszechnie nazywano autorkę cytowanych słów – wtóruje Fryderyk Skarbek, ojciec chrzestny Fryderyka Chopina: „Ocuła się w Warszawie długo przytłumiona skłonność do wesołego życia, zaczęły się otwierać domy gościnne”. Ożywiło się też życie teatralne.

Po epopei napoleońskiej pozostały liczne dzieła sztuki, m.in. akwatinta Jana Ligbera, która przechowała do naszych czasów wygląd sztandaru wykonanego przez Jana Bogumiła Plerscha i Kazimierza Wojniakowskiego, według pomysłu Wojciecha Bogusławskiego i zapewne Ludwika Osińskiego. Wykonano go z okazji wystawienia – w obecności



Szwolężerowie przed Napoleonem pod Wagram, Jan Rosen, 1896 r. fot. MNW

■ cesarza – sztuki „Andromeda”. Sztandar ten, zawieszony w Teatrze Narodowym na pl. Krasińskich w dniu 18 stycznia 1807 r., ukazywał Napoleona jako wschodzące Słońce (Oriens), nad którym unosi się personifikacja Sławy. W dolnej partii sztandaru widniał w centrum ołtarz z płonącym na nim ogniem, po jego lewej stronie personifikacja Polski, z której ust wychodzi napis: „SPES IN TE” („Nadzieja w Tobie”), po prawej zaś uskrzydłony Geniusz uwalniający z grobu ubranego w zbroję rycerza. Napis na płycie nagrobnej głosił: „RESURGAM” („Zmartwychwstaję”). Rycinę (nie wiadomo, czy również sztandar) opatrzone tym oto wierszem:

*Tak Polska z losów kolei
Z gruzów swoich ożywna
Ujrzała cel swych nadziei
Wielkiego Napoleona.*

*Mąż wielki zrzędził tę zmianę
Zdumiewa się ziemia cała,
Ledwie opuścił Sekwanę
Już go zwyciężąc Wisła ujrzała.*

Ludwik Osiński, twórca tego wiersza, był też autorem wspomnianej sztuki teatralnej pt. „Andromeda. Drama liryczne w jednym akcie”, do której muzykę skomponował Józef Elsner. Napisany dla Napoleona i w jego obecności wystawiony spektakl zawierał, podobnie jak sztandar,

alegorię uwolnienia z niewoli. Bardzo podobny w charakterze i treściach ideowych jest mało znany obraz przypisywany również Plerschowi; tym razem personifikacja Polonii ukazana jest z kotwicą – symbolem nadziei, a wyłaniający się z grobu rycerz zrywa kajdany.

WIELKI BAL I MARIA WALEWSKA

Przyszła też czas na liczne bale. Najwspanialszy z nich, wydany przez marszałka Joachima Murata, przewidzianego na króla Polski, odbył się w rezydencji Aleksandry i Stanisława Kostki Potockich. „Dnia 22 stycznia 1807 – pisze autor »Święconego« – apartamenty pałacu Potockich zajaśniały ogniem, Murat, książę Bergu, dawał świetny bal dla cesarza Napoleona. Od godziny 9 wieczorem nieprzerwany turkot pojazdów po pałacowym dziedzińcu się rozlegał. Wśród licznych zebrania gości już spostrzegł królewicza bawarskiego, księcia tronu badeńskiego, feldmarszałków Francji Massenę i Davoust, Tallajranda, księcia Benewentu, ministra spraw zagranicznych, Marescalchiego, ministra włoskiego, Mareta, ministra sekretarza stanu”. Potocki wylicza też oczywiście całą plejadę dygnitarzy polskich, a pośród nich generałów Łubieńskiego, Łuszczewskiego i księcia Józefa Poniatowskiego.

I wreszcie pojawił się niecierpliwie oczekiwany główny gość. Leon Potocki

stanął na wysokości zadania w budowaniu dramaturgii; stworzył atmosferę podniosłości, euforii, a nawet egzaltacji właściwej czasom, w których głęboko wierzone w odmianę losu Polski. W kolejnych frazach „Święconego” wyczuć można prawdziwe uwielbienie Napoleona. Cesarz ubrany był w mundur strzelców konnych gwardii, na który składały się ciemnozielony frak z czerwonym kołnierzem, z zielonymi rabatami, obwiedzionymi czerwoną wypustką, białe jedwabne pończochy i trzewiki ze złotymi sprzączkami. Miał też złote szlify, gwiazdę Legii Honorowej, której czerwona wstęga z prawego ramienia na lewy bok spływała, a przy boku szpadę, ze złotą rękojeścią wykładaną perłową macią. „W rękę – kontynuuje Potocki – trzymał ów mały trójkątny kapelusz, przed którym uchylały się europejskie korony. Jakże ten prosty i skromny ubiór pierwszego mocarza w świecie dziwnie odbijał przy bogatych mundurach otaczającego go grona; przy owym fantastyczno-teatralnym stroju Murata”. Warto zauważyć, że niemal tak samo ubranego Napoleona ukazał Marcello Bacciarelli na obrazie „Nadanie konstytucji Księstwu Warszawskiemu 1807 r.”.

Tak więc pałac Potockich w czasie tego balu był jakby omfalosem – owym symbolicznym pępkiem świata, jego najważniejszym miejscem. Bodaj nigdy

przedtem ani nigdy potem nie zgromadzono w nim tyle znakomitych osobistości. Wśród nich była też sama Maria Walewska. „Czas – pisze o niej Anetka – który każdemu wydarzeniu nadaje właściwą barwę [...], w końcu postawił panią Walewską w rzędzie interesujących postaci owej epoki. [...] Prześliczna, wcielała typ urody obrazów Greuze’a. Miała cudowne oczy, usta, zęby. Śmiech jej był tak świeży, spojrzenie tak łagodne, twarz tworzyła całość tak ponętną”. Gdy rozpoczęły się tańce, Napoleon stanął z nią w parze, naprzeciw siebie mając Berthiera z jego partnerką. W chwili odpoczynku cesarz miał w tych słowach zwrócić się do Walewskiej: „Wiesz, pani, dlaczego w tańcu zawsze Berthiera naprzeciw siebie stawiam? Czynie to przez kokieteryę, on tańczy jak niedźwiedź, a ja tym sposobem cokolwiek lepiej od niego się wydaję”.

Przyszła czas na rozmowy i plany wojenne. Napoleon miał pytać księcia Józefa Poniatowskiego, ile czasu potrzebuje, aby jego dywizje mogły stanąć na linii bojowej. Przystąpiwszy zaś do Stanisława Małachowskiego, marszałka czteroletniego sejmiku, przy którym się znajdowało kilku członków tymczasowego rządu, miał powiedzieć: „Panowie, wasze niezgody były przyczyną upadku narodu tak pamiętnego w dziejach; niech przeszłe nieszczęścia służą wam za przykład i jedność w was rodzą. Niech znaczniejsi w kraju panowie staną na czele, a szlachta, duchowni i mieszczaństwo niech się gorliwie do nich łączą. Skoro obaczę, że ok. 40 tys. ludzi stanie pod bronią, ogłoszę w Warszawie niepodległość Polski, a skoro ją ogłoszę, nikt jej wzruszyć nie zdoła. Panowie! – dodał – bądźcie godnymi ojców waszych, co rozkazywali brandenburskiemu dworowi, nadawali carów Moskwie, oswobodzili Wiedeń i całe chrześcijaństwo, od haraczur tureckiego uwolnili, a będziecie Polakami... Jest interesem Europy i Francji, aby Polska istniała, od Was wszystkich zawisło, gdyż powtarzam wam to, co w Berlinie powiedział: obaczę, czy Polacy są godni być narodem?”.

Cytowane słowa – „aby Polska istniała” i „obaczę, czy Polacy są godni być narodem” – najbardziej ważkie w całym „Święconym”, rzeczywicie mogły paść z ust cesarza, ale część z tego, co tu zacytowaliśmy, było wypowiedziane już w Poznaniu, m.in. w rozmowie z Józefem Wybickim, który był także obecny na

warszawskim balu. Inne z kolei słowa o chwalebnej przeszłości Polski jawią się w ustach Napoleona jako prawdopodobne, miał on bowiem gruntowne wykształcenie historyczne. Nie ulega jednak wątpliwości, że dialogi cesarza z Polakami w murach pałacu Czartoryskich-Potockich, choć są w części ze świata licentia poetica, powstały w wyniku poszukiwań archiwalnych Leona Potockiego. Zupełnie inny, bardzo konkretny charakter mają zapiski Stanisława Dunin-Wąsowicza (1785–1834).

OPOWIEŚĆ STRAŻNIKA ŻYCIA CESARZA

Losy epopei napoleońskiej są dobrze znane, ale wiedza o okolicznościach dramatycznej podróży Napoleona w grudniu 1812 r. z terenów dzisiejszej Białorusi do Paryża nie jest powszechna. Francuskie teksty źródłowe rzadko wymieniają nazwisko Wąsowicz; jego zapiski w wyborze i ze stosownym komentarzem podał do druku wybitny historyk – Szymon Askenazy. O ile mi wiadomo, oryginał tych zapisków w języku francuskim nie zachował się do naszych czasów.

W czasie wyprawy na Moskwę, na „polską wojnę”, jak zwykł mówić Napoleon, Wąsowicz był jego tłumaczem i attaché de la maison. Gdy cesarz zdecydował udać się jak najszybciej do Paryża, jego attaché stał się niejako szefem ochrony i wraz z woźnicą siedział na koźle cesarskiej karocy. Wyruszyli 5 grudnia i zaledwie w dwa tygodnie, pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa i siarczystego mrozu, zwłaszcza w czasie pierwszych dni podróży, dotarli nad Sekwanę. Cesarz wyznaczył do swojej eskorty Polaków – 100 szwoleżerów-lansjerów pod dowództwem płk. Ignacego Stokowskiego, któremu polecił nieustannie trwanie przy drzwiczkach swej karocy. „Jeśli będziemy atakowani – miał powiedzieć – Polacy są tak odważni, że potrafią mnie obronić”. Tak się stało, ale zdarzały się takie momenty, kiedy Kozaacy z carskiej armii znajdowali się niezwykle blisko. Jeszcze przed wyruszeniem cesarz podał Wąsowiczowi parę pistoletów i rzekł: „Na wypadek niechybnego niebezpieczeństwa, zabij mnie raczej, ale nie daj mnie wziąć żywcem”. Wąsowicz poprosił o pozwolenie przetłumaczenia tych słów lansjerom. Ci wysłuchawszy słów cesarskich, krzyknęli jednym głosem: „Damy się prędzej porąbać, niż pozwolimy zbliżyć się do cesarza”. Mróz

dochodził do 35 st. C, wiał silny wiatr; mimo to Napoleon bezpiecznie dotarł do Wilna, ale przeszło 60 lansjerów zginęło. Następnie, bez odpoczynku, wyruszone w kierunku Warszawy, rezygnując z łatwiejszej drogi do Drezna przez Prusy. Powód takiej decyzji tłumaczy słowa cesarza zapisane przez Wąsowicza: „Żywię zaufanie zupełne do ludności polskiej”.

10 grudnia Napoleon dotarł do Warszawy, gdzie w Hotelu Angielskim (na rogu ulic Wierzbowej i Trębackiej, dziś nieistniejącym) spędził incognito kilka godzin, spotkał się ze Stanisławem Kostką Potockim i Józefem Wybickim, po czym niezwłocznie wyruszył w kierunku Drezna. Tam, w czasie spotkania z królem Fryderykiem Augustem, Napoleon z całą otwartością przyznał się do ogromu swej klęski. Prosił następnie króla o przyznanie Wąsowiczowi polskiego orderu wojskowego, jako „oficerowi służącemu mi z równym honorem jak rozstrojnością”. Po dotarciu do Paryża Wąsowicz dostąpił awansu, otrzymał stopień kapitana.

N-A-P-O-L-E-O-N ALOJZEGO ŻÓŁKOWSKIEGO

Wielki cesarz żył też w legendach i anegdotach. Oto jedna z nich związana z osobą Alojzego Żółkowskiego, słynnego warszawskiego aktora komediowego. Po klęsce Napoleona pod Waterloo, choć niezbyt chętnie, Warszawa urządziła iluminację na cześć cara Aleksandra I. Stało się to tuż przed połową listopada 1815 r., gdy ten niekoronowany król polski wjeżdżał uroczystie do Warszawy. Z tej okazji wystawiono nawet łuk triumfalny, na którego miejscu stoi od 1821 r. kościół św. Aleksandra. Podczas gdy tłumy wiwatowały na cześć króla i cara, Żółkowski wystawił w swym oknie ogromny transparent z oświetlonymi literami: N-A-P-O-L-E-O-N. Kiedy go wezwano na policję, tak się tłumaczył: „Ja nie jestem temu winien, że wy nie umiecie czytać – wszak są to pierwsze litery słów: »Najjaśniejszy Aleksander Pawłowicz Odkupiciel Ludów Europy, Ojciec Nasz«”. Po tym lapidarnym objaśnieniu monumentalnego napisu aktora zwolniono do domu.

Legenda Napoleona trwała przez cały XIX w., a nawet w okresie międzywojennym. Utrwalił ją m.in. malarze: Piotr Michałowski, Walenty Wańkowicz, nieco dziś zapomniany Jan Rosen i przede wszystkim trzej Kossakowie – Juliusz, Wojciech i Jerzy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mario Vargas Llosa
(z lewej) i Gabriel
García Márquez

FOT. GETTY IMAGES (2)

Wyznania łgarzy



Piotr Gociek

Jest rok 1967, gorący lipiec w Limie. W uniwersyteckiej auli, przed tłumem czytelników, dwóch pisarzy: Mario Vargas Llosa i Gabriel García Márquez prowadzi fascynujący dialog o literaturze, historii i życiopisaniu

Wiemy, po co nam architekci, inżynierowie albo lekarze. Ale do czego służy pisarz? – zastanawia się Mario Vargas Llosa. I od tego pytania rozpoczyna swą rozmowę z Gabrielem Garcíą Márquezem. Właśnie ukazała się w Polsce pt. „Dwie samotności. Dialog mistrzów”. Ktoś powie, że kokieterijnie lub prowokacyjnie, wedle mnie to raczej dowód na to, że nawet najwięksi, najwybitniejsi i najbardziej utalentowani dzielą lęk powszechny wśród wszystkich żyjących z zaczerniania papieru. Dla kogo to wszystko? Po co?

Zaglądam do świetnej książki Margaret Atwood „Negotiating with the Dead”

poświęconej pisarstwu i pisarzom. Przygotowując cykl wykładów, które stały się podstawą książki, jak rasowy reporter dokonała głębokiego researchu. Wypisała z artykułów, wywiadów, książek i osobistych rozmów z innymi pisarzami odpowiedzi, które padają na pytanie „Dlaczego piszę?”. Lista odpowiedzi zajmuje bite dwie strony, a każde z tych krótkich zdań wskazuje na co innego. Atwood – podobnie jak Borges w „Rzemiośle poezji” – odżegnuje się od ambicji akademickich, wyznaje natomiast, że jej opowieść to po prostu refleksje człowieka czytającego i piszącego. Dla kogo piszemy? Dlaczego piszemy? I skąd właściwie się to bierze?

„Zostałem pisarzem wtedy, gdy zdałem sobie sprawę, że do żadnego innego zawodu się nie nadaję” – twierdzi Márquez i tu akurat pewien jestem, że z nas pokpiwa i jest kokieterijny. Mamy też trochę wspomnień, bo pisarz tłumacząc, skąd wzięły się co barwniejsze postacie w jego książkach, odwołuje się do prywatnych doświadczeń. Ale uwaga! Bądźmy ostrożni! Wiemy skądinąd – na przykład z książki Silvany Paternostro „Samotność i spółka” – że Márquez to łgarz, co się zowie.

Paternostro przepytała dokładnie rodzinę i przyjaciół pisarza, szczególnie

zwracając uwagę na czas dzieciństwa i młodości, czyli materiał źródłowy pisarstwa Márqueza. No i wyszło jej, że autor „Nie ma kto pisać do pułkownika” był niczym Jan Himilbach. Nie dość, że swą przeszłość (łącznie z datą narodzin) relacjonował dość swobodnie (czytaj: z pogardą dla faktów), to jeszcze w każdym wywiadzie prezentował inną wersję prawdy.

Czy to przeszkadza? Umniejsza? Ależ skąd! Wszak literatura to prawdziwe zmyślenie i jak w innym krótkim wywiadzie (też zamieszczonym w książce „Dwie samotności”) Márquez wprost mówi pytany o elementy fantastyczne w swej twórczości: „Realne jest także to, w co ktoś wierzy”. Nie mówimy tu tylko o przekonaniach autora, lecz przede wszystkim o postaciach z jego książek. Co z kolei przypomina mi boje toczone niegdyś przez Stanisława Lema, który mówił, że nie jest pisarzem fantastycznym, lecz realistycznym, gdyż problemy, które opisuje, są realne.

ŻYCIE JEST OPOWIEŚCIĄ

Nawet jeśli ktoś – jakimś cudem – z pisarstwem Márqueza szerzej się dotąd nie zetknął, to szybko dostrzeże, że to bajarz niezwykle, że nie bez powodu mawiał, iż „życie jest opowieścią”. Często

w odpowiedzi na pytania stawiane przez Llosę ucieka w przypowieść, historijkę z własnego życia, wspomnienie. Nawet jeśli wszystkie nie są prawdziwe, to i tak chcielibyśmy, by prawdziwe były – zatem jednak są prawdziwe.

„Dwie samotności” doskonale pokazują, jak różne to osobowości. Márquez to w stu procentach przedstawiciel realizmu magicznego Ameryki Łacińskiej (zresztą to od niego przecież zaczął się wielki światowy boom). Llosa zaś to pisarz, u którego na pierwsze miejsce wysuwa się chęć analizy, uporządkowania zjawiska po to, by je dobrze opisać i zrozumieć. Márquez nie napisał nigdy książki tak „chłodnej” jak dzieła Llosy, Llosa nie napisał nigdy książki tak poetyckiej i szalonej jak „Sto lat samotności” – choć w „Wojnie końca świata” był blisko. Ich dialog jest fascynujący nie tylko dlatego, że to rozmowa przyszłych noblistów (Márqueza nagrodzono w 1982 r., Llosę w roku 2010).

Sporo miejsca zajmuje w tej rozmowie kwestia, czym tak naprawdę jest Ameryka Łacińska i jak odrębnym zjawiskiem jest jej literatura. Obaj pisarze dostrzegają wspólnotę losu państw kontynentu, zgadzając się, że jest to miejsce, którego inaczej niż pisaniem objąć się nie da. Kraina, gdzie obok siebie tak intensywnie współistnieją wiara i zabobon, bogactwo i nędza, udręka i ekstaza. Kontynent operetkowych i okrutnych dyktatur, szaleństw religijnych sekt, kraina, w której epidemie władza zwalcza dekretemi, receptą na przegraną wojnę jest natychmiastowe wywołanie kolejnej (a nawet 30 kolejnych), a zamachy stanu są równie częste jak pisarskie olśnienia. Tytuł najważniejszej części książki „Dwie samotności” – czyli zapis rozmowy pisarzy – to „O powieści w Ameryce Łacińskiej rozmawiają Gabriel García Márquez i Mario Vargas Llosa”, ale nie dajmy się zmylić: rozmawiają o wszystkim. Dyskutując o wspólnocie losu mieszkańców tej części świata, tkają wielką powieść na ten temat. Dyskutując o powieściach zrodzonych na kontynencie, siłą rzeczy rozmawiają o całym dziedzictwie kulturowym, społecznym i politycznym. Bo literatura jest światem, a świat jest literaturą.

No dobrze, pięknie, ładnie. Ale czy nie należałoby wrócić do pytania z początku: Po co to wszystko? Jaką rolę odgrywa literatura, po co pisarz pisze – omijamy tu przypadki kompulsywnej grafomanii oraz pisanie jako autopsychoterapii.

Po co to wszystko? Jaką rolę odgrywa literatura? Po co pisarz pisze?

Odpowiedź, jak na skalę zarysowanych później wyzwań i problemów, wydaje się zadziwiająco wąska, wręcz autorytarnie wykluczając część ludzkiego pisania. Márquez rzeczce tak: za młodu po prostu pisał, nie mając najmniejszego pojęcia, czemu to służy. Jako twórca już dojrzały, publikowany i szeroko chwalony (gdy rozmowa jest nagrywana, mamy jeszcze rok 1967, pamiętajmy, na półki księgarskie dopiero co trafiła powieść „Sto lat samotności”) formułuje tezę następującą: „Uważam, że odgrywa ona rolę wywrotową [...], nie znam żadnej dobrej literatury, która służyłaby umacnianiu wartości uznanych. W dobrej literaturze zawsze znajduję tendencję do wywracania rzeczy raz ustanowionych, raz narzuconych”.

Zatem literatura jako narzędzie naprawiania świata? Jako bunt? Czy aby nie zbyt blisko jesteśmy literatury perswazyjnej? Márquez zastrzega, że jeśli ktoś zasiada do pisania z myślą, że chce dać upust swym przekonaniom, to wyjdzie mu książka zła. A jednocześnie przypomina, że pisarz ma prawo do swoich poglądów. I skoro świat w powieści to świat realny, przefiltrowany przez realnego pisarza, to trudno oczekiwać, by nie znajdowały w nim odbicia jego poglądy i przekonania. Llosa zdaje się w dużym stopniu zgadzać z tą diagnozą, choć przypomniemy, polityczne poglądy obu panów były bardzo różne. Llosa to przeciwnik marksizmu, konserwatysta, najogólniej biorąc – prawica, a Márquez to admirał i sojusznik Fidela Castro. Inna sprawa, że to wszystko jest w Ameryce Łacińskiej nieco bardziej skomplikowane. Trudno nie przypomnieć sobie w tym miejscu słynnego cytatu z traktatu Tadeusza Borowskiego „O poezji i poecie”. „Gdy poeta powie światu »tak«, to ktoś jest winny: / poeta albo świat. / Bo tym jest poezja:

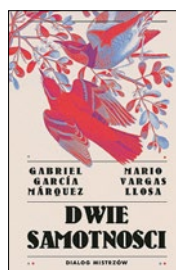
jeżeli lotem – to pod wiatr, jeśli żegluga – to pod prąd, jeżeli marszem – to na przekór”.

„Pisarz pozostaje w nieustannym konflikcie ze społeczeństwem” – twierdzi Márquez. Jednak na wyrost. Historię wybitnej literatury tworzyli także ci, którym zdarzyło się żyć całkiem wygodnie i w zgodzie z epoką. Z drugiej strony, jeśli traktować pisanie jako bunt, to ograniczanie zakresu buntu do kwestii społecznych jest nadużyciem i zawężeniem pola walki. Nie bez powodu Elias Canetti pisał „Księgę przeciwko śmierci”, a Michel Houellebecq tytułował swą rozprawkę o H.P. Lovecraftie „Przeciw światu, przeciw życiu”. Pisarz to skrajnie bezczelna istota, wygraża pięściami nie tylko tyranom, okupantom i filistrom, lecz także rzuca wyzwanie niebiosom, milczącemu Bogu, własnej śmiertelności. I może to robić z pozycji zupełnie odmiennych. Wspomnijmy Josifa Brodskiego, który na pytanie sowieckiego sądu, skąd wie, że jest poetą, i kto to potwierdził, odparł: „Myślę, że to od Boga”. Ten sam Brodski pisał później, że prawdziwą wolność w pisaniu daje „oderwanie się od przeciwnika” – czyli ucieczka z pułapki pisania doraźnego, choćby nie wiem jak słusznego.

WIĘCEJ PYTAŃ NIŻ ODPOWIEDZI

Zostawi nas więc książka „Dwie samotności” w stanie cudownego niespełnienia. Więcej przynosi pytań niż odpowiedzi, ale to dobrze, tego właśnie oczekują od pisarzy. Z pewnością dla każdego, kto para się lub chciałby się

parać pisaniem, jest to lektura obowiązkowa, ale przyda się również wszystkim tym, którzy widzą w literaturze cokolwiek ważnego: lustro, narzędzie zemsty, ucieczki – nie będę przesądzał, macie jednak własne powody, dla których czytacie (a czasem także piszecie). Nie zwracajcie uwagi na większość dodatkowych tekstów włożonych do książki, napchano je, by nadmuchać objętość i zrobić z 70 stron dialogu „pełną książkę”. Prócz części głównej rekomenduje krótkie rozmowy z każdym pisarzem z osobna (pod koniec tomu). Inne czasy, inne oceny, ale przyjemność nieodmiennie ta sama. © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
**GABRIEL GARCÍA
MÁRQUEZ,
MARIO VARGAS
LLOSA**
**„DZIE
SIEMOŚĆ.
DIALOG
MISTRZÓW”**
MUZA 2021



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bez wyjścia



★★★★★
REŻ. JOE PENNA
„PASAŻER NR 4”
(„STOWAWAY”)
USA 2021

wyst. Anna Kendrick,
 Toni Collette,
 Shamier Anderson,
 Daniel Dae Kim

W 1954 r. opowiadanie „Bezduszne równania” („The Cold Equations”) Toma Godwina przypomniało czytelnikom, że nie entuzjazm, ale liczby decydują o życiu lub śmierci w kosmosie. Pasażerka na gapę w statku kosmicznym wiozącym beczenne lekarstwa dla ciężko chorych kolonistów okazuje się aniołem zagłady. Jeśli pozostanie na pokładzie, to tlenu zabraknie i dla niej, i dla pilota. Jeśli statek zawróci, to oboje ocaleją. Ale co z ludźmi czekającymi na pomoc? Wielu z nich czeka śmierć.

„Pasażer nr 4” jest więc nowym podejściem do starego problemu znanego także poza fantastyką. Przypomnijmy sobie wszystkie opowieści o ratunkowych szalupach i rozbitkach bez zapasów albo o polarnikach cią-

gnących losy, by ustalić, kto przeżyje, a kto musi umrzeć. W filmie Joe Penny w statku wiozącym troje astronautów na Marsa pojawia się ten czwarty, nieoczekiwany pasażer i koszmarny dylemat staje się rzeczywistością.

Sedno problemu znane jest wszystkim, którzy widzieli zwiastun, więc nie ma mowy o niespodziankach fabularnych. A mimo to ogląda się ten film z zapartym tchem. Dostajemy bowiem dwugodzinne studium charakterów pod presją. Sporo było w ostatniej dekadzie podobnej fantastyki: „Interstellar”, „Ad Astra”, „Grawitacja”. „Pasażer nr 4” na tym tle to film bardzo skromny, ale świetnie zagrany i niezwykle napisany (o ile przypomniemy oko na dwie problematyczne sprawy: czy naprawdę tak łatwo o ekstrapasażera na statku

N NASA i czy rzeczywiście zapasy wszystkiego szykowane są na styk).

Optymistyczna Zoe (Anna Kendrick), obowiązkowy David (Daniel Dae Kim), zdruzgotana ciężarem nowego wyboru kapitan misji Marina (Toni Collette), dobroduszy „ten czwarty” (Shamier Anderson) – dla żadnej z postaci nie ma tu taryfy ulgowej, przed każdą chwilą próby. Wszystko to w ekstremalnych warunkach, bo o dodatkowe zagrożenie dba nieustannie wrogi kosmos (scena spaceru kosmicznego między dwoma modułami statku robi spore wrażenie).

Joe Penna, brazylijski reżyser, który zrobił karierę od gwiazdy YouTube do twórcy z Hollywood, ma w dorobku niezły thriller „Arktyka”, który dowiódł jego talentu w pokazywaniu natury jako antagonisty. Natura zaś nigdzie nie jest bardziej bezlitosna niż w przestrzeni kosmicznej, co Penna świetnie pokazał w swoim nowym filmie, nie tracąc ani na moment ludzkiej perspektywy. Zwróćmy uwagę na tego twórcę. Będzie o nim głośno. ©©



NOWE SERIALE: „MARE Z EASTTOWN”

Znakomity miniserial kryminalno-obyczajowy z życiową kreacją Kate Winslet w roli głównej. Miasteczko w Pensylwanii, tajemnica zaginięcia lub śmierci młodej kobiety nierozwiązana od roku i nowe wyzwania (kolejny trup) – wszystko to na głowie policjantki walczącej jednocześnie z własną traumą. Intryga precyzyjna jak

w powieściach Jonathana Kellermana, tło obyczajowe niczym w książkach Dennisa Lehane’a – oto najlepszy, jak dotąd, serial roku 2021. Jego twórcą jest Brad Ingelsby, scenarzysta m.in. „Drogi powrotnej” czy „Zrodzonego w ogniu”. ©© **Piotr Gociek**

• reż. Craig Zobel „Mare z Easttown” („Mare of Easttown”), USA 2021, HBO

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „Vincenzo” („Binsenjo”), Korea Południowa 2021

• reż. Max Winkler „Prawo džungli” („Jungleland”), Wielka Brytania 2019

• reż. Sergi Amur „Samotne wilki” („Lobos Solitarios”), Hiszpania 2019

Zabić tyrana!

cda
PREMIUM

Jakie filmy obejrzyć w 200. rocznicę śmierci człowieka, który „dał nam przykład, jak zwyciężać mamy”? Pierwszym tytułem, który przychodzi do głowy, jest „Jeniec Europy” Jerzego Kawalerowicza (dostępny na DVD). Niestety, jest to dzieło tak smętne jak egzystencja cesarza Francuzów na Wyspie Świętej Heleny. Na Elbie – sądząc z filmu „Napoleon i ja” – było ciekawiej. Miejscowy nauczyciel idealista zamierza zgładzić potwora, który zawiódł nadzieje rewolucjonistów i „zgotował Europie krwawą łaźnię”. Pomysł jest tym ła-
twiejszy w realizacji, że Martino zostaje mianowany sekretarzem Bonapartego. Zamach na upadłego idola w chwili, gdy do władzy (również

w słonecznej Italii) dorwali się pogrobowcy ancien régime’u, którzy „niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli”, wydaje się aberracją, lecz każdy naród ma takiego Kordiana, na jakiego zasłużył. W dodatku show kradną kobiety. Monica Bellucci gra



★★★★★
REŻ. PAOLO VIRZÌ
„NAPOLEON I JA” („IO E NAPOLEONE”)
WŁOCHY/ FRANCJA/ HISZPANIA 2006

wyst. Elio Germano,
Daniel Auteuil,
Monica Bellucci

występną baronową z temperamentem godnym Sofii Loren. Napoleon jest tu lustrem, w którym przeglądają się inni. Minie pół godziny seansu, zanim w ogóle otworzy usta. Po bliższym poznaniu okazuje się człowiekiem o ty-
siącu twarzy, a może raczej masek. Jedną z nich jest szczerość. W końcówce twórcy filmu biorą z cesarza przykład, próbują być poważni i rewolucyjni, ale słabo im to wychodzi. © ©

Wiesław Chełmiński

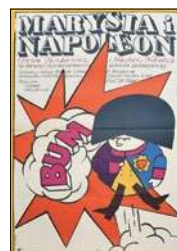


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROZWAŻNA I ROMANTYCZNY

dipla

Od czasu premiery „Mada-
me Sans-Gene” wiadomo, że zwycięzca spod Austerlitz najlepiej wypada w kome-
diach. Leonard Buczkowski pożegnał się z kinem „Marysią i Napoleonem” – uroczą opowieścią o po-
dwójnym, polsko-francu-
skim romansie. Czas zrobić swoje. Beata Tyszkiewicz nie musi udawać mimozy jak Greta Garbo. Dumnie oświadcza, że „służę ojczyźnie własnym ciałem”. We współczesnym wcieleniu wodzi za nos kochliwego zaboja, który rozbił kabriolet na płocie okalającym pałac w Walewiczach. Okazuje się, że studentkę historii trudniej jest osiąść niż zamężną hrabinę. Na szczęście sfrustrowanego Gustawa Holoubka wspiera kwiat polskiego aktorstwa epoki Gomułki (niektórzy – tak jak reżyser – ze stażem jeszcze przedwo-
jennym). Zdzisław Maklakiewicz w roli księcia Pepi wymiata, choć więcej do zagrania ma Talleyrand – Kazimierz Rudzki. Niestety, film jest nadgrzyziony zębem czasu. Restauratorzy, do dzieła!



★★★★★
REŻ. LEONARD BUCZKOWSKI
„MARYSIA I NAPOLEON”
POLSKA 1966

wyst. Gustaw Holoubek, Beata Tyszkiewicz,
Juliusz Łuszczewski

PODBIŁA CESARZA

cda
PREMIUM

Hollywoodzka ekranizacja powieści Wacława Gąsiorowskiego „Pani Walewska” przysporzyła cenzorom wielu siwych włosów. Nie dość, że traktuje o związku pozamałżeńskim, to pojawia się syn z nieprawego łoża. W Europie film odniósł sukces, ale w USA zapoczątkował zmierzch kariery Greta Garbo. Dopiero z czasem



★★★★★
REŻ. CLARENCE BROWN
„PANI WALEWSKA” („CONQUEST”)
USA 1937

wyst. Greta Garbo, Charles Boyer,
Henry Stephenson

dostrzeżono wspaniałą scenografię i kostiumy. Najwięcej dzieje się na począt-
ku. Rosyjska tłuszcza demoluje pałac Walewskich, a książę Poniatowski wyprawia wielki bal na cześć Napoleona. Potem fabuła grzęźnie w melodra-
matycznych schematach. Krytyka naśmiewała się ze sceny, w której delegacja polskich VIP-ów prosi Marię, by dla dobra ojczyzny oddała się Bonapartemu (przekonujący Charles Boyer). No cóż, tak było. Hrabina posłusznie stawia się w kwatrze cesarza i wywalcza marionetkowe Księstwo Warszawskie. W tle pobrzmiwa „Mazurek Dąbrowskiego”. © © **recenzuje Wiesław Chełmiński**

GRA TYGODNIA: „NIE REPLICANT VER.1.22474487139...”

Tę historię w 2010 r. mogli poznać gracze z Japonii. Po 11 latach od premiery produkcja ekscentrycz-
nego Yoko Taro powraca w mocno odświeżonej i rozbudowanej odsłonie. Przemodelowana grafika podbita z 720p/30fps do 4k/60fps, nowe efekty, ścieżka dźwiękowa nagrana na

nowo robią wrażenie, choć niektóre elementy, choćby niewidzialne ściany, przypominają, że szkielec produkcji ma już swoje lata. „Replicant” nie od razu zdobył uznanie, ale dziś jest produkcją niemal kultową. Nie mam wątpliwości, że na poszukiwania lekarstwa dla siostry w zrujnowanym świecie wyruszy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wielu graczy. I to nie raz, bo poznanie tylko jednego zakończenia to w tym wypadku za mało. © ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** RPG akcji, TPP
- **Platforma:** PC, XONE, PS4
- **Producent, dystrybutor PL:** Toylogic, Cenega

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Świadeństwo Tamary Kołakowskiej

W 2009 r. zmarł w angielskim Oksfordzie jeden z najważniejszych filozofów polskich XX w., Leszek Kołakowski. Dziesięć lat później w tym samym mieście zmarła jego żona, lekarz psychiatra Tamara z Dynensonów. Teraz jej zapiski wydał krakowski Znak z krótkim wzruszającym słowem wstępnym córki państwa Kołakowskich, Agnieszki.

Tę opowieść o swoim dzieciństwie i młodości, wojennej tułaczce i powrocie do rodzinnej Łodzi snuła Tamara Kołakowska podczas rodzinnych kolacji i – jak powiada jej córka – dopiero po śmierci mamy w roku 2019 znalazła w komputerze plik zatytułowany „Niech będzie zapisane”. Spisała w nim Tamara Kołakowska swoje wspomnienia, przede wszystkim dla córki, ale też – czytamy – „jako świadectwo – o świecie, którego już nie ma. By pozostał po nim ślad”.

Jest to rzeczywiście, jak rekomenduje ją Agnieszka Kołakowska, „świetna, klarowna, płynna proza”, interesująca w lekturze nie tylko dlatego, że spisała ją żona sławnego filozofa, lecz także, że przez pryzmat swoich losów i dziejów swej rodziny pokazuje rzeczywistość na poły dziś egzotyczną, a na pewno zapomnianą. Trudno orzec, czy ciekawsze są wspomnienia z przedwojennej Łodzi, gdzie jej ojciec był znanym lekarzem, czy też historia wojennych przeżyć rodziny, która słusznie spodziewając się po Niemcach wszystkiego najgorszego, udała się na wschód, gdzie najpierw znalazła schronienie w Sarnach, a po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej – w mieście Penza w środkowej Rosji. W 1946 r. Dynensonowie powrócili do Polski.



FOT. PIOTR POLAK/PAP

„Z Moskwy szerokotorowy pociąg dowiózł nas do granicy – wspominała Tamara Kołakowska. – Tam była przesiadka na pociąg polski, który szturmowało się w tłumie. Do Warszawy dotarliśmy wieczorem. Wiedzieliśmy, że nie przeżył nikt z rodziny i nie mamy tam nikogo. Z dworca zobaczyliśmy ruiny. Nie pamiętam, czy wyszliśmy poza dworzec. Przesiedzieliśmy noc na peronie. W pamięci został nastrój, widok ruin i... smak pierwszej od tylu lat kajzerki. Rano wsiedliśmy do pociągu do Łodzi. W przedziale szok: posypały się w naszą stronę agresywne antysemitki uwagi. Tak wyglądał ten wymarzony powrót”.

Krajobraz po bitwie państwo Dynensonowie zastali następujący: „Cała nasza łódzka rodzina zginęła. Z mojej klasy szkolnej przeżyły trzy dziewczynki. Z grona bliższych znajomych rodziców mało kto przeżył. Tuż po naszym powrocie do Polski były Kielce. Dochodziły słuchy o pogromach w innych miejscowościach, o wyciąganiu z pociągów i mordowaniu Żydów przez bandy”.

Cóż można rzec? Szkoda, że podobne akcenty antyżydowskie uznała Tamara Kołakowska za szczególnie warte upamiętnienia w swoich zapiskach. Ale,

widać, jej zdaniem, właśnie one zasługiwały na przypomnienie w tym opisie powrotu do ojczyzny. W powojennej Łodzi córka doktora Dynensona kontynuowała studia medyczne, wstąpiła do Akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej i wiosną 1948 r. poprosiła prezesa swojej organizacji o poparcie w jej staraniach o wyjazd na praktykę studencką do Francji. Wręczyła mu list polecający, a ten podarł go na jej oczach. Z wyjazdu nie tylko dlatego nic nie wyszło, lecz także dlatego, że za niezycziwego prezesa wyszła za mąż w listopadzie 1949 r. Był to Leszek Kołakowski.

W książce znajduje się jednak zapis, nad którym w żaden sposób nie da się przejść do porządku dziennego. Otóż już na samym początku opowieści trafiamy na życiorys ojca Tamary i dziadka Agnieszki Kołakowskich, Izaaka Dynensona, z którego dowiadujemy się, że przyszedł na świat w 1894 r. w Grajewie. „Wówczas – czytamy – była to Rosja, w dwudziestolecie Polska, następnie ZSRR, obecnie Białoruś”. No nie, tak daleko zmiany graniczne na naszych wschodnich granicach nie zaszły. Grajewo było i jest w Polsce, poza latami, gdy Polski nie było. A na razie błąd ten, jeśli nawet przydarzył się autorce, powinien zostać poprawiony w redakcji. A gdyby nawet miało się okazać, że na Białorusi jest jakieś drugie Grajewo, choć nie doszukałem się takiego, to należało zdanie to opatrzyć stosownym przypisem. Zwłaszcza że zaraz potem znajdujemy informację o ukończeniu przez Izaaka Dynensona gimnazjum w Białej Podlaskiej. To też Białoruś? ©©



★★★★★
**TAMARA
KOŁAKOWSKA**
„BYŁO...
WSPOMNIENIA
Z MŁODOŚCI”
ZNAK,
KRAKÓW 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zwycięstwo prowokacji

Prowokować łatwo, ale prowokować tak, żeby naprawdę bolało, to już trudniejsza sprawa. Duży talent okaże się niezbędny, o czym przypomina debiutancka powieść Iaina Banksa „Fabryka os”. Wydana w 1984 r. książka była szokiem dla czytelników i krytyków. Jedni zauważali potęgę pióra bezczelnego debiutanta, inni pisali, że to rzecz odrażająca. Jest jeszcze trzecie rozwiązanie, ale o tym na koniec.

Można widzieć w tej historii skrajnie nihilistyczne dopełnienie „Władcy much” Goldinga. Akcja dzieje się na wyspie, której najniebezpieczniejszym mieszkańcem jest człowiek – nastoletni Frank. Morderca, zwyrodnialec, osobnik o okrutnie zwichrowanej psychice i okrucieństwem na świat reagujący. Pograżony w wymyślonym przez siebie kulcie zła, odrażający, a jednocześnie bardzo bystry, niebezpiecznie inteligentny. Czaszki psa, który go niegdyś zaatakował, używa z zemsty do dziwacznych rytuałów.

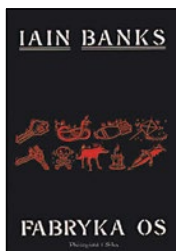
Wśród jego ofiar znajdziemy rodzeństwo. Wszystko to rozgrywa się w ponurej scenerii pewnego bardzo odludnego załłka Szkocji, w „miejscu złym”.

Jestem pewien, że i dziś, niemal cztery dekady po premierze, „Fabryka os” będzie wzbudzać skrajne reakcje. Czy Banks

jest nihilistą? Myślę, że po części tak, czytałem jego inne książki. Czy jest utalentowanym pisarzem? I to jak! Czytałem przecież jego inne książki. Jest przy tym prowokatorem prawdziwym, bo choć sam określał po latach swą powieść mianem profeministycznej i antyreligijnej, to jednocześnie „Fabryka os” czytana dziś doprowadzi do szału wyznawców transgenderyzmu.

Mam własne wytłumaczenie tego fenomenu. Banks zaczynał pisanie od powieści science fiction, których nikt nie chciał drukować. Potem się to zmieniło i jest uznawany obecnie za klasyka gatunku. Ale wtedy, w latach 80., „miałem już tego dość” (znaczy odmów) – wspomina Banks. „Może powinienem pokusić się o napisanie zwykłej, nudnej, mainstreamowej powieści?” – rozważał. Wiele można powiedzieć o „Fabryce os”, ale na pewno nie to, że jest nudna. Moim zdaniem można traktować tę książkę jako gigantyczny żart, prowokację wymierzoną przede wszystkim

nie w czytelnika, lecz w wydawnictwo czy establishment. Jakby Banks chciał zawołać: „Nie poznaliście się na mnie? Wy cymbały, to popatrzcie, jaki wam teraz odrażający pasztet zapakowałem w sreberko. I co? Będzie się wam podobać? Będzie, hipokryci!”. No i się wydawcom spodobało. ©©



★★★★★
IAIN BANKS
„FABRYKA OS”
ZYSK I S-KA
2021

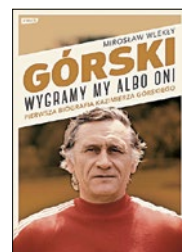
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Biografia Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, autora „Kariery Nikodema Dyźmy” i „Znachora”, jednej z najbarwniejszych postaci II RP. Wyśmienita robota odsiewająca plotki od prawdy (równie fascynującej). Dlaczego dopiero teraz?



JAROSŁAW GÓRSKI
„PARWIENUS Z RODOWODEM”
ISKRY

Pasjonująca, drobiazgowo udokumentowana biografia trenera Kazimierza Górskiego. Szczególnie ciekawe jest to, co mniej znane (czas wojenny i powojenny), oraz to, co szybko zapomniane, acz niedawne (okres po 1989 r.).



MIROSLAW WLEKI
„GÓRSKI. WYGRAMY MY ALBO ONI”
ZNAK

Odrobina optymizmu: autorzy przyglądają się temu, jak technologie, których rozkwit (lub początek) już obserwujemy, zmienić mogą świat na lepsze. Dlaczego? Bo połączą się w nowy przełom.



PETER H. DIAMANDIS, STEVEN KOTLER
„PRZYSZŁOŚĆ JEST BLIŻEJ, NIŻ NAM SIĘ WYDAJE”
POLTEXT

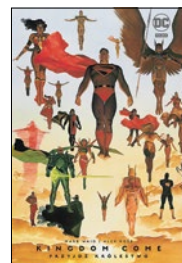
Kolejny tom twardego klasycznej edycji książek klasyka grozy i mistrza kosmicznego horroru. Zbiór zawiera 10 opowiadań Lovecrafta (m.in. „Ku nieznanemu Kadath śniąca się wędrówka”, „Polaris” oraz „Biały statek”). ©© **poleca Piotr Gociek**



H.P. LOVECRAFT
„KOTY ULTHARU”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „PRZYJDŹ KRÓLESTWO”

Co się stanie, gdy najwięksi superbohaterowie się zestrzęją i zrezygnują z walki? Nadejdzie nowe pokolenie, niestety gorsze – odpowiadają twórcy komiksu „Kingdom Come”. Ale prawdziwe kłopoty zaczną się wtedy, gdy próbujący naprawić dawne błędy herosi sami stracą moralny kompas. „Kto będzie strzegł strażników?” – ta wątpliwość była motywem przewodnim



MARK WAID, ALEX ROSS
„KINGDOM COME”
EGMONT 2021

słynnej powieści graficznej „Watchmen”. W tym komiksie powraca uzupełniona o przypomnienie, że największa moc jest niczym, jeśli nie towarzyszy jej odrobina człowieczeństwa. Dużo więcej niż odrobina. ©© **poleca Piotr Gociek**

Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu zrealizowała w latach 1954–2011, kiedy to działała jako samodzielny podmiot, ponad pół tysiąca produkcji filmowych i serialowych, w tym kultowe tytuły, takie jak np. „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy, „Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego, „Rękopis znaleziony w Saragossie” oraz „Lalka” Wojciecha Jerzego Hasa, „Czterej pancerni i pies” Konrada Nałęczkiego, „Stawka większa niż życie” Janusza Morgensterna i Andrzej Konica.

WFF jest kopalnią, w której na odkrycie czeka niepublikowana muzyka filmowa Wojciecha Kilara, Adama Sławińskiego, Piotra Hertla, Włodzimierza Nahornego czy Jerzego Derfla. Centrum Technologii Audiowizualnych CeTA, spadkobierca WFF, od ubiegłego roku we współpracy z wydawnictwem



GAD Records odkurza stare taśmy. Ostatnio przypomniano muzykę Krzysztofa Komedy („Mam tu swój dom”, „Ubranie prawie nowe”), Andrzeja Korzyńskiego („Wielki układ”, „Panna Nikt”), Wojciecha Kilara (cztery gwiazdki

wystawia poniżej Grzegorz Brzozowicz), a wcześniej nagrania m.in. z „Czterech pancernych i psa”, „W pustyni i w puszczy”, „Akademii Pana Kleksa”. – Temat archiwalnych nagrań muzyki filmowej pojawił się już w okresie powstawania

CeTA. Ale wówczas wiadomo było jedynie, że przetrwało kilka taśm z efektami dźwiękowymi. Wszystko zmieniło się, gdy ujrzałem zdjęcie archiwum CeTA, a na nim kilkaset taśm, wśród nich – uznane od dawna za zniszczone – nagrania z „Diabła” Andrzeja Żuławskiego. Dla mnie to nie jest odkrycie miesiąca czy roku, to absolutnie znalezisko dekady – mówi Michał Wilczyński, szef GAD Records. Trudno wyobrazić sobie lepszą do tej współpracy wytwórnę. Od początku istnienia w centrum zainteresowania GAD Records jest muzyka sprzed lat, nie tylko filmowa: „Od 2008 r. szukamy, tropimy i odkurzamy. Chcemy przypominać trudno dostępne tytuły, wydane niegdyś tylko na płytach winylowych lub kasetach, ale prezentować też materiały nigdy wcześniej niepublikowane”. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Siła głosu i wieku

Od 1965 r. walijski wokalista, obdarzony specyficznym, dudniącym barytonem, nagrywał płyty we wszystkich gatunkach muzyki popularnej. 42. album Jonesa zawiera różnorodne piosenki – zarówno powstałe przed wieloma laty, jak i niedawno.

Zestaw otwiera oszczędnie zaaranżowana pieśń protestu Bernice’a Johnsona Reagona „I Won’t Crumble with You If You Fall”, którą Jones wykonuje niczym gospelowy kaznodzieja. W „The Windmills of Your Mind” Michela Legrand, opartej na ponurym rytmie, klimat budują staromodne brzmienia sequeńców, organów i mooga. Później pojawiają się klasyki Malviny Reynolds, Cata Stevensa, Boba Dylana, Tony’ego Joe White’a... Współczesną scenę reprezentują

kompozycje Michaela Kiwanuki i Todda Snidera.

Ważną postacią jest producent Ethan Jones, który stworzył fascynujący świat dźwiękowy, łączący bulgoczące, elektroniczne bluesy, psychodeliczny pop czy uduchowiony trip-hop. Całość ubarwił dronowymi tamburynami, śpiewami ptaków, odgłosami kosmosu czy nagle pojawiającym się „nawiedzonym” fortepianem.

To zaskakujący, momentami odkrywczy album. Osiemdziesięcioletni Walijszyk nie musi niczego udowadniać, więc skupia się na treści piosenek. Piorunujące wrażenie robi kończąca album „Lazarus Man” (Łazarz) Terry’ego Calliera. Emocjonalna interpretacja Toma sprawia, że pieśń stała się hymnem dla czasu, który mu pozostał. ©©

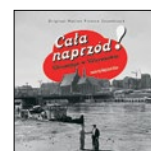


★★★★★
TOM JONES
„SURROUNDED BY TIME”
EMI



★★★★★
GRETA VAN FLEET
„THE BATTLE AT GARDEN'S GATE”
EMI

Amerykański zespół braci Kiszka żyje fantazją rocka lat 70. (Led Zeppelin, Rush, Styx). Producent, Greg Kurstin, wyczarował brzmienie z epoki, tylko wokalista Josh Kiszka nie zawsze daje radę. Uwspółcześniona podróż sentymentalna do krainy, gdzie gitara była bogiem.



★★★★★
WOJCIECH KILAR
„CAŁA NAPRZÓD”
GAD

Niepublikowana muzyka do dwóch filmów Stanisława Lenartowicza z lat 60. – „Cała naprzód!” i „Giuseppe w Warszawie”. Słynny kompozytor łączy ilustracyjną muzykę orkiestrową z rozrywkową, wkraczając do świata samby, czy- czy, a nawet Orientu. ©©

Znacie? To posłuchajcie. Widzieliście? To obejrzyjcie. Te stare prawdy sprawdzały się na szklanym ekranie iks razy, bywało, że z niezłym skutkiem, że przypomnę tu choćby „Po trochu wyciągane z lochu, czyli Archiwizję”, w której Wojciech Mann z Grzegorzem Wasowskim odgrzebywali z czeluści telewizyjnych zbiorów zakurzone programy rozrywkowe wyprodukowane w głęboko niesłusznych czasach, opatrując je w miarę inteligentnym komentarzem.

Mogłoby się więc wydawać, że zrodzony w okolicach ul. Woronicza pomysł powołania do życia „Centralnego Biura Humoru”, które w piątkowe wieczory rozbawi rzesze widzów perłami humoru z lat minionych, skazany jest na sukces. Sięgnięto po zapisy Mazurskich Nocy Kabaretowych, Festiwalu Kabaretu w Koszalinie, Polskiej Nocy Kabaretowej w Mrągowie, a w roli zapowiadaczy mających zadbać o słowo związane zatrudniono Formację Chatelet, prowadzącą już ładnych parę lat temu konferansjerkę programu „Dzięki Bogu już weekend”. Powiedzmy to od razu, Formacja uczyniła od tamtej pory postęp i jeśli wtedy zdarzało się jej wydobyć ze skwaszonych twarzy odbiorców grymas przypominający uśmiech, to obecnie nie śmiesz już wcale.

W pierwszym odcinku „Centralnego Biura Humoru” w przerwach pomiędzy ponurymi żartami (?) gospodarzy programu, pokazane zostały popisy rozmaitych kabaretów, a to sprzed lat siedmiu, a to 13, to znów 17, a i tak bezkonkurencyjny był Zenon Laskowik, którego piosenka „Starych nie ma, chata wolna” ma lat, a co tam, 44. Nie wątpię, że w niedalekiej przyszłości zaprezentowane nam zostaną „Panna Monika” czy „Mamuśka” tegoż zasłużonego artysty.



Krzysztof Masłoń

Race humoru

Z całą pewnością nasze zapotrzebowanie na satyrę zaspokoi Marcin Daniec, opowiadając o Marcinku, a kto wie, może też zrelacjonuje walkę Andrzeja Gołoty z Lennoxem Lewisem. I tym sposobem dojdziemy w końcu do nieśmiertelnego „Sęka” Edwarda Dziewońskiego i Wiesława Michnikowskiego, a na konto realizatorów „Biura...” wpłyną stosowne kwoty za wykonanie kolejnej, nikomu niepotrzebnej roboty.

Zastanawiam się bowiem, po co zamiast wystrzeliwać te pojedyncze race humoru na wzór teledysków, przeplata się je zupełnie przerażającymi występami trup rzekomo kabaretowych, które zadziwiają wprost swoimi finezyjnymi dowcipami w rodzaju takiego oto przedstawienia modelowej kobiety: „W głowie może być nic, ważne są nogi i cucky”. No świetnie!

W pierwszej edycji „Centralnego Biura Humoru”

do publicznej prezentacji w, było nie było, Pierwszym Programie Telewizji Polskiej nadawało się, poza Laskowikiem, jedynie przypomnienie wciąż jakby świeżego starego skeczu Kabaretu Moralnego Niepokoju „Jerzyk dzisiaj nie pije” z kapitałnym, nie tylko w tym numerze, Mikołajem Cieślakiem. Tyle że ansambl Górskiego i Cieślaka to dziś już klasyka, i to wyjątkowa w dziejach polskiego kabaretu po wyzwoleniu od komunistycznej opresji, kiedy miał on swój – jakby to głupio nie zabrzmiało – najlepszy okres.

Potem, niestety, za roześmieszanie narodu w telewizyjnej centrali wzięła się Nina Terentiew i choć od dłuższego już czasu skutecznie obniża poziom pocucia humoru Polaków w Polsce, to i w TVP pozostawiła po sobie, odkąd na początku lat 90. wypromowała tam kabaret OT.TO, niezatarty ślad. W efekcie za kabaretowych

profesjonalistów robią dzisiaj Smile, Łowcy.B czy Kabaret Młodych Panów. A my się męczymy. Naprawdę proroczą nazwę wymyślił kiedyś Kabaret Skeczów Męczących, nie powinien jednak rezerwować jej wyłącznie dla siebie.

Gdyby ktoś pomyślał, że uczepiłem się jak rzep „Centralnego Biura Humoru”, to informuję, że w ramówce bezpośrednio poprzedziła je kolejna część kabaretowego „Supershow Dwójki”. Wskazane byłoby audiotele z pytaniem, który z programów był większym shitem. Uczestnicy konkursu otrzymaliby płyty z nagraniem wszystkich odcinków pochodzącego z importu dzieła „Anything Goes. Ale jazda!”, jeszcze niedawno wprawiającego widzów w stan całkowitego stuporu. Pod paroma względami nasze kabaretowe programy różnią się od tamtej produkcji: po pierwsze – są rodzime, a powinniśmy popierać krajową wytwórczość, po drugie – wykonawcy bardziej umiarkowanie cieszą się ze swoich „żartów”, a po trzecie – nie drą ryja aż tak głośno, za co należy się im wdzięczność matek niemowląt i laryngologów. Co do zasobów debilizmu tam i tu zaproponowałbym remis ze wskazaniem... To już zależy od Państwa.



Łukasz Warzecha

Pęknięcie, jakie wywołała pandemia poprzez wyhodowanie sanitarystycznego nurtu myślenia i działania, jest być może równie głębokie jak to, które kiedyś wywołał 10 kwietnia

Reakcja sporej części publiczności na naszą ubiegłotygodniową okładkę („Ja was wszystkich zaszczepię! Bill Gates i jego plan uszczęśliwienia świata”) była wprost historyczna. Serwis Press.pl zagrzewał do ataku na nas: „Antyszczepionkowa okładka »Do Rzeczy« bez reakcji rządzących”, cytując obficie wyrazy oburzenia z różnych stron. Jak trafnie spostrzegł jednak ktoś z facebookowej publiczności – gdyby dokładnie ta sama okładka z tym samym tytułem otwierała „Newsweek” lub „Politykę” – nie byłoby żadnego problemu.

Histerycy dowiedli przede wszystkim – jakkolwiek to banalne – że nawet wśród osób pozornie poważnych, publicystów czy dziennikarzy coraz popularniejsze jest ocenianie tekstów, których się nie czytało. Kto zaś powstrzymał się z wyrażaniem emocji pod wpływem samej okładki – a jednak trochę takich osób było – i docierał do tekstu, ten konstatował, że nie ma w nim żadnej antyszczepionkowej szurii, bredni o czipach w tej czy innej szczepionce ani podobnych absurdów. Ba, nie było w nim właściwie nic o szczepionkach w sensie medycznym. Tekst opowiadał natomiast o finansowo-personalnym układzie, który stworzył wokół siebie twórca Microsoftu, na podstawie wyłącznie bezsprzecznych faktów oraz wypowiedzi z całkowicie wiarygodnych źródeł.

Człowiek myślący logicznie po lekturze tekstu Wojciecha Gołonki zadałby sobie kilka pytań. Na przykład – skoro szefem Światowej Organizacji Zdrowia jest dzisiaj człowiek, który pracował w różnych miejscach Gatesowego imperium, a Gates działa intensywnie w sferze zdrowia i szczepień – również jako inwestor firm farmaceutycznych – to czy nie mówimy tu o możliwym konflikcie interesów? Podobnym do tego, który może zachodzić w przypadku części



Nowy podział Polski

członków Rady Medycznej przy premierze, którzy brali wielokrotnie udział w wydarzeniach sponsorowanych przez producentów szczepionek. Tu zaznaczyć trzeba: jeśli taki konflikt zachodzi, to przecież nie oznacza automatycznie, że szczepionki nie pomagają albo że pandemia to jakieś wielkie oszustwo. Może to jednak oznaczać, że osoby te będą starały się torpedować prace nad lekami na COVID lub że będą w swoich wypowiedziach wyolbrzymiały zagrożenie. Nie udawajmy, że gra nie toczy się na poziomie psychologii społecznej.

W jednym ze swoich poprzednich tekstów, poświęconym atakowi ekologów-klimatystów na produkcję mięsa, wspominałem o wątku, który pojawił się również w tekście o Gatesie. Pisałem, że w swojej najnowszej książce „Jak ocalić świat od katastrofy klimatycznej” Gates

namawia do rezygnacji z mięsa, ale zarazem otwarcie przyznaje: „Zainwestowałem w dwie firmy, które dostarczają obecnie na rynek produkty z roślinnego mięsa – to Beyond Meat oraz Impossible Foods – jestem zatem stronnikiem”. To puszczanie oka do zindoktrynowanego czytelnika: jestem stronnikiem, ale przecież obaj wiemy, że mam rację, bo trzeba „ratować planetę”. Pytanie może brzmieć, co u Gatesa napędza co: czy poglądy napędzają jego inwestycje w różne „postępowe” branże lub w ochronę zdrowia, czy też odwrotnie – najpierw jest plan inwestycji, a potem dopasowuje się do tego cynicznie narrację o zbawianiu ludzkości. Jestem gotów uwierzyć, że u Gatesa pierwotne są jego przekonania, a za nimi dopiero idą inwestycje. W tym sensie Gates byłby szczerym uszczęśliwicielem

ludzkości. Tylko co to dla nas zmienia? Towarzysz Lenin zapewne również szczerze wierzył w lepszy świat.

MAGICZNIE I NAIWNIE

Najbardziej kuriozalną reakcją na okładkę naszego tygodnika były wywody Piotra Lisiewicza z „Gazety Polskiej”, który nie tylko gotów był każdego sceptyka wobec wielkiego programu szczepień określić a priori jako ruskiego szpiona, lecz także posunął się nawet do swego rodzaju obrony Gatesa.

Przed wszystkim jednak zadziwia magiczno-naiwny stosunek części osób do rzeczywistości. Osoby te w reakcji na naszą okładkę, a także sam tekst, gotowe były bronić tezy, że Gates to po prostu wybitny, szlachetny filantrop, któremu chodzi wyłącznie o dobro ludzkości, który nie prowadzi żadnych zakulisowych działań, nie wywiera wpływów, a jedynie hojnie rozdaje swoje pieniądze najbardziej potrzebującym. Wszystko inne ma być „teorią spiskową”.

Jak mówi stare powiedzenie – nie istnieją teorie spiskowe, a jedynie spiski. Trzeba być kompletnie oderwanym od rzeczywistości, żeby twierdzić, że najmożliwiej tego świata nie korzystają ze swoich pieniędzy, by kształtować rzeczywistość zgodnie z własnymi upodobaniami. Korzenie takiej działalności mogą być czysto biznesowe, ale mogą być też na wskroś ideologiczne. Tak jest choćby w przypadku Sorosa, którego agenda jest przecież powszechnie znana i bardzo czytelna. Twierdzenie, że Soros nie jest w ideowym sporze z konserwatywnym nurtem myśli i polityki, zaprzecza faktom. Agenda Gatesa – co stwierdzał w swoim tekście Golonka – nie jest tak ostentacyjnie ideologiczna, ale też nie jest od ideologii wolna. To na przykład kwestia sporu pomiędzy maltuzjańskim a chrześcijańskim podejściem do rodziny. Gates jest neomaltuzjaninem, a jego oficjalnie deklarowanym celem jest przyhamowanie globalnej demografii poprzez podnoszenie poziomu życia, także dzięki szczepieniom, zwłaszcza w najbardziej zagrożonych regionach świata. Stoi to w jaskrawej sprzeczności z konserwatywnym podejściem do rodziny i spraw demografii. Ludzie tacy jak Gates mają zaś ogromny wpływ, również za sprawą sieci osobistych powiązań, na agendę takich organizacji jak ONZ. Nie jest to przecież żadna „teoria spiskowa” i właściwie nie bardzo rozumiem, czemu

ktos – a szczególnie zwolennicy koncepcji Gatesa – miałby temu zaprzeczać. Tak po prostu jest i jest to realny problem dla zwolenników konserwatywnego podejścia, którzy takich wpływów nie mają. Dlatego też byli oni gotowi wybaczać Donaldowi Trumpowi wiele jego mocno wątpliwych posunięć, upatrując w nim polityka mogącego zrobić wyłom w tym systemie. Czy była to słuszna ideowa inwestycja – to już inna sprawa (moim zdaniem – raczej nie).

EMOCJE I PODZIAŁY

Spór o okładkę „Do Rzeczy” pokazał jeszcze jedno: drastyczny wzrost, w ciągu ostatniego roku, emocji i podziałów, idących w znacznej mierze w poprzek podziału politycznego. Dobrze działania rządu w walce z epidemią ocenia w najświeższym na ten temat sondażu CBOS 43 proc., a źle – 49 proc. To oczywiście ocena ogólna, ale jeśli zasadnie założyć, że zawiera ona również ocenę decyzji dotyczących lockdownu, zamrożenia wielu branż, nakazu noszenia maseczek na ulicy, to zobaczymy, że nie pokrywa się to idealnie z podziałem PiS kontra anty-PiS, który wynosi w przybliżeniu 35 do 65 proc.

Nic dziwnego – po stronie sanitaryzmu opowiadają się, prócz sympatyków władzy, również w zdecydowanej większości zwolennicy Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i Polski 2050. Po stronie przeciwnej są część zwolenników Zjednoczonej Prawicy, skupionych głównie wokół Solidarnej Polski (ale nawet w samym PiS są głosy sprzeciwu, takie jak ze strony poseł Anny Siarkowskiej), cały obóz Konfederacji oraz zapewne probiznesowo nastawiona część wyborców Koalicji Polskiej (PSL).

Tyle poziom sondażowy. Prawdziwą intensywność sporu widać jednak dopiero na poziomie zwykłych międzyludzkich relacji. Te bywały już zrywane z powodu stosunku do obecnej władzy – takie doświadczenia ma wielu Polaków. Teraz są zrywane z powodu stosunku do epidemii, zamknięcia części gospodarki, ograniczeń nakładanych na nasze funkcjonowanie. W dużej mierze dzieje się to z konieczności w Internecie, a tam łatwiej o radykalne postawy niż przy bezpośrednich kontaktach. Występuje tu ciekawe zjawisko: odcinając skrajności (w tym prawdziwych antyszczepionkowców, uważających, że każda szczepionka to zaplanowane przez Big Pharmę niszczenie ludzkiego organizmu),

prawdziwie zamordystyczne i cenzorskie tendencje wykazują ci, którzy podpierają się „nauką”. Najczęściej zresztą nie przytaczając żadnych konkretnych badań.

Najbardziej znanym przykładem była interwencja Joanny Lichockiej w TVP, skutkująca zawieszeniem programu „Warto rozmawiać” Jana Pospieszańskiego. Posłanka podparła się w swoich pismach rzekomą „aktualną wiedzą medyczną”, nie powołując się jednak na żadne konkrety.

Wielu komentatorów popiera działania Naczelnej Rady Lekarskiej, przesłuchującej lekarzy wyrażających sceptycyzm wobec polityki lockdownów. Nasilają się głosy o konieczności wprowadzenia przymusu szczepień albo tak kuriozalne i niekonstytucyjne pomysły jak ten prof. Anny Piekarskiej z Rady Medycznej przy premierze, żeby niezaszczepieni płacili za swoje ewentualne leczenie, jeśli zachorują na COVID. Powtarzam: to nie są głosy jakichś pomyślników, paradygujących na co dzień w antychemicznych kombinezonach. Szczepionkowej segregacji, przymusu szczepień, cenzury i karania mediów takich jak „Do Rzeczy” domagają się osoby z absolutnie głównego nurtu. Tak właśnie ów główny nurt stacza się w odmętę sanitarystycznego szaleństwa.

Pęknięcie, jakie wywołała epidemia poprzez wyhodowanie sanitarystycznego nurtu myślenia i działania, jest być może równie głębokie jak to, które kiedyś wywołał 10 kwietnia. Może nawet głębsze, ponieważ namacalne i konkretne konsekwencje w tym wypadku zostaną z nami przez lata, może nawet dziesięciolecia. Wystarczy wspomnieć o dzieciach, które w wieku kilku lat przeżywają dzisiaj okres kształtowania się ich wyobrażeń o świecie, a widzą wokół siebie głównie ludzi w maskach, nie spotykają się z rówieśnikami oraz są pozbawione normalnych dziecięcych przyjemności. Rośnie wypaczone psychicznie pokolenie, a konsekwencje odczujemy dopiero za minimum dekadę.

Takie skutki sanitaryzmu są poza zasięgiem wzroku tych, którzy są przekonani, że poruszanie się po ulicy bez maseczki równa się dokonaniu zabójstwa. Pomiędzy nimi a ludźmi z przerażeniem obserwującymi, jak niszczy się dorobek życia jednym, psychikę innym, a wszystkim zabiera się wolność być może na zawsze, porozumienia nie ma i być nie może.

Nie wystarczyłoby nie kraść



Janusz Korwin-Mikke

JE Mateusz Morawiecki prosił na konferencji prasowej „o zastanowienie się, jakby wyglądała walka z COVID-19, gdyby służba zdrowia była poza publiczną domeną”. Po zastanowieniu napisałem tych kilka słów – najpierw ustalając jakiś cel, jaki właściciele placówek leczniczych, lekarze, pielęgniarki, farmaceuci e tutti quanti mogliby osiągnąć bez ingerencji „rządu” i innych organów państwa

Ustaliłem ambitny cel: by przeżyło 100 tys. ludzi więcej, niż przeżyło ich pod opieką państwa. Zatem co powinni byli zrobić pan prezydent, pan premier oraz liczni ministrowie tego „rządu”? Cóż... Główne hasło „dobrej zmiany” brzmiało: „Wystarczy nie kraść”. To dobry punkt wyjścia, eliminujący zakupy maseczek, respiratorów... wreszcie i szczepionek (o których na końcu). Niestety, absolutnie niewystarczający. Nie wystarczy nie kraść. Trzeba było jeszcze NIE robić wielu innych rzeczy.

Po pierwsze, nie tylko nie przedkładać Senatowi i Sejmowi kilkudziesięciu pakietów świetnych ustaw „antycovidowych”, ale czynnie i zdecydowanie zablokować Senatowi i Sejmowi uchwalenie jakiegokolwiek ustawy idącej w tym kierunku. Powtarzam: zwłaszcza Senatowi, bo tzw. totalna opozycja była jeszcze bardziej gorliwa w podejmowaniu rozmaitych inicjatyw.

Po drugie, nie dopuścić do uchwalenia jakichkolwiek lockdownów, kwarantann i zamykania szkół. Nie wdając się w szczegóły: Jakie byłyby skutki, gdyby „rząd” związał łapy sobie oraz legislaturze, likwidując 90 proc. przepisów dotyczących „służby zdrowia” i ogra-

niczając się do nawoływania, by ludzie starsi i schorowani, zwłaszcza na płuca, odizolowali się od społeczeństwa na jakieś trzy miesiące?

W kwietniu 2020 r. mielibyśmy już coś na kształt epidemii. Oceniam liczbę zmarłych na jakieś 30 tys. – do końca czerwca na jakieś 40 tys. ludzi. Dla porównania: w rzeczywistości w tym okresie umarło tylko ok. 5 tys. ludzi. Jest tu jednak pewna istotna różnica. Te 40 tys. osób umarłoby jak ludzie, we własnych łóżkach. Dla części nie byłoby miejsc w szpitalach pod respiratorami. Jednak nikt mi nie wytłumaczy, że śmierć po tygodniu leżenia pod respiratorem, w izolacji od rodziny, jest czymś lepszym niż śmierć we własnym łóżku w otoczeniu własnej rodziny. Nawet jeśli jej prawdopodobieństwo jest większe!

W tym czasie reszta ludności nabierałaby odporności – po prostu przechodząc COVID. Całując się, bawiąc i kochając. Młodzi ludzie na tę chorobę praktycznie nie chorują. Jeśli chorują, to na ogół tego w ogóle nie zauważają lub przechodzą ją tak jak inną chorobę zakaźną (na którą czasem się umiera!). A dzieci by szczególnie roznosiły koronawirusa po całej społeczności. I społeczeństwo nabierałoby odporności.

Zalecałem to już w marcu. Ale kto by słuchał niepraktykującego od lat socjocybernetyka?! Jednak już w maju zalecały to tysiące uczonych, a po wakacjach pod Deklaracją z Great Barrington podpisały się ich dziesiątki tysięcy.

Zostało to całkowicie zignorowane, bo w d...kracji głosy się liczy, a nie waży. Od wakacji umierałoby dziennie 20–30 osób, bo ludzie po prostu nie mieliby się już od kogo zarazić. Liczba ta z każdym tygodniem by się zmniejszała. Przypuszczalnie w sumie mielibyśmy obecnie 50–55 tys. zmarłych. To skąd ta oszczędność 100 tys., skoro obecnie zmarły raptem 62 tys. osób?

Już w grudniu na podstawie danych statystycznych napisałem, że wskutek działań III Rzeczypospolitej i Jej „rządu” zmarło o 60 tys. ludzi więcej. Jest to różnica między zmarłymi w roku 2020 a zmarłymi w roku 2019 minus liczba zmarłych na COVID. Od tego czasu liczba ta wzrosła do jakichś 100 tys. Zauważyłem z satysfakcją, że obecnie wymienia ją co drugi dyskutant w Sejmie, zawsze z lewej strony sali – co jest o tyle zabawne, że gdyby rządziła KO-Lewica, to ta liczba byłaby znacznie wyższa, bo jest efektem tego, że „rząd działa”. Przeciwnie, jak zazwyczaj.

Skąd taka śmiertelność? Notabene wyższa niż śmiertelność z powodu COVID-19? Główna przyczyna to śmierć z powodu niepójścia do lekarza z obawy przed zarażeniem się COVID-19 (tu główną winę ponoszą hieny dziennikarskie, a nie politycy!). Niepójście do szpitala – z tych samych powodów lub dlatego, że szpital został wyłączony z obiegu. Nieprzyjęcie na czas do szpitala, również w przypadkach nagłych (są liczne świadectwa o zgonach na zawał, bo choremu kazano robić test i czekać na jego wynik!!!). Brak zdiagnozowania i leczenia np. raka – na czas (właśnie podczas Komisji Zdrowia zostałem poinformowany, że liczba zgonów na raka wzrosła TRZYKROTNIE). A także stres spowodowany obawą przez zarażeniem się, izolacją, kwarantannami, lockdownami i resztą działalności „rządu”.

Te 100 tys. trupów obciąża sumienie przede wszystkim pana prof. Rafała Szumowskiego i JE Adama Niedzielskiego. Obawiam się, że choć to liczba ogromna, to nikt nie stanie z powodu tej hekatombi przed sądem. Ostatecznie, mimo żądań

śp. gen. Władysława Andersa, przed sądem nie stanęli nawet odpowiedzialni za ogłoszenie powstania warszawskiego (200 tys. ofiar)...

Jednym zdaniem odpowiadam na okrzyki niedowierzania: „To »rząd« nie powinien być nawet oddzielić np. szpitali covidowych od niecovidowych?”. Oczywiście, że NIE. Zrobiono to po kilku tygodniach, a wykonanie zajęło jeszcze tydzień. Szpitale pozostawione samym sobie podzieliłyby się robotą w kilka dni, a lekarze starsi i bardziej zagrożeni COVID sami „jakoś” poszliby leczyć do tych niecovidowych. Oczywiście gdyby nie przepisy o stażach, etatach i reszta biurokracji. Wiara socjalistów w to, że ludzie bez świątłych wskazówek polityków i urzędników nie potrafią działać racjonalnie, jest wzruszająca. PZPR-owcom wyleczenie się z tej choroby zajęło 35 lat – polecam tu artykuł śp. prof. Mariana Mazura: „Społeczne znaczenie cybernetyki” w teoretycznym organie PZPR (!), miesięczniku „Nowe Drogi”, nr 5, 1980. Neokomuniści z PiS i innej Lewicy czy centrolewicy nadal nic nie rozumieją i bohatercko walczą z problemami nieznanymi w żadnym innym niż socjalizm ustroju.

Ostatnia sprawa to szczepienia. Problem byłby znacznie mniej palący, bo większość populacji miałaby już solidną odporność po zetknięciu się z COVID-19. „Rząd” i tu nie powinien się mieszać, zadowolając się poręczawczym od zakupu. Do wakacji i tak nie było żadnej szczepionki – dopiero w sierpniu pojawił się Sputnik-V. Nie należało liczyć na większe dostawy – rosyjski producent aż do tej pory (!) nie potrafi zmnożyć produkcji, do tego stopnia, że ostatnio zaczął szczepionkę... rozcieńczać (by podołać zamówieniu złożonemu przez Słowację!). Jednak Rosja to już wprawdzie nie są Sowiety, gdzie turyście oferowano za 1 tys. dol. przyniesienie do hotelu mumii Lenina (by nie fatygował się stanieniem w kolejce...), ale – jak sądzę – przy wolnym rynku byłoby w Polsce paręnaście tysięcy desperatów gotowych zapłacić i 1 tys. zł za dawkę. Po tej cenie na pewno by się załatwiło kanał dostaw. Lewakom wrzeszczącym: „Jak to! To płacić za lekarstwa, które powinny być darmo! I znów bogaci mieliby pierwszeństwo” odpowiadam, że lepiej mieć szczepionkę w sierpniu za 1 tys. zł niż za darmo w marcu, dwa miesiące po pogrzebie.

To samo byłoby ze szczepionką AstraZeneca (w grudniu), Pfizera (w styczniu) i tak dalej. Wszystko

by się dało załatwić; JE Mateusz Morawiecki otwarcie powiedział, że „Unia przepłaciła szczepionki o 3 mld euro”, z czego wynika, że w Unii wzięto za to jakieś 300 mln dol. w łapówkach. To parę centów od dawki – dalibyśmy radę: agenci „rządu” by założyli i odbili to sobie, sprzedając aptekom. Bo, oczywiście, zakupione szczepionki „rząd” wstawiłby do aptek, gdzie byłyby w wolnej sprzedaży. W ten sposób, pozbywając się „problemu”, która szczepionka jest lepsza albo komu ją najpierw wstrzyknąć, ludzie kupowaliby, kierując się powszechnie dostępnymi opiniami (które by – w odróżnieniu od „ekspertów” rządowych – uważnie czytali).

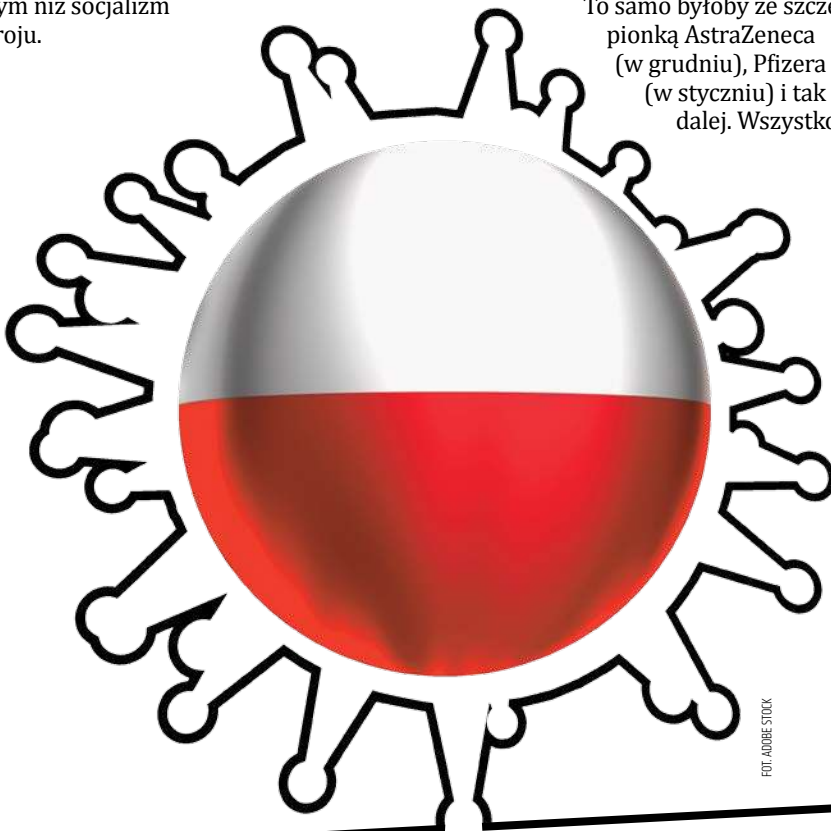
Gdzieś na początku marca cena by spadła do jakichś 70 zł – niektórych znacznie niższej – i wszyscy chętni zostaliby zaszczepieni. Oczywiście, gdyby „rządowi” udało się przedtem całą „służbę zdrowia” sprywatyzować, efekty byłyby lepsze i szybsze.

Gdyby więc JE Mateusz Morawiecki wraz ze swoim „rządem” wyjechał 15 miesięcy temu na Bahamy, zostawiając paręset milionów dla geszefciarzy, którzy zajęliby się sprowadzaniem szczepionek, to przeżyłoby ponad 100 tys. Polek i Polaków więcej. Obecnie płacimy za niewczesną aktywność „rządu” straszliwą cenę. Od kilku dni Polska jest na pierwszym miejscu na świecie pod względem śmierci na COVID-19 na mieszkańca, a przez dwa dni nawet w liczbach bezwzględnych wyprzedziła Indie, Rosję, Chiny i USA!!! I za to odpowiada III Rzeczpospolita.

Rządzący niewątpliwie odpowiedzą, że wyborcy chcieli, by „rząd” coś robił. To nie jest argument. Polityk, który robi to, czego chcą jego wyborcy, nie jest politykiem: jego wyborcy mogliby rządzić bez niego, przez głosowanie w Internecie. Przeciętny wyborca nie potrafi decydować za miliony – polityk musi. I musi umieć podejmować drastyczne decyzje. Wbrew wyborcom.

Jeśli się gra w „Monopoly”, to trzeba zainwestować, by zarobić. Tak: rok temu należało „zainwestować” 40 tys. nieboszczyków, by teraz nie umarło 65 tys. Plus te 100 tys. „nadliczbowych”...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADOBE STOCK



Alaksandr Łukaszenka (z lewej) zwrócił się do Władimira Putina jako ostatniej nadziei na zachowanie władzy. FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/TASS/GETTY IMAGES

Białoruskie wyzwanie



Marian Piłka

Oczekiwanie, że Białorusini staną się państwem i narodem antyrosyjskim, jest naiwne. Polska powinna jednak wspierać proces odrodzenia narodowego Białorusinów

Białoruś jest zasadniczym czynnikiem równowagi europejskiej. W sytuacji, gdy Rosja coraz bardziej odwołuje się do polityki z pozycji siły, utrzymanie odrębności państwowej i niezależności strategicznej Białorusi ma fundamentalne znaczenie dla bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Bezpośrednie wchłonięcie Białorusi w wymiarze militarnym oznacza, że wojska rosyjskie nie tylko na odcinku królewieckim, gdzie mają stosunkowo ograniczone pole działania, lecz także na kierunku wschodnim znalazłyby się na granicy Polski, 200 km od Warszawy. To oznacza faktyczną likwidację białoruskiej państwowości i stwarza

bezpośrednie zagrożenie militarne dla naszego kraju.

Paradoksalnie, na co zwracał uwagę Marek Budzisz, ubiegłoroczne protesty związane z kontestowanymi wynikami wyborów prezydenckich oznaczają osłabienie niezależności państwowej Białorusi i pogłębienie jej zależności od Rosji. Prezydent Łukaszenka, który wcześniej stosunkowo skutecznie przeciwstawiał się rosyjskim tendencjom integracyjnym, w których widział zagrożenie dla własnej pozycji, osłabiony protestami społecznymi zwrócił się do Moskwy jako ostatniej nadziei zachowania władzy. To spowodowało, że jego możliwości przeciwstawienia

się integracji, zwłaszcza w wymiarze militarnym, gwałtownie zmalały. Mińsk jest skłonny zaakceptować dalsze ograniczanie swojej suwerenności na rzecz Moskwy, za gwarancje stabilności władzy obecnego prezydenta.

To wyraźnie pogarsza geostrategiczne położenie naszego państwa. Zagraża bowiem, w wersji maksymalistycznej, całkowitym wchłonięciem militarnym Białorusi przez Rosję, ze wszystkimi militarnymi konsekwencjami tego faktu. I to w czasie narastania konfrontacji amerykańsko-chińskiej oraz uzasadnionych obaw co do determinacji USA do przeciwstawiania się rosyjskiej polityce z pozycji siły. Oznacza to także radykalne ograniczenie międzynarodowej roli państwa polskiego, pogłębienie pozycji peryferyjnych w zakresie bezpieczeństwa, a w konsekwencji także w zakresie możliwości rozwoju gospodarczego i uzależnienie naszej pozycji oraz naszej polityki od państw gwarantujących nam bezpieczeństwo. To bardzo niekorzystny dla nas scenariusz rozwoju sytuacji międzynarodowej.

WIĘCEJ REALIZMU

Pozycję Polski pogarszają błędy popełnione w czasie białoruskich protestów. Mimo że nie zaistniały żadne przesłanki, które wskazywałyby na możliwość zasadniczej zmiany geopolitycznego położenia Białorusi, to polska polityka jednoznacznie zaangażowała się w popieranie demokratycznych protestów, odcinając sobie jakąkolwiek możliwość nie tylko polityki wobec władz Białorusi, lecz także nawet tracąc zdolność utrzymania kontaktu. Polska polityka, w sferze koncepcyjnej, była bowiem kontynuacją nieefektywnej polityki lat 90. i pierwszego 15-lecia obecnego wieku wspierania na Białorusi demokracji kosztem realizacji polskich interesów narodowych, zwłaszcza w wymiarze naszego bezpieczeństwa. Nie przynosi nam to żadnych pozytywnych rezultatów, a w praktyce wypychała ona Mińsk w ramiona rosyjskie.

Dlatego zachowanie dystansu władz wobec demokratycznych protestów i wsparcie ich przez organizacje społeczne, a nie przez rząd, wydawało się bardziej odpowiedzialną polityką niż ta, którą zastosował rząd Morawieckiego. W każdym razie bardziej zdystansowana polityka pozwoliłaby na zachowanie przynajmniej kanałów kontaktu z białoruskimi władzami i nie byłaby czynnikiem wspierającym uzależnianie Mińska od Moskwy.

Nie wspominając o tym, że zakładnikiem tej polityki stała się polska mniejszość.

W tej sytuacji należy zweryfikować dotychczasową politykę i oprzeć ją na bardziej realistycznych przesłankach. Przede wszystkim punktem wyjścia jest założenie, że do czasu zasadniczych zmian międzynarodowych Białoruś jest faktycznie w rosyjskiej strefie wpływów. To, co jest możliwe do uzyskania w dającej się przewidzieć perspektywie, to tylko powstrzymanie lub tylko spowolnienie procesów integracyjnych państwa białoruskiego z Rosją. W sytuacji uzależnienia władzy Łukaszenki od rosyjskiego wsparcia nie jest to zadanie łatwe. Tym bardziej że narastający konflikt amerykańsko-chiński i stagnacja gospodarcza Rosji zagrażająca jej, w dłuższej perspektywie, degradacją własnej mocarstwowej pozycji, wzmacniają imperialne zachowania Moskwy. Wkroczyliśmy w okres destabilizacji systemu międzynarodowego i drugim głównym czynnikiem zagrożenia dla pokoju po amerykańsko-chińskim konflikcie jest polityka Moskwy. Rosja jest świadoma tego, że jeżeli w ciągu najbliższych 10–15 lat nie ugruntuje swojej międzynarodowej pozycji, to później nastąpi zasadnicza degradacja jej mocarstwa. Stąd najbliższa dekada zapowiada się jako okres konfliktów, destabilizacji, a nawet możliwego zagrożenia naszego bezpieczeństwa narodowego.

W tej sytuacji oprócz radykalnego wzmocnienia militarnego Polski potrzebna jest polityka osłabiająca możliwość realizacji przez Rosję najbardziej niebezpiecznego dla nas scenariusza. Jednym z zasadniczych elementów tego planu musi być polityka wobec Białorusi blokująca, a przynajmniej osłabiająca możliwość wcielenia Białorusi do rosyjskiego systemu militarnego. Założeniem tej polityki powinno być z jednej strony niepopieranie białoruskiej opozycji (jako działania wypychającego Łukaszenkę w rosyjskie ramiona), ale z drugiej strony wspieranie procesu narodowego odrodzenia Białorusinów. Bo oprócz demokratycznych aspiracji, jakie ujawniły protesty, odrodzenie narodowe było jeszcze ważniejszym wymiarem tego, czego świadkami byliśmy w trakcie kampanii wyborczej i w okresie późniejszym. Białorusini, którzy byli dotychczas uważani za społeczność ulegającą rusyfikacji i niezdolną do samodzielnego działania, stali się podmiotem politycznym na terenie własnego państwa dążącym nie tylko do demokratycznych przeobrażeń, lecz także do odrodzenia narodowego. I choć oba procesy

są ze sobą dość ściśle związane, to jednak nie są tożsame. Już w okresie poprzedzającym wybory prezydenckie i protesty demokratyczne mieliśmy do czynienia z objawami tego procesu. Co więcej, także sam Łukaszenka, szukając wzmocnienia legitymizacji swojej władzy, zrezygnował z niszczenia białoruskiej świadomości narodowej i zaczął proces zwany „miękką białorutenizacją”, m.in. poprzez odwoływanie się do tradycji Księstwa Połockiego czy Wielkiego Księstwa Litewskiego, które Białorusini uważają za państwowość białoruską. Protesty po wyborach prezydenckich zdecydowanie wzmocniły tę tendencję. I choć społeczeństwo białoruskie nadal jest podzielone, o czym świadczą badania opinii przeprowadzone przez Ośrodek Studiów Wschodnich, to jednak dążenie do odrodzenia narodowego, zachowanie własnego państwa, a także narastający krytycyzm wobec polityki rosyjskiej wobec Białorusi, co nie oznacza dążenia do zmiany geopolitycznej, pokazuje, że mamy do czynienia z bardzo istotnym procesem odrodzenia narodowego.

Ten proces nie ma charakteru antyrosyjskiego, jest to raczej dążenie do budowy własnej podmiotowości i własnego państwa, które będzie w przyjaznych relacjach z państwem rosyjskim. Ale głębokie więzi z Rosją, mające swą podstawę w historii, języku, religii i gospodarce, nie oznaczają, że Białorusini chcą być instrumentem w polityce rosyjskiej. Odrzucenie Łukaszenki świadczy o czym innym, Białorusini chcą być gospodarzem we własnym kraju i prowadzić przyjazną politykę wobec sąsiednich państw i narodów. To dążenie jest zbieżne z zasadniczym interesem bezpieczeństwa narodowego naszego państwa. Białoruś, nawet w uprzywilejowany sposób związana z Rosją, ale jako państwo podmiotowe zainteresowane utrzymaniem pokoju i państwo, które nie jest pasem transmisyjnym dla rosyjskiej polityki z pozycji siły, jest zasadniczym celem polskiej polityki bezpieczeństwa narodowego.

DŁUGOFALOWA INWESTYCJA

Ten postulat wymaga sformułowania takiej polityki, która będzie prowadziła z jednej strony do wzmacniania procesu odrodzenia narodowego Białorusinów, a z drugiej strony nie będzie wzmacniała tendencji do popychania oficjalnego Mińska w ramiona Moskwy. Oznacza to, że kwestia wyboru władz państwa białoruskiego nie jest bezpośrednim tematem polityki polskiego rządu. Natomiast głów-

nym celem polityki polskiej jest wspieranie procesu odrodzenia narodowego jako procesu budowy białoruskiej podmiotowości i wzmacnianie jej propolskiej orientacji. Otóż zasadniczym działaniem, które wzmacnia propolską orientację Białorusinów, jest – w związku z pogłębianiem się stagnacji gospodarczej w Rosji – możliwość pracy zarobkowej w Polsce. Według badania OSW więcej Białorusinów chce już pracować w Polsce niż w Rosji. Zniesienie wiz unijnych dla Białorusinów to nie prezent dla Łukaszenki, ale wzmocnienie prozachodniej, przyjaznej Polsce orientacji. W sytuacji oporu Unii Polska jednostronnie powinna ułatwić przyjazdy Białorusinów do Polski. Aby zachęcić także do studiów w Polsce, rząd powinien zwolnić Białorusinów z opłat za studia na pierwszym roku, a także rozbudować system stypendialny. Powinien zostać powołany uniwersytet białoruski z białoruskim językiem wykładowym, finansowany zarówno przez instytucje unijne, jak i państwo polskie. Nic bardziej nie buduje propolskich postaw jak możliwość nauki w Polsce. To inwestycja o charakterze długofalowym, której celem jest przede wszystkim zagwarantowanie bezpieczeństwa narodowego naszego kraju. Polska w znacznie większym zakresie powinna wspomóc odrodzenie języka białoruskiego poprzez promocję polskiej literatury pięknej i naukowej w tym języku.

Państwo białoruskie i jego społeczeństwo są bardzo silnie związane różnymi więzami z państwem rosyjskim. Oczekiwanie, że Białorusini zerwą te więzi i staną się państwem oraz narodem antyrosyjskim, jest naiwne. Białorusini chcą być gospodarzami we własnym państwie i rozwijać własną kulturę oraz tożsamość narodową. Odrodzenie narodowe w dłuższej perspektywie prowadzi do demokratyzacji, choć w bezpośrednim wymiarze nie jest skierowane na obalenie władzy Łukaszenki. Wsparcie tego procesu wzmocni proces budowania białoruskiej podmiotowości. Nie oznacza bezpośredniego ingerowania w proces wyłaniania władz państwa białoruskiego. Taka polityka daje możliwość współpracy w zakresie bezpieczeństwa narodowego z władzami w Mińsku. Podmiotowa rola Białorusi oznacza bowiem większą stabilizację, równowagę i współpracę, obejmującą także Rosję. I dlatego wsparcie procesu odrodzenia narodowego powinno być zasadniczym celem polskiej polityki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, publicystą, członkiem Prawicy Rzeczypospolitej.



Spotkania na

Prymas Polski spotkał się z I sekretarzem KC PZPR sześciokrotnie: 29 października 1977 r.; 29 listopada 1977 r. w szerszym gronie na przyjęciu zorganizowanym przez Ambasadę PRL w Rzymie (dwa dni przed audiencją Pawła VI dla Edwarda Gierka), 24 stycznia 1979 r.; w maju 1979 r.; 2 czerwca 1979 r. w Belwederze, w czasie papieskiej wizyty, z udziałem



Rafał Łatka

Toczone na przestrzeni lat 1977–1980 rozmowy kard. Stefana Wyszyńskiego z Edwardem Gierkiem miały fundamentalne znaczenie nie tylko w zakresie relacji państwo-Kościół, lecz także dla sytuacji społeczno-politycznej w Polsce i w bloku wschodnim



Spotkanie prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem, Warszawa, 29 maja 1979 r. FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

szczyście

Jana Pawła II i Henryka Jabłońskiego; 25 sierpnia 1980 r.

Rozmowa na rzymskim gruncie i majowe spotkanie z 1979 r. o charakterze technicznym dotyczące pielgrzymki Ojca Świętego miały mniejsze znaczenie. Rozmowa z 2 czerwca 1979 r. jest już z kolei wystarczająco znana w sferze publicznej, a kluczową rolę w niej odgrywał papież. Skoncentruję się zatem w swojej

analizie na trzech kluczowych spotkaniach: pierwszym z października 1977 r., trzecim ze stycznia 1979 r. i ostatnim z sierpnia 1980 r.

PIERWSZE SPOTKANIE

Prymas już jesienią 1975 r. sugerował, że jest gotowy na rozmowę z I sekretarzem KC PZPR. Kwestię tę poruszano również w kontaktach bp. Bronisława Dąbrowskie-

go ze Stanisławem Kanią i Kazimierzem Kąkolem. Dygnitarze partyjni wracali do niej zwłaszcza po Czerwcu '76, ale kard. Wyszyński uważał, że ze względu na stan napięcia nie jest to właściwy moment na spotkanie na szczycie. Ze względu na rozwój sytuacji społeczno-politycznej i późniejszą chorobę kard. Wyszyńskiego do rozmowy nie doszło ani na początku 1977 r., ani wiosną, lecz dopiero w październiku. Władze różnymi kanałami przekazywały informację, że Gierek jest pozytywnie nastawiony do spotkania i traktuje ją bardzo poważnie. Prymas uważał z kolei, że zanim dojdzie do audiencji dla I sekretarza KC PZPR u Pawła VI (do czego zresztą sam się przyczynił), musi sam porozmawiać z przywódcą partyjnym.

Zgodnie z początkowymi ustaleniami spotkanie miało się odbyć 26 października w podwarszawskiej Choszczówce, gdzie prymas przechodził rekonwalescencję

po operacji. Na skutek nacisków władz, zainteresowanych tym, by miało ono bardziej oficjalny charakter, przeniesiono je do siedziby Rady Państwa, a termin ustalono na 29 października. Początkowo kard. Wyszyński nie chciał przystać na zmianę charakteru i miejsca rozmowy, obawiając się, jak odbierze to społeczeństwo. Ostatecznie wyraził zgodę, stawiając swoje warunki co do przebiegu i treści rozmowy (bez narzucanych tematów i z omówieniem nadchodzącej wizyty Gierka u Pawła VI). Rządzący zaakceptowali żądania prymasa. Wydaje się, że kard. Wyszyński zgodził się na zmianę formuły spotkania po to, by wzmocnić pozycję Gierka przed jego wizytą w Moskwie. Podkreślił to w swoim dzienniku: „Ale ta sytuacja E[dwarda] Gierka, chociaż nie jest dla Kościoła w Polsce nagłą, ma doniosłe znaczenie dla polskiej racji stanu. Ale idzie o to, by ją wykorzystać, bo Kościół ma zawsze czas. Ale idzie o to, by zaznaczyć wolę obrony suwerenności narodu. Istnieje więc pewnego rodzaju nakaz moralny, by w tak trudnej sytuacji podać rękę człowiekowi, który z dotychczasowych sekretarzy PZPR w swej polityce przejawia najwięcej troski o naród (rodzina, polityka populacyjna, renty). Ma on swoje błędy, na skutek przeekonomizowania gospodarki narodowej, przerostu inwestycji za pożyczone pieniądze. Ale nie leży w interesie Kościoła w Polsce, by E[dward] Gierek został zniszczony. Bo następcy mogą być gorsi i mogą odrobić posunięcia E[dwarda] Gierka”.

Obie strony starannie przygotowały się do rozmowy. W swoich materiałach władze wskazały, że jest ono ważne w kontekście rozmów normalizacyjnych z Watykanem i Kościołem, oraz będzie:

- potwierdzeniem konsekwentnej polityki wyznaniowej państwa;
- wsparciem lojalnych wobec państwa nurtów w Episkopacie i wśród duchowieństwa, a tym samym poszerzy proces izolacji postaw oraz działań biskupów i niektórych księży reprezentujących tendencje walki z państwem;
- powodować szeroki rezonans co do realizowanego przez partię i rząd programu umacniania jedności narodu;
- utrudniać elementom opozycyjnym wykorzystywanie osób duchownych do działań politycznych przeciwko państwu”.

Ponadto stwierdzono, że spotkanie przygotowuje grunt dla audyencji Gierka u Pawła VI, może być precedensem w kwestii trybu rozmów z kard. Wyszyńskim i innymi polskimi biskupami

oraz przyczynić się do poprawy i tak już stosunkowo przychylnego stosunku prymasa do władz.

W materiałach przygotowawczych do spotkania prymas określił główne wątki, które chciał podjąć. Po kurtuazyjnym wstępie zamierzał wspomnieć o kwestiach ogólnonarodowych, wspólnej trosce o ojczyznę, a potem nawiązać do przemówienia wygłoszonego przez Gierka 31 grudnia 1970 r. Zanotował: „Więcej nas powinno łączyć, niż dzielić. Służymy temu samemu narodowi”. Nie wszystkie planowane wątki kard. Wyszyński poruszył. Zrezygnował m.in. ze szczegółowego omawiania sytuacji Kościoła i postulatów Episkopatu. Na początku zadeklarował, że już od dawna nosił się z zamiarem odbycia tej rozmowy, oraz wskazał jej cele. Tak opisał to w swoim dzienniku: „Nie mam zamiaru załatwiać spraw ani wysuwać postulatów, nie chcę też oceniać, krytykować lub czegokolwiek żądać. Moja obecność dziś jest podyktowana potrzebami polskiej racji stanu, zwłaszcza na progu uroczystości 60-lecia rewolucji w Moskwie i podróży E[dwarda] Gierka do Rzymu. Wydaje mi się, że w takim układzie spotkanie nasze ma jakiś sens i służy dobrze narodowi”. Gierek odpowiedział, że cieszą go te intencje oraz możliwość spotkania. Prymas odnotował, że w dyskusji najpierw on sam przedstawiał określone zagadnienia, a następnie odnosił się do nich I sekretarz PZPR. Potem przez 45 minut mówił Gierek, a na koniec obaj wygłosili konkluzje.

Kardynał Wyszyński ocenił spotkanie z I sekretarzem jako „dodatnie”, bez względu na ewentualne krytyczne komentarze, które mogłyby się pojawić w prasie zagranicznej. Na posiedzeniu Konferencji Plenarnej w dniach 14–15 grudnia wskazał, że była mowa o sprawach zasadniczych, m.in. problematyce rodzinnej, wsparciu dla wielodzietnych rodzin czy budownictwie mieszkaniowym.

Prymas był pod wrażeniem Gierka, doceniał jego otwartość w przedstawianiu problemów społeczno-politycznych. Świadczy o tym zapis, jaki sporządził świeżo po spotkaniu: „Jest to człowiek spokojny, równy, poważny, widocznie zmęczony i blady. Trzyma się prosto. Robi wrażenie szczerego i wolnego od krzywnizn taktycznych oraz chwytów słownych. Mówi dobrze, zdania układa poprawnie. [...] Nie ma też frazeologii marksistowskiej ani akcentów socjalistyczno-ateistycznych. Jest w nim szacunek dla Kościoła i religii. Przywiązany

do Polski i tradycji historycznych. Budzi zaufanie od pierwszego słowa. Oczywiście, że zapewne sens naszego spotkania zabarwił styl zachowania i słownik – przebija raczej osobowość, taktyka polityczna. Z moich rozmówców partyjno-rządowych (Bierut, Mazur, Gomułka, Cyrankiewicz, Jaroszewicz) p. E. Gierek przedstawia się najkorzystniej”.

Na posiedzeniu Rady Głównej 13 grudnia 1977 r. kardynał zaznaczył nawet, że spotkanie z Gierkiem – zarówno w Polsce, jak i w Watykanie – miało historyczny charakter i było znaczącym krokiem ku porozumieniu społecznemu. O spotkaniu na szczycie dyskutowano też na forum Rady Głównej Episkopatu w styczniu 1978 r. Było to zdaniem kard. Wyszyńskiego konieczne ze względu na niedomówienia i wątpliwości, jakie pojawiły się wśród niektórych biskupów. Członkowie Rady zgodzili się, że mimo pochodzących z różnych środowisk krytycznych opinii na temat spotkania prymasa z Gierkiem Episkopat wbrew oskarżeniom utrzymał swoją linię, troszcząc się o podmiotowość społeczną i wolność religijną Polaków.

ZGODA NA PIELGRZYMKĘ

Prymas uważając, że pierwsza rozmowa przyniosła pozytywny efekt, uznał, iż w 1978 r. powinien się spotkać z Gierkiem po raz kolejny. W tej sprawie wysyłał władzom jednoznaczne sygnały, m.in. przy pomocy Romualda Kukułowicza mającego stały kontakt z Kąkolem. Doradca kard. Wyszyńskiego podkreślił, że zgodnie z wiedzą przekazaną mu przez szefa Urzędu ds. Wyznań koła moskiewskie pozytywnie oceniają koncepcję spotkań, gdyż „Kościół reprezentuje czynniki stabilizacyjne”. Mimo dobrej woli prymasa i chęci spotkania do kolejnej rozmowy na szczycie doszło dopiero w styczniu 1979 r. Miała ona fundamentalne znaczenie. Ostatecznie w wyniku negocjacji prowadzonych przez bp. Dąbrowskiego i przedstawicieli władz ustalono, że rozmowa odbędzie się 24 stycznia 1979 r. Jej tematy sekretarz Episkopatu ustalił z Kanią 12 stycznia – zaplanowano, że spotkanie będzie dotyczyć sytuacji w Polsce i negocjacji wokół papieskiej pielgrzymki do Polski.

Prymas plan spotkania konsultował z bp. Dąbrowskim i ks. Orszulikiem. Pieczętowanie przygotowany plan składał się z kilku głównych działów. Niewątpliwie główną rolę odgrywały negocjacje dotyczące wizyty Jana Pawła II w oj-

czyźnie, ale ważne były też liczne uwagi generalne dotyczące sytuacji społeczno-politycznej i sposobu funkcjonowania PZPR. Inne ważne tematy, które poruszył prymas, to ocena wyjątkowej sytuacji Polski, dowartościowanie społeczeństwa i jego większy wpływ na poczynania władz, skuteczne działanie na rzecz rodziny i ściśle z tym związana moralność społeczna, zwiększenie dostępu Kościoła do środków przekazu społecznego oraz możliwości poszerzenia jego społecznej aktywności.

W czasie spotkania Gierek oświadczył, że Ojciec Święty ma prawo przybyć do kraju, co oznaczało zgodę władz PRL na pielgrzymkę (której wyrażenia wcześniej odmawiano mimo nacisków Kościoła). Prymas wizytę Ojca Świętego wpisał w ogólną sytuację Kościoła w realiach PRL, zwracając uwagę na wiele problemów we wzajemnych relacjach. Stwierdził: „Nad sprawą wizyty Ojca św. potoczyła się dłuższa rozmowa. Pan Gierek miał cały wywód napisany, wracał do hasła, do sporu biskupa z królem i wykluczył możliwość przyjazdu papieża na uroczystości krakowskie”. Kardynał podkreślił, że I sekretarz PZPR w ogóle nie chciał wziąć pod uwagę jego racji i sugerował odłożenie przyjazdu papieża do czasu obchodów maryjnych w 1982 r. Prymas nie zaakceptował jego argumentów i zaproponował powołanie komisji kościelno-rządowej, by ustaliła termin pielgrzymki. Pierwszy sekretarz na to przystał, tym samym zgadzając się na wizytę Ojca Świętego już w 1979 r. Zgodnie z wolą rozmówców na czele Komisji Mieszanej stanęli bp Dąbrowski i Kania. Warto dodać, że instrukcje do negocjacji prowadzonych w ramach tej struktury sekretarz Episkopatu otrzymywał bezpośrednio od kard. Wyszyńskiego. Choć w trakcie spotkania zdecydowano o przyjeździe do ojczyzny Jana Pawła II (szczególnie o powołaniu zespołu organizacyjnego), to nie wszystkie warunki zostały uzgodnione – przede wszystkim nie ustalono terminu. Pertraktacje toczyły się jeszcze przez kilka miesięcy i wiele razy dyskutowano o nich w łonie Episkopatu. Należy dodać, że na bieżąco konsultowano je z papieżem – to właśnie on był ostateczną instancją, jeśli chodzi o kwestie generalne.

Kolejna rozmowa na szczycie miała zdecydowanie bardziej konfrontacyjny charakter niż spotkanie z października 1977 r. Wynikało to głównie z oskarżeń

Kania prosił prymasa o pilne spotkanie z Gierkiem.

Przestrzegął, że sytuację w kraju interesują się „ościenni”

prymasa, który wskazał, że PZPR żyje na koszt narodu, a notable partyjni wykorzystują swoją pozycję, by dokonywać malwersacji finansowych. Bezpośrednio po spotkaniu prymas zanotował: „O ile pierwsza rozmowa z p. G[ierkiem] w 1977 r. była przyjemna, ta była trudna, gdyż w ogromnej tematyce p. G[ierek] uważał, że jest lepiej poinformowany, i podkreślał to z uporem. Uważa, że zna dobrze naród. Wprawdzie tematyka moja, pełna problemów, nie była przyjemna dla p. G[ierka] – głównie dotycząca PZPR i jej totalistycznej zachłanności – ale starałem się zachować spokój i nie doprowadzać do napięć. Zdaje się, że mi się to udało. Pod koniec rozmowy p. G[ierek] się opanował i przeproszał za swoje wybuchy”. Choć rozmowa nie była przyjemna, to kard. Wyszyński ocenił ją pozytywnie, a jej zakończenie skomentował tak: „Rozstaliśmy się dobrze, chociaż nie bez wrażenia, że to była próba sił”. Dzień później bp Dąbrowski poinformował, że przekazano mu, iż władze partyjne są zadowolone ze spotkania, choć – jak usłyszał – „prymas nagadał [...] dużo – ale w trosce o naród, państwo, a nawet o partię”.

Komunikat ze spotkania przygotował bp Dąbrowski wspólnie z Kąkolem i Kanią. Wypracowywanie ostatecznej wersji nie przebiegało bezproblemowo i rozpoczęło się jeszcze przed rozmową. Prymas skomentował to dobitnie: „Jest to długa procedura. Ale widać, że nasi panowie, ostrzy w uderzeniu, miękną, gdy im się uświadomi sytuację gospodarczą, w jaką wprowadzili naród. Ich oskarżycielem była zima, która zaskoczyła rząd i partię”. Spotkanie to było dla kard. Wyszyńskiego bardzo istotne, gdyż kilkakrotnie do niego wracał. Szczegółowo omówił je m.in. na posiedzeniu Rady Głównej 26 sierpnia 1980 r., w zupełnie innych okolicznościach politycznych.

OSTATNIE SPOTKANIE

Latem 1980 r. wybuchły masowe strajki. Kościół zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Prymas kilkakrotnie od

spotkania z Gierkiem w styczniu 1979 r. wskazywał władzom, jak negatywne konsekwencje może mieć kryzys ekonomiczny. W czasie protestów prymas zajął postawę ostrożną i wyważoną. Popierał główny postulat strajkujących – utworzenia niezależnych związków zawodowych, a równocześnie wzywał do zachowania spokoju, obawiając się wkroczenia wojsk sowieckich. 25 sierpnia do siedziby arcybiskupów warszawskich przy ul. Miodowej przybył Kania, który prosił kard. Wyszyńskiego o wyrażenie zgody na pilne spotkanie z Gierkiem. Przestrzegął, że sytuację w kraju interesują się „ościenni”, i dawał do zrozumienia, iż może dojść do interwencji. Prymas mimo pewnych wahań zgodził się na rozmowę z I sekretarzem KC PZPR. Jak zauważył ks. Orszulik, „Pan Kania, przerażony sytuacją w kraju i psychicznie napięty, błagał o to, by ks. prymas jeszcze tego wieczora spotkał się z p. Gierkiem”.

Do spotkania doszło wieczorem 25 sierpnia. Gierek i kardynał dyskutowali przede wszystkim o niezależnych związkach zawodowych. Przywódca partyjny, podobnie jak Kania, wskazał na zaniepokojenie Kominternu (czyli Związku Sowieckiego) oraz sąsiadów z bloku, a położenie ekonomiczne uznał za tragiczne. Mimo takich uwag swojego rozmówcy prymas jednoznacznie poparł najważniejsze żądanie protestujących: „Ruch robotniczy wyrósł ze strajków i naraz rząd robotniczy występuje przeciwko strajkującym – to jest anomalia, Kościół strajki popiera, bo strajk moralnie jest dopuszczalny”. W dzienniku odnotował: „Pan E[dward] G[ierek] zdecydowanie w obronie monopolu związkowego, ja za samorządnymi związkami. Dążyłem do tego, żeby przewyciężyć u E[dwarda] G[ierka] silną depresję, »która mogłaby się zakończyć tragicznie«”. Kardynał nakłaniał też I sekretarza, by spotkał się ze stoczniovcami, gdyż „byłoby to satysfakcją dla strajkujących i przyczyniłoby się do złagodzenia napięć”, oraz wzywał, by znieść cenzurę i lepiej informować społeczeństwo o przebiegu wydarzeń. Gierek wskazał, że wyjazd do protestujących nie jest możliwy, a sprawami radia i telewizji zajmie się w stosownym czasie. Na koniec prymas przypomniał mu rozmowę ze stycznia 1979 r., podkreślił dystans społeczeństwa do partii oraz stwierdził: „Musicie się nawrócić [...] i muszą dygnitarze partyjni przestać okradać państwo, by żyć ponad stan”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koszmar
Palmir

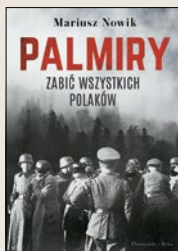
Było to jeszcze przed Bożym Narodzeniem, przed pierwszymi świętami po wybuchu wojny. Ludzie z Łomnej opowiadali, że widzieli we wsi niemiecką kolumnę. Na przedzie motocykl z koszem i ustawionym do strzału karabinem. Warczał tak głośno, że mimo strachu podchodzili do okien i patrzyli, jak za podskakującym na nierównościach motorem wjeżdża do wsi limuzyna wypełniona Niemcami. To mogli być esesmani, panował mrok, więc trudno stwierdzić bezsprzecznie. Próbowali liczyć samochody, zapamiętać jak najwięcej z tego, co widzą, ale i tak potem w rozmowach z sąsiadami nie mogli ustalić, czy ciężarówka była jedna, czy było ich trzy, pięć, czy może więcej”.

To fragment książki „Palmiry. Zabić wszystkich Polaków” Mariusza Nowika. Autor wskazuje, że zbrodnia palmirska odbyła się niemal na oczach mieszkańców okolicznych wiosek. Niemieckie modus operandi było następujące: w dniu egzekucji gestapo formowało transport skazanych na śmierć z więzień na Pawiaku, przy Rakowieckiej, Daniłowiczowskiej i al. Szucha. Transport taki – pod silną eskortą SS – wyruszał na północ pod osłoną nocy.

Oprawcy krępowali dłonie ofiar i zasłaniali im twarze kawałkami materiału. Chodziło o to, żeby dodatkowo je przerazić, sparaliżować choćby najdrobniejszą myśl o ucieczce. Konwój kierował się do Palmir na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej. Tam ofiary były wyładowywane i metodycznie rozstrzeliwane. Do uszu mieszkańców dochodziły kolejne serie z broni maszynowej. W ten sposób Niemcy w Palmirach między zimą 1939 r. a latem 1941 r. zgładzili ok. 2 tys. osób. W sporej części przedstawiciele polskiej inteligencji, członków podziemia.

„Palmiry. Zabić wszystkich Polaków” to napisany z werwą reportaż historyczny. Mariusz Nowik ukazuje nam tragedię palmirską z wielu perspektyw. Okolicznych mieszkańców, więźniów Pawiaka, więziennej strażniczki, ale również palmirskiego leśniczego, który po odejściu Niemców wbił łuski w pnie drzew. Robił to po to, aby po wojnie można było odnaleźć miejsca egzekucji i dokonać ekshumacji ofiar.

Mariusz Nowik napisał bardzo ważną, poruszającą książkę. Przypominał o zbrodni, która – mam wrażenie – została nieco zapomniana. ©©



★★★★★
MARIUSZ NOWIK
„PALMIRY. ZABIĆ WSZYSTKICH POLAKÓW”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Madziar
na Wawelu

Teoretycznie Stefan Batory nie powinien mieć szans na objęcie władzy w Rzeczypospolitej. Książę Siedmiogrodu był lennikiem Turcji, nie pochodził z żadnej europejskiej dynastii i nie był spokrewniony z Jagiellonami. Nie mógł się zatem równać z najważniejszym kandydatem, cesarzem Maksymilianem Habsburgiem. Polityka bywa jednak nieprzewidywalna i gdy doszło do podwójnej elekcji, to Batory okazał się bardziej zdeterminowanym kandydatem. Błyskawicznie zaprzysiął pacta conventa, zgodził się na poślubienie 52-letniej Anny Jagiellonki i przekroczył polską granicę owacyjnie witany w Krakowie przez swoich zwolenników. 1 maja 1576 r. poślubił Annę i został wraz z nią koronowany na Wawelu, podczas gdy cesarz nie zdążył nawet podpisać jeszcze swoich zobowiązań.

Batory zawsze postępował po męsku i zdecydowanie. Władzę nad Siedmiogrodem przekazał bratu, wypełnił też zobowiązania małżeńskie wobec starszej o 12 lat żony. Siostra Zygmunta Augusta była ostatnim przedstawicielem dynastii Jagiellonów w kraju i już wcześniej okrzyknięto ją królową Polski. Batory natomiast miał być władcą iure uxoris, czyli panować z tytułu bycia jej mężem. Zapewne jednak uznał, że korona polska warta była pewnej dozy poświęcenia, i zaraz po ślubie faktycznie

spędził trzy noce z żoną. Wywarło to wielkie wrażenie na Jagiellonce, która pozostając w stanie panieńskim, nie miała dotychczas podobnych doświadczeń. „Widzę, jako chłopą dopadła – relacjonował kasztelan miński, Jan Hlebowicz – gębę nosi wysoko i hardo, ale widzę po samym [Batorym], że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop i, by nie trwoga, widzi mi się, że sobą nie dał tak bardzo rządzić”.

Noce spędzone z małżonką musiały też zrobić duże wrażenie na królu, gdyż od tej pory unikał takich sytuacji jak ognia i nawet barykadował się w swojej sypialni. Zresztą nigdy specjalnie nie był zainteresowany seksualną stroną życia, a polityka i wojna całkowicie go pochłaniały. Przed przybyciem do Polski „dwie rzeczy niepokoiły go najbardziej – małżeństwo z królową już dosyć w wiek podeszłą i pospolite ruszenie”. Na pierwszy ogień posłała żona, którą odsunął od snucia intryg. Anna przeniosła się w tej sytuacji do Warszawy, natomiast król najczęściej rezydował w Grodnie, skąd było bliżej do zagrożonych granic państwa na wschodzie i północy. Gdy jednak jego zwolennicy zaproponowali mu unieważnienie małżeństwa, tak by mógł ponownie się ożenić i mieć potomstwo, kategorycznie odmówił. Węgier dobrze pamiętał, do czego się zobowiązał... ©©

WYMAGANY BRAK SZCZEPIEŃ

Kiedy wszyscy obawiają się wprowadzenia szczepionkowych paszportów, wolny rynek pokazuje, że zmuszać ludzi można też do... braku szczepień. „The New York Times” ujawnił sprawę współwłaścicielki amerykańskiej prywatnej szkoły Center Academy. Pani z Miami uzależniła przyjmowanie nauczycieli do pracy od „nieprzyjęcia szczepionki na COVID-19”. W liście rozesłanym do pracowników przekonywała, że osoby zaszczepione mogą wpływać na niezaszczepione i przebywając blisko nich, mogą w jakiś sposób przekazywać im dalej szczepionkę.

PREMIER Z MANDATEM

Biuro premiera Tajlandii opublikowało w mediach społecznościowych fotografie z narady szefa rządu z ekspertami, która odbywała się w stolicy tego kraju. Politycy uwielbiają wrzucać fotki z „bardzo ważnych narad”. Ta się nie opłaciła. Generał Prayuth Chan-ocha jako jedyny siedział na naradzie bez maseczki na twarzy. W związku z tym doniesienie na policję

złożył na niego gubernator Bangkoku. Premier został ukarany przez policję mandatem w kwocie 6 tys. bathów (ponad 700 zł). Karę przyjął.

BOBRY ODCIĘŁY INTERNET

Mieszkańcy Tumbler Ridge w Kanadzie (prowincja Kolumbia Brytyjska) przez bobry stracili dostęp do Internetu. Zwierzęta budujące tamę nad strumieniem, pod którym przeprowadzono światłowód, przegryzły kabel sieci teleinformatycznej.

GOŁĄB UZNANY ZA SZPIEGA

Jak poinformowała indyjska agencja prasowa PTI, tamtejsza straż graniczna przechwyciła gołębia, który przeleciał przez granicę z Pakistanem. Ptak miał na nodze kawałek papieru z cyframi. Strażnicy zażądali od policji zarejestrowania sprawy kryminalnej przeciw... gołębiowi. Uznali, że ptak mógł transportować zakodowaną szpiegowską wiadomość. Nie wiadomo, co na to sam gołąb, ale – skoro jest ptakiem – to może przecież mieć najlepszą papugę w sądzie. ©© **Łukasz Zboralski**

UNIJNA PŁEĆ X

Unia Europejska postanowiła wprowadzić nowość w rozpoznawaniu tożsamości. Zgodnie z nowym rozporządzeniem od 2 sierpnia dowody osobiste krajów członkowskich mają stać się do siebie bardziej podobne. UE chce też, by – jeśli kraj decyduje się na oznaczanie płci w dokumencie – wprowadzić tam dodatkowe oznakowanie. Oprócz oznaczania M – mężczyzny, F – kobiety, ma też być możliwość dostawienia trzeciego znaku – X. Nie wiadomo, co ma oznaczać X, ale tak ma być lepiej. Polski rząd już zapowiedział, że nad Wisłą żadnego X stawiać się w dokumentach nie będzie, a aktywiści zapowiedzieli walki w sądach o wpisanie sobie X w dowódzie. Lato na froncie ideologicznym szykuje się gorące.

FOT. JACOB STOK

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Biden szuka pieniędzy



JACEK PRZYBYLSKI

Jak przystało na lewicowego polityka, prezydent USA coraz intensywniej szuka pieniędzy kieszonki swych zamożniejszych rodaków. Musi bowiem szybko odpowiedzieć na pytanie, kogo by tu jeszcze oskubać z pieniędzy, aby móc kupować głosy wszystkich tych, którym nie chce się pracować i którzy liczą na to, że to państwo będzie ich utrzymywać, spłacać za nich kredyty studenckie etc.

Po zapowiedzianej podwyżce stawki CIT prezydent bierze się za najbogatszych. Lewica w USA chce przywrócić najwyższą stawkę PIT w wysokości aż 39,6 proc. Z kolei stawka podatku od zysków kapi-

tałowych przekraczających milion dolarów ma – według medialnych, niepotwierdzonych informacji – wzrosnąć niemal dwukrotnie, co oznacza, że w niektórych stanach najwięksi inwestorzy będą musieli płacić 52,2 proc. podatku (w stanie Nowy Jork) lub nawet niemal 57 proc. w Kalifornii. Jeżeli tak się rzeczywiście stanie, to Biden strzeli Wall Street w stopę i mocno utrudni indeksom giełdowym dalszy marsz na północ.

Lechociaż w Kongresie apetyty lewicy mogą zostać ostudzone przez konieczność znalezienia kompromisu z republikanami (według Goldman Sachs stawka

podatku wzrośnie do 28 proc.), to i tak inwestorzy z Wall Street z przerażeniem przyglądają się planom Bidena. Jednocześnie z dojeniem najbogatszych administracja USA nie zwalnia bowiem z szykowaniem gigantycznych wydatków, które spłacać będą wnuki obecnych Amerykanów. Nie chodzi tylko o inwestycje w infrastrukturę, lecz także o zwykłe rozdawnictwo, które doprowadzi do pogłębienia rekordowego zadłużenia Ameryki. Chińczycy i Rosjanie coraz mniej chętnie inwestują jednak w amerykański dług. Najbliższa fala podwyżek podatków dla Amerykanów może więc nie być ostatnia. ©©



Witold Repetowicz

Prezydent USA Joe Biden zapowiedział, że do 11 września żołnierze amerykańscy opuszczą Afganistan. Razem z nimi zrobią to siły sojusznicze. W ten sposób skończy się najdłuższa współczesna wojna. Była to również nasza wojna, w której zginęło 44 polskich żołnierzy, a kilkuset zostało rannych

Gdy na ostatniej redukcje wroga powiewa flaga zdobywcy, nie ma wątpliwości, kto jest zwycięzcą. Ale nie zawsze jest to takie proste.

W Afganistanie talibowie zostali rozgromieni w ciągu dwóch miesięcy. Stało się to niemal 20 lat temu. Ostatni ich bastion, miasto Kandahar, poddał się na początku grudnia 2001 r. I tu można by było postawić kropkę. Zwycięstwo. Ale niezupełnie. Amerykanie i sojusznicze siły NATO zostały tam, by całkowicie unicestwić talibów i Al-Kaidę, którzy przyczaili się i przeszli do walki partyzanckiej. Osama bin Laden został zabity 10 lat później, w maju 2011 r., i to nie w Afganistanie, ale na terenie sąsiedniego Pakistanu. Mułły Omara, czyli jednoosobowego, charyzmatycznego lidera duchowego talibów, Amerykanie nigdy nie dopadli. Zmarł w 2013 r. z przyczyn naturalnych. Od tego czasu minęło kolejnych osiem lat wojny. I już nie było żadnych spektakularnych zwycięstw. Bo ile razy można zwyciężać w jednej wojnie?

Joe Biden, ogłaszając plan wycofania się z Afganistanu, podkreślił, że celem tej wojny było pokonanie terrorystów, którzy dokonali największego ataku na USA od czasu Pearl Harbor, czyli uderzenia na World Trade Center. Zginęło wówczas prawie 3 tys. osób. Warto też pamiętać, że udział sojuszników w tej wojnie, w tym Polski, wynikał z art. 5 traktatu NATO zobowiązującego wszystkich członków paktu do udzielenia wsparcia krajowi, który został zaatakowany. Tyle że 20-letnia obecność USA (i sojuszników) w tym kraju, która kosztowała życie 2 tys. amerykańskich żołnierzy oraz 100 tys. Afgańczyków, nie była jedynie odpowiedzią na atak Al-Kaidy w Nowym Jorku. Ameryka-



FOT. ANDREW HARRIS/POOL/CORBIS OUTLINE

Koniec również naszej wojny

nie postanowili bowiem stworzyć nowy, wolny Afganistan. I tu nie ma najmniejszej wątpliwości, że ponieśli całkowitą klęskę.

Z MOTYKĄ NA SŁOŃCE

Z pewnością Afganistan zmienił się po upadku talibów, gdyż ich rządy oparte były na absurdalnych zasadach religijnych niewiele różniących się od tych, które w 2014 r. próbowało wprowadzać Państwo Islamskie w Syrii i Iraku. Różnica między ISIS a talibami była jednak taka, że o ile „kalifat” sam wyłączył się z systemu międzynarodowego, o tyle talibowie chcieli w nim funkcjonować jako państwo utrzymujące stosunki dyplomatyczne z innymi krajami. Ostatecznie zostali uznani jedynie przez Pakistan, Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie, ale USA przez jakiś czas poważnie rozważały nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ich rządem w Afganistanie. Istniał również projekt budowy przez Amerykanów ropociągu z Turkmenistanu przez Afganistan do Pakistanu i Indii, dzięki któremu talibowie zarabialiby na tranzycie, a USA osłabiłyby za jednym zamachem Rosję oraz Iran i zyskałyby wpływy w Azji Centralnej.

Niemniej Afganistan nie zmienił się na tyle, by można było mówić choćby o namiastce „wolnego Afganistanu”. Prawa kobiet, demokracja czy wolność słowa są gwarantowane na papierze i to tylko, jeśli nie naruszają zasad islamu. Tak zwane zabójstwa honorowe są powszechne i co roku z rąk rodziny ginie kilkaset kobiet. Z wyjątkiem garstki elit intelektualnych kobiety nie odgrywają żadnej roli społecznej poza swoją rodziną, będąc całkowicie podporządkowanymi mężczyznom. Wszelkie interakcje z obcym mężczyzną mogą spowodować agresję. Przy tych wszystkich surowych zasadach obyczajowych tolerowana jest jednak praktyka baczczebazi, czyli pedofilskie zabawy z młodymi chłopcami z ubogich wiejskich rodzin, których, w celu uniknięcia skojarzeń z surowo zakazanim homoseksualizmem, przebiera się za dziewczynki. W 2015 r. ujawniono przy tym instrukcję, jaką otrzymali amerykańscy żołnierze, by przynymać oczy na te praktyki, jeśli będą w nich brali udział członkowie sojuszniczych formacji afgańskich.

Instytucje demokratyczne to kolejna fikcja. W ostatnich wyborach prezydenckich



afgańskiego parlamentu otwarcie wzywali do zabijania osób przechodzących z islamu na inną religię.

Amerykanie sami przyczynili się do takiego stanu, a ich plan budowy nowej rzeczywistości był porwaniem się z motyką na słońce. Afganistan jako samodzielny byt powstał dopiero na początku XVIII w., wcześniej będąc częścią środkowoazjatyckich imperiów oraz polem rywalizacji między Persją a muzułmańskimi władcami Indii. W XIX w. kraj ten stał się przedmiotem wielkiej gry, czyli walki o wpływy między Rosją a Wielką Brytanią, czemu towarzyszyły nieustanne walki wewnętrzne. Próba modernizacji Afganistanu w latach 60. i 70. XX w. rozbiła się z kolei o zimnowojenną konfrontację między USA i ZSRS. Po interwencji sowieckiej w 1979 r. Amerykanie pomogli Rosjanom połamać sobie zęby w Afganistanie, wspierając walczących z nimi mudżahedinów. Tyle że w ten sposób wyhodowali sobie żmiję, która po porażce Sowietów zaczęła kasać swoje go twórcę. Charakterystyczne jest przy tym to, że USA w czasie walk z sowiecką okupacją woleli wspierać pasztuńskich dżihadystów, w tym przyszłych talibów i członków Al-Kaidy, a nie legendarnego tadżyckiego wodza Ahmada Szaha Masuda. Zwany Lwem z Pandższiru Masud był później ostatnim bastionem oporu przeciwko talibom i jedyną osobą z charyzmą oraz wizją, która mogła zbudować nowy Afganistan. Tyle że dwa dni przed atakiem na WTC został zamordowany.

Był jeszcze jeden powód przedłużającej się wojny w Afganistanie. W ten sposób Amerykanie mogli szachować Iran od wschodu oraz uzyskiwali wpływ w środkowoazjatyckiej przestrzeni postsowieckiej. Tylko że z tej perspektywy również ponieśli klęskę. Od czasu, gdy ostatnie sowieckie oddziały gen. Gromowa z podkulonym ogonem opuszczały Afganistan w lutym 1989 r., percepcja Rosji w Afganistanie uległa radykalnej zmianie na korzyść Moskwy. Dzisiaj Rosjanie postrzegani są tam znacznie lepiej niż Amerykanie, którzy w ciągu ostatnich dekad władowali biliardy dolarów w tę wojnę. Ponadto Rosjanie, choć zawzięcie krytykują amerykańską obecność w Afganistanie, są jej beneficjentami. Środkowa Azja uznawana jest za „miękkie podbrzusze” Rosji, bo narody postsowieckich republik są też częścią demografii Afganistanu oraz stanowią lwią część gasterbeiterów w Moskwie

czy Petersburgu. Islamski ekstremizm może bardzo szybko przelać się z Kabulu do serca Rosji. Również Iran skorzystał na tej wojnie. Sunniccy talibowie stano- wili zagrożenie dla Teheranu, a w 1998 r. zamordowali 11 dyplomatów irańskich w Mazar-i Szarif. Tymczasem niedawno delegacja talibów odwiedziła Teheran.

POWRÓT TALIBÓW

Chociaż Stany Zjednoczone próbują organizować negocjacje w sprawie podziału władzy w Afganistanie, to zapewne nic z tego nie wyjdzie i talibowie zajmą cały kraj po wycofaniu się Amerykanów i sojuszników. Z punktu widzenia USA ważniejsze jest jednak to, by dotrzymali zobowiązania zawartego w porozumieniu zawartym w Dosze w lutym 2020 r., że Afganistan nie stanie się ponownie bazą terrorystów spiskujących przeciwko USA i ich sojusznikom. Ale talibowie już oskarżają USA o złamanie tego porozumienia, bo według niego wszystkie siły miały zostać wycofane do maja. Od lutego ub.r. talibowie nie atakują już Amerykanów, którzy z kolei ograniczają się do szkolenia sił rządowych. Tyle że w odpowiedzi na zapowiedź Bidena, że wycofanie nastąpi do września, a nie do maja, zapowiedzieli „reakcję mudżahedinów”.

Z perspektywy Polski kwestia bilansu wojny w Afganistanie wygląda inaczej, gdyż inne były powody naszej obecności w tym kraju oraz cele. Przede wszystkim realizowaliśmy nasze zobowiązanie so- jusznicze wobec USA i w tym kontekście wzmocniło to relacje polsko-amerykań- skie. Wojna w Afganistanie, podobnie jak w Iraku, zadziałała też stymulująco na modernizację polskiej armii i spowodowa- ła nabycie doświadczenia bojowego. Ostatni polski żołnierz zginął w Afgani- stanie we wrześniu 2014 r., a od 2015 r. misja Polskiego Kontyngentu Wojskowe- go zmieniła swój charakter z bojowego na doradczo-szkoleniowy. W lutym obec- nego roku do bazy w Ghazni wyleciało ok. 400 żołnierzy 10. Brygady Kawalerii Pancernej ze Świętoszowa. To 13. zmia- na w ramach misji „Resolute Support” i 38. od początku wojny. Prawdopodob- nie też ostatnia. Ale dla żołnierzy afgań- skich szkolonych obecnie przez naszych pancerniaków w nowym Afganistanie talibów może nie być miejsca. W tym sensie misja ta będzie porażką, a szkole- ni żołnierze mogą jeszcze trafić do Polski jako uchodźcy.

udział wzięło raptem 18 proc. upraw- nionych do głosowania, a zakres władzy centralnej jest ograniczony nie tylko tym, że pół kraju znajduje się pod faktyczną kontrolą talibów, ale również tym, że druga połowa jest w rękach różnych lokalnych bonzów. Jest to także pokłosie etnicznej niespójności Afganistanu, w którym panuje ostra rywalizacja między stanowiącymi niemal połowę mieszkańców Pasztunami a zamieszkującymi północ Tadżikami, Uzbekami, a także szyickimi Hazarami. Towarzyszą temu wieczne spory o wyniki wyborów prezydenckich, w tym oskar- żenia o fałszerstwa, które zresztą nie są bezpodstawne. Trudno też mówić w Afga- nistanie o wolności religijnej. W 2006 r. głośna była sprawa Abdula Rahmana, który przeszedł na chrześcijaństwo i został za to skazany na śmierć. Międzynarodo- we oburzenie i presja spowodowały, że wyroku nie wykonano, a Rahman opuścił Afganistan i dostał azyl we Włoszech. W 2010 r. inny Afgańczyk trafił do więzie- nia tylko za to, że dał znajomemu Nowy Testament. Po kilku miesiącach został wypuszczony, ale również musiał wyjechać za granicę. Podobnych incydentów było znacznie więcej, a niektórzy deputowani



Piotr Włoczyk

Nagłe zrywanie kontraktów, uniemożliwianie organizacji zbiorów w mediach społecznościowych, problemy ze znalezieniem chętnych do pracy na planie – z tym wszystkim musieli się zmierzyć twórcy filmu „Wyrok na niewinnych”, który miał właśnie swoją polską premierę

Producenci filmu musieli zdawać sobie sprawę, że jego realizacja nie będzie należała do łatwych, skoro dotyczą tak wybuchowego tematu – sprawy sądowej Roe v. Wade z 1973 r., w wyniku której zalegalizowano w USA aborcję. Nikt nie mógł jednak podejrzewać, że problemów po drodze będzie tyle, iż trzeba będzie ukrywać cały projekt pod kryptonimem.

Skalę trudności związanych z kręceniem filmu o Roe v. Wade przedstawił magazyn „The Hollywood Reporter”. Nick Loeb i Cathy Allyn, producenci i współreżyserzy filmu, musieli się zmierzyć nie tylko z ogromną niechęcią środowiska aktorskiego do występowania w pro-liferskich produkcjach. Na szczęście dla nich trzy najbardziej znane twarze – Jon Voight (grający sędziego Warren’a Burgera), Robert Davi (sędzia William J. Brennan Jr.) oraz Stacey Dash (Mildred Jefferson – współzałożycielka i szefowa National Right to Life Committee) – to aktorzy znani ze swoich konserwatywnych poglądów, którzy nie boją się presji środowiskowej.

„Obsada aktorska była problemem przez cały okres kręcenia filmu. Niektórzy aktorzy odchodzili, kiedy docierało do nich, że film jest pro-liferski” – donosił „The Hollywood Reporter”. Problem z ekipą dotyczył nawet stanowisk czysto technicznych, takich jak elektryk.

Kłopoty nie ominęły też zbiórki funduszy na realizację „Wyroku na niewinnych” – Facebook nie pozwalał na promowanie w swoim serwisie informacji o takiej zrzutce.

Bodaj najtrudniej było jednak ze znalezieniem odpowiednich planów zdjęciowych. Gdy na jaw wychodziło w końcu, co jest prawdziwym tematem filmu, umowy



Wyrok na

nagle lądowały w koszach. Tak było choćby z kontraktem na kręcenie filmu na terenie Louisiana State University. „Powiedziano nam, że zostaliśmy wyrzuceni z uwagi na treść, choć film miał być przecież potem odpowiednio oznaczony. Odmówili nam podania powodu na piśmie, ale przez telefon powiedzieli, że chodziło właśnie o treść” – tłumaczył w rozmowie z „The Hollywood Reporter” Nick Loeb.

Podobne problemy spotkały twórców „Wyroku na niewinnych” na terenie Tulane University w Nowym Orleanie. Obie uczelnie wyjaśniły później, że nie chodziło o temat, a jedynie o kwestie „logistyczne”.

W Waszyngtonie z kolei właściciel jednego z budynków, w którym Loeb kręcił zdjęcia, nie owijał w bawełnę. Gdy tylko się dowiedział, jaki przekaz będzie miał film, napisał do niego e-mail z jednoznacznym komunikatem: „Jestem aktywistą proaborcyjnym i feministycznym. Nie będę brał udziału w tak potwornej propagandzie”.

KŁAMSTWO NA KŁAMSTWIE

Mimo tych problemów „Wyrok na niewinnych” powstał i w zeszłym miesiącu

miał swoją premierę w USA i w Polsce (nasz kraj był pierwszym zagranicznym rynkiem dla tej produkcji). Czy jednak wracanie po niemal 50 latach do tamtej sprawy sądowej to faktycznie coś, co potrzebne jest dziś amerykańskiemu ruchowi pro-life?

– Warto wrócić do 1973 r. i opowiedzieć prawdziwą historię Roe v. Wade. Bardzo niewiele osób zna rzeczywiste okoliczności tej batalii sądowej – mówi „Do Rzeczy” Carol Tobiasz, przewodnicząca Narodowego Komitetu Prawa do Życia (National Right to Life Committee), największej organizacji pro-life w USA. – Młoda, ciężarna kobieta została zmanipulowana wówczas przez aktywistów proaborcyjnych, by podważyć przepisy prawne zabraniające dokonywania aborcji. Do dziś powszechnie uważa się, że Jane Roe zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Tymczasem Norma McCorvey, która skrywała się za pseudonimem Jane Roe, po wielu latach przyznała, że to nie była prawda.

„Wyrok na niewinnych” przypomina, jakimi kłamstwami i manipulacjami posłużyła się amerykańska lewica, by zalegalizować poprzez Sąd Najwyższy



FOU QUIVER DISTRIBUTION

aborcję na terenie całego kraju. Poza kłamstwem o rzekomym gwałcie na powódce ekipa skupiona wokół Lawrence'a Ladera, jednego z założycieli proaborcyjnej organizacji NARAL (National Association for the Repeal of Abortion Laws), kolportowała w mediach szokującą brzmiące statystyki, które miały wstrząsnąć sumieniami Amerykanów (a przede wszystkim sędziów Sądu Najwyższego).

Kluczowym hasłem w tej kampanii było „10 tysięcy ofiar nielegalnych aborcji” – tyle kobiet miało według aktywistów feministycznych ginąć każdego roku w wyniku tragicznych warunków panujących w podziemiu aborcyjnych. Liczba ta okazała się być wzięta „z sufitu”, ale największe amerykańskie media bezkrytycznie ją powtarzały. Tak samo było z opiniami ekspertów na temat początku ludzkiego życia. Media powtarzały tylko te opinie, które dawały spory margines na przeprowadzenie aborcji. To właśnie wtedy zaczęło się przekonywanie widzów i czytelników, że człowiek jest człowiekiem dopiero od momentu, gdy jest w stanie samodzielnie przeżyć poza organizmem matki.

– Ludzie, którzy chcieli zalegalizować aborcję, zorganizowali doskonale opłaconą PR-ową kampanię bazującą na kłamstwach oraz manipulacjach. Udało im się w ten sposób przekonać Sąd Najwyższy do stworzenia ogólnonarodowego prawa, które wywracało prawa stanowe chroniące życie nienarodzonych – mówi „Do Rzeczy” Carol Tobiasz.

Głównym bohaterem filmu jest dr Bernard Nathanson, nowojorski aborcjonista, który wraz z Laderem współzałożył NARAL. Nathanson szacował, że w ciągu ponad 30 lat swojej pracy w klinikach aborcyjnych dokonał ponad 60 tys. takich „zabiegów”. Legalizacja aborcji oznaczała dla niego gigantyczne zyski. Nathanson był tylko jednym z wielu mężczyzn stojących za proaborcyjną kampanią z początku lat 70., dla których „prawa kobiet” sprowadzały się przede wszystkim do milionów na kontach. W rolę dr. Bernarda Nathansona wcielił się w „Wyroku na niewinnych” Nick Loeb – współreżyser filmu.

W połowie lat 70., już po decyzji w sprawie Roe v. Wade, Nathanson

nawrócił się i stworzył wstrząsający film „Niemy krzyk”. W swojej książce „Ręka Boga” Nathanson przyznał, że w najgorętszym okresie przed wydaniem tej kluczowej decyzji jego proaborcyjny zespół z NARAL kolportował po redakcjach „wątpliwe wyniki sondaży i badań opinii publicznej”.

DZIECI ZE SNÓW

Trudno się dziwić, że pokazane w „Wyroku na niewinnych” sceny, gdy Nathanson dokonuje aborcji, wywołują wściekłość liberalno-lewicowych komentatorów. Podobnie było z filmem „Nieplanowane”, gdy największe światowe media przekonywały, że dzieci abortowane pod koniec pierwszego trymestru ciąży absolutnie nie mają ludzkich kształtów.

„W jednej ze scen [»Wyroku na niewinnych« – przyp. red.] chicagowska policja robi najazd na nielegalną klinikę aborcyjną działającą w hotelu. Policjanci wynoszą stamtąd wiadra pełne martwych płodów – napisał Robert Daniels w „The Guardian”. – Kolejna scena pokazuje Nathansona dokonującego aborcji na własnej partnerce. Widzimy potem małe dziecko rozerwane na pięć części, leżące na tacy chirurgicznej. Nie tylko w tych scenach Loeb i Allyn nie wykazali się znuansowaniem i taktem”.

To, że szczątki dzieci trafiają potem do pojemników, to po prostu fakt. Dzisiaj są to profesjonalne pojemniki, a lata

temu były to zwykłe wiadra.

W szczątkach tych nietrudno dopatrzeć się rąk, nóg czy głów. Uwaga Daniela jest zaskakująca – szczera – takich rzeczy nie powinno się pokazywać ludziom, bo to „nietaktowne” i „nieznuansowane”.

Nick Loeb otwarcie przyznaje, że sam współodpowiada za śmierć dwojga swoich dzieci i m.in. dlatego postanowił

nakręcić film o sprawie sądowej, w wyniku której zgodnie z prawem zabito już w USA ok. 62 mln dzieci.

– Miałem dwie partnerki, które dokonały aborcji. Wywarło to na mnie ogromny wpływ. Im bardziej się starzeję, tym bardziej tego żałuję. Gdybym miał wtedy tę wiedzę, którą posiadam teraz, nie doszłoby do tego. Każdego roku śnię o moich dzieciach w takim wieku, w jakim byłyby teraz. Te sny zaczęły się wiele lat temu i jest to dla mnie bardzo ciężkie – przyznaje Loeb.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Państwo kontra frankowicze

Nie mam pewności, czy polskie państwo mogło coś uczynić w sprawie frankowiczów, ale wiem, że nie uczyniło niczego, a w najlepszym razie niewiele, mimo że to samo polskie państwo zawiodło obywateli w czasie narastania „problemu kredytów frankowych”; odpowiedzialne za przeciwdziałanie nadmiernemu ryzyku na rynku bankowym instytucje zbyt późno i zbyt mało stanowczo zareagowały na gigantyczną skalę udzielania frankowych kredytów hipotecznych.

Nie mam pewności, czy polskie państwo mogło coś uczynić w sprawie frankowiczów, ale wiem, że nie uczyniło niczego, a w najlepszym razie niewiele, mimo bimbaliona obietnic złożonych frankowiczom przez obecnych rządzących polityków przed wyborami w 2015 r. Czegoż to oni wtedy frankowiczom naobiecowali! A po wyborach Jarosław Kaczyński oznajmił frankowiczom krótko: „Myślę, że powinni wziąć sprawy we własne ręce i zacząć walczyć w sądach. Nie dlatego, żeby nie ufać prezydentowi czy rządowi, tylko dlatego, że prezydent i rząd są w sytuacji, która jest zdeterminowana w wielkiej mierze uwarunkowaniami ekonomicznymi”.

Nie mam pewności, czy polskie państwo mogło coś uczynić w sprawie frankowiczów, ale wiem, że nie uczyniło niczego, a w najlepszym razie niewiele, tymczasem są takie państwa, które potrafiły wziąć się z tym kłopotem za bary, np. Węgry i Chorwacja, mimo że w obu przypadkach był on

relatywnie jeszcze większy niż w przypadku Polski (w 2014 r. w Polsce wartość kredytów we franku udzielonych gospodarstwom domowym i firmom stanowiła równowartość 8,2 proc. PKB, zaś w Chorwacji – 8,8 proc. PKB, a na Węgrzech – 12,2 proc. PKB).

No i teraz, kiedy frankowicze rzeczywiście hurmem ruszyli do sądów, doprowadzając przy okazji do korzystnego dla siebie wyroku TSUE, pozostaje nam już tylko czekać na werdykt Sądu Najwyższego w tej sprawie. Pozostaje czekać na werdykt, który w najgorszym razie może doprowadzić do likwidacji niemałej części polskiej bankowości; jak ocenili analitycy Deloitte – w skrajnie niekorzystnym przypadku rozwiązanie „problemu kredytów frankowych” mogłoby bowiem kosztować obciążone nimi banki aż 234 mld zł, podczas gdy ich fundusze własne wynoszą... 200 mld zł.

A tymczasem politycy... Cóż, nie rozwiązawszy jednego problemu – frankowiczów, wzięli się za tworzenie następnego – złotówkowiczów. Swoją kuriozalną polityką monetarną, skutkującą faktycznie ujemnymi stopami procentowymi w bankach, wypychają z nich oszczędności Polaków m.in. na rynek nieruchomości, doprowadzając do powstania kolejnej bańki. A to – czyli niebezpiecznie wysokie ceny mieszkań plus kredyty hipoteczne w lwiej części udzielone według zmiennej stopy procentowej plus rozpędzająca się inflacja – gotowy scenariusz na kłopoty następnej, licznej grupy Polaków. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Niespodziewane korzyści z Banasia

Jest prawda czasu i prawda ekranu – jak powiedział sentencjonalnie Bogdan Zagajny, reżyser filmu „Ostatnia paróweczka hrabiego Barry Kenta” w niezapomnianym „Misiu”. Te dwie prawdy mogą się radykalnie różnić i taki właśnie proces zaszedł w przypadku Mariana Banasia.

Sięgnąłem wspomnieniem nie tak znów daleko, bo zaledwie niespełna dwa lata. Siedziałem wtedy w studiu telewizyjnym w Polsce z Romualdem

mówiłby pan Szeremietiew. Ja natomiast na pewno powiedziałbym, że paradoksalnie nominacja Banasia okazała się być może jedną z najlepszych w historii obecnej władzy, aczkolwiek całkiem przypadkiem. Miało być przecież inaczej i rola obecnego szefa NIK miała być najpewniej inna. Tymczasem wbrew tym planom stało się tak, że dostaliśmy szefa Najwyższej Izby Kontroli trwale chyba skonfliktowanego z obozem władzy. A skoro nasz system checks and balances ewidentnie przestał działać, to ta czysto personalna okoliczność niejako go zastępuje. Dobrze się dzieje, że Marian Banaś z władzą walczy, bo dzięki temu obywatele mogą mieć nadzieję, że raporty NIK nie są koloryzowane ani upiększane. W każdym razie nie tak, żeby zrobić rządzącym dobrze. A lepiej już, żeby były zbyt surowe, niż żeby ukrywały prawdę. To nie jest oczywiście sytuacja modelowa, ale jak się nie ma, co się lubi...

Zachodzę tylko w głowę, czy za każdym razem, gdy NIK przywoła jakiś kłopotliwy dla głównego ośrodka władzy wątek, taki jak wybory kopertowe, do mieszkania Banasia juniora będą pukać CBA lub inne trzy literki, a Banaś senior będzie grzmiał o bolszewizm w akcji. Trochę to wygląda jak w jakiejś bananowej republice, ale – jak rzekła klasyczka – taki mamy klimat. Cóż począć? ©©

Dobrze, że Marian Banaś z władzą walczy, bo dzięki temu obywatele mogą mieć nadzieję, że raporty NIK nie są upiększane

Szeremietiewem i dyskutowaliśmy o świeżej wówczas nominacji na szefa NIK, wokół której już unosił się nieprzyjemny aromat, ale PiS był jeszcze na etapie heroicznej obrony nowego szefa Izby. Mój zaś krytyczny do niej stosunek wielce oburzył byłego ministra obrony, który – bardzo rozsierdzony – wywodził, że on Banasia zna i Banaś nic złego zrobić nie mógł.

Z wielką ochotą powtórzyłbym to spotkanie dzisiaj, gdyby to było możliwe, mając w pamięci maksymę Zagajnego. Nie śmiem spekulować, co

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



Jedną z podstawowych obaw społecznych związanych z okresem zmagania z koronawirusem jest ta dotycząca wzrostu cen. Nie powinno to nikogo dziwić, jeśli tylko weźmiemy pod uwagę fakt, że w ostatnich miesiącach media informują nieustannie o rekordowych sumach deficytów, pakietów stymulacyjnych oraz tarcz finansowych. W powszechnym odbiorze budzi to zrozumiałą obawę, że zalewanie gospodarki prawdziwym morzem pieniędzy doprowadzi w końcu do niekontrolowanego wybuchu inflacji. Nie bez powodu zresztą Polacy wycofali w 2020 r. z lokat aż 90 mld zł, inwestując swoje oszczędności m.in. w nieruchomości, akcje czy też metale szlachetne.

CORAZ WYŻSZE KOSZTY

Pewien niepokój w tym zakresie zwiększyły bez wątpienia dane opublikowane przez unijny urząd statystyczny. W marcu w Polsce ceny wzrosły aż o 4,4 proc. w skali roku, czyli zdecydowanie więcej niż w przypadku większości krajów naszego regionu (z wyjątkiem Węgier, które osiągnęły poziom 3,9 proc.). Rząd bardzo chętnie sięga po różnego rodzaju statystyki ukazujące względnie korzystną sytuację gospodarczą w kraju (np. niskie bezrobocie czy też duży wzrost produkcji przemysłowej), lecz temat przyspieszającej inflacji najczęściej zbywa milczeniem. Nie powinno to dziwić, gdyż na wzrost cen wpłynęły silnie niektóre decyzje administracyjne. Jak mówi „Do Rzeczy” główny ekonomista Krajowej Izby Gospodarczej Piotr Soroczyński, inflacja jest w Polsce ewidentnie napędzana kosztami. – Producenci są obciążeni dodatkowymi kosztami, ponieważ rosną ceny energii, wywozu odpadów, a także płac. Płace rosną ze względu na oczekiwania pracowników, a także z racji podwyższania płacy minimalnej. Wystarczy przypomnieć, że w ubiegłym roku wzrosła o 16 proc. Dla wielu firm, zwłaszcza usługowych, koszty wytwarzania usług wzrosły więc w zauważalny sposób – mówi Soroczyński.

Wedle rządowych planów płaca minimalna ma na koniec 2023 r. wynosić 4 tys. zł brutto, lecz – jak widać – wdrażanie tego projektu przypadło na dość wymagający czas. Ekonomista zwraca również uwagę na inne czynniki. – Mamy także stały wzrost różnego rodzaju opłat, danin czy paropodatków, które pojawiają się nam w koszyku konsumpcyjnym.

Inflacyjny rachunek za pandemię



Jakub Wozinski

Według danych Eurostatu Polska jest obecnie liderem niechlubnego rankingu wzrostu cen w całej Unii Europejskiej. Dlaczego inflacja nad Wisłą rośnie szybciej niż w pozostałych krajach?



Wystarczy wspomnieć o tym, że wzrosła w tym roku akcyza, pojawiła się opłata cukrowa. To wszystko kosztuje i niestety konsumenci muszą płacić więcej – wskazuje Soroczyński.

Nowe daniny i opłaty, a także podwyżki już istniejących wprowadzone na początku obecnego roku wynikały przede wszystkim z konieczności szukania dodatkowych wpływów budżetowych. Pandemia sprawiła, że zamiast pierwszej od lat, historycznej nadwyżki budżetowej zanotowaliśmy w ubiegłym roku deficyt w wysokości ok. 85 mld zł, a w obecnym planowany jest on na 82,3 mld zł. Rząd zdecydował, że główny ciężar jego sfinansowania poniosą konsumenci, co nie mogło pozostać bez wpływu na ogólny poziom cen. – W Polsce inflacja rośnie szybciej niż w pozostałych państwach Unii Europejskiej głównie ze względu na ceny energii – komentuje Jakub Rybarski z Polskiego Instytutu Ekonomicznego. – Mielśmy niedawno choćby podwyżkę opłaty mocowej. Pewien wpływ ma także podatek cukrowy, który nie był wprowadzany w innych krajach. Część podwyżek jest podyktowana trudniejszą sytuacją finansową samorządów, które podwyższają różnego rodzaju opłaty, np. podatek od nieruchomości, od posiadania psów.

Na usprawiedliwienie rządu trzeba oczywiście uzupełnić, że wzrosty cen wielu towarów czy surowców mają charakter globalny i nie sposób jest się im przeciwstawić. Dotyczy to przede wszystkim ropy naftowej, której cena po zeszłorocznych zawirowaniach zaczęła w 2021 r. systematycznie rosnąć. Obecnie za baryłkę ropy trzeba zapłacić 65 dol., choć jeszcze na początku roku kosztowała nieco ponad 50 dol. W efekcie zauważalnie wyższe ceny paliw podniosły koszty w całej gospodarce.

DROGI RACHUNEK ZA PANDEMIE I ZIELONĄ AGENDĘ

Pandemia koronawirusa podniosła ceny nie tylko ze względu na zwiększone wydatki budżetowe, lecz także wprowadzenie nowych zasad sanitarnych w miejscach pracy oraz uniemożliwienie normalnego funkcjonowania całym sektorem gospodarki.

Piotr Soroczyński przekonuje, że efekty tego widzimy właśnie dziś. – Uwagę zwraca to, że istnieje znacząca różnica pomiędzy cenami towarów oraz cenami usług. W przypadku towarów ceny są wyższe o 2 proc. niż przed rokiem, a usług nawet

o 7 proc. – mówi ekonomista. – Za wzrost cen usług odpowiadają wyższe koszty pracy oraz konieczność dopasowania się do covidowych wymogów. Przez długi czas część firm usługowych i handlowych nie mogła pracować, choć ponosiła wyższe koszty. W związku z tym narzut marżowy musiał wzrosnąć – dodaje. Ceny usług mogą zresztą jeszcze wzrosnąć, gdyż przedłużające się obostrzenia wciąż wyrządzają znaczne szkody.

Swoje zrobiły także coraz bardziej wyśrubowane normy środowiskowe. Choć czysto teoretycznie trudna sytuacja ekonomiczna związana z pandemią i lockdownami powinna znacząco ograniczyć forsowanie kosztownych, proekologicznych rozwiązań, to w praktyce jesteśmy wciąż świadkami dokręcania „zielonej śruby”. – Inflację podnosi też wzrost kosztów wywozu śmieci. Wynika to z narzuconych norm środowiskowych oraz przepisów, które w bardzo ograniczony sposób pozwalają gminom subsydiować wywóz – dodaje Jakub Rybarski. Znaczący wpływ na inflację ma także ostatni wzrost cen praw do emisji CO₂, które są już dwukrotnie wyższe niż przed rokiem.

Trudna sytuacja budżetowa, wizja niekończącej się wręcz walki z pandemią czy też forsowne tempo wdrażania zielonej agendy skłaniają do przyjęcia wniosku, że czynniki, które obecnie najbardziej przyczyniają się do wzrostu cen, tak łatwo nie znikną. Czy to oznacza, że do podwyższonej inflacji powinniśmy się przyzwyczaić już na stałe?

Piotr Soroczyński zachowuje pewien optymizm. – Wiele z kosztów, które pojawiły się w tym roku, miało charakter jednorazowy – przekonuje ekonomista. – Podwyżka akcyzy jest raz na pięć lat, pojawienie się podatku cukrowego też należy uznać za coś, co nie będzie miało charakteru cyklicznego. Podniesienie kosztów związanych z wymogami pandemicznymi również wydaje się czymś jednorazowym. Trochę ratuje nas również to, że w tym roku płaca minimalna nie wzrosła o 16 proc., a jedynie o 7 proc. Mamy więc szansę, że inflacja będzie się stopniowo wygaszała – prognozuje.

Zdaniem głównego ekonomisty Krajowej Izby Gospodarczej pewne nadzieje można także wiązać z jeszcze jednym czynnikiem. – Mamy też jeszcze jeden istotny rezerwuuar, jeśli chodzi o obecne napędzanie inflacji, a następnie jej zbijanie. Jest to kwestia kursu walutowego, który jest wyjątkowo słaby – wskazuje

Soroczyński. – Często wskazuje się, że słaby złoty sprzyja eksporterom, a komplikuje życie importerom i konsumentom. Gdyby więc dopuścić do jego stopniowego wzmocnienia, to będzie to hamowało inflację. Wówczas zaopatrzenie całej gospodarki, m.in. w paliwa czy surowce, będzie znacznie tańsze.

NARZĘDZIE REDUKCJI DŁUGU

Czy tak się właśnie stanie? Nie wiadomo. W epoce zmagania z koronawirusem prognozowanie jest jeszcze bardziej utrudnione. Na pewno jednak wydarzenia z ostatnich miesięcy nie pozostaną bez reperkusji. Same tylko Stany Zjednoczone wpompowały do gospodarki od marca ubiegłego roku ponad 12 bln dol. pod postacią rozmaitych pakietów i tarcz. W Niemczech wartość analogicznych programów osiągnęła poziom aż 33 proc. PKB. Podobnie stało się praktycznie w każdym kraju na świecie. Nie od dziś wiadomo zaś, że rządom najłatwiej jest zredukować poziom zadłużenia właśnie za pomocą inflacji. I choć nikt nie wyrazi tego wprost, to w dobie tzw. postpandemicznej odbudowy, raczej żaden rząd na świecie na pewno nie będzie zwalczał umiarkowanego, czyli wyższego niż zazwyczaj wzrostu cen.

Pomimo uruchomienia rekordowych sum, które kilkakrotnie przebijają pomoc udzieloną w następstwie poprzedniego kryzysu, światowa gospodarka pozostaje wciąż nadzwyczaj chłonna i odporna na gwałtowne zjawiska. Piotr Soroczyński twierdzi, że wciąż jesteśmy bardzo dalecy od sytuacji, w której wystąpiłby problem nadmiernego popytu i inflacji. – Wylewanie morza pieniędzy na rynek, zasilanie nimi gospodarstw domowych w ogromnych ilościach stanowi oczywiście spore ryzyko proinflacyjne – mówi. – W ciągu ostatniej dekady wiele banków centralnych prowadziło bardzo łagodną politykę monetarną, utrzymując bardzo niskie stopy procentowe i zwiększając znacząco płynność w systemie. Nie doprowadziło to jednak do żadnego nasilenia zjawisk inflacyjnych, bo ani nie udało się pobudzić w żaden szczególny sposób światowej gospodarki, ani przy okazji zdynamizować procesów inflacyjnych. Mamy więc jeszcze jakiś bufor umożliwiający przyjęcie dodatkowych środków.

Wypada więc mieć tylko nadzieję, że objętość tego buforu przestanie być testowana tak intensywnie jak w ostatnich miesiącach.

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA MOTO G100

Bardzo wysoka wydajność, obsługa sieci 5G, duży wyświetlacz, niezła bateria oraz przyzwoity aparat fotograficzny – to największe zalety modelu moto G100, najpotężniejszej motoroli z serii G.

Największą zaletą w testowanym smartfonie jest coś, czego na pierwszy rzut oka nie widać, czyli wydajny procesor Snapdragon 870, 8 GB pamięci RAM oraz 128 GB szybkiej pamięci wewnętrznej UFS 3.1. Dzięki temu wszystko śmiga, jak należy, aplikacje otwierają się błyskawicznie, a moc, którą użytkownik dostaje do dyspozycji, jest na tyle duża, że producent zachęca, aby podłączać smartfon do telewizora i tworzyć z niego minikomputer. W czasach dominującej zdalnej pracy i nauki może to być bardzo przydatna funkcja, więc motorola w zestawie dodaje przejściówkę HDMI. Dzięki akcesoriom z serii „Ready For” użytkownicy modelu G100 mogą łatwo zamienić smartfona w konsolę i w prosty sposób zacząć grać na dużym ekranie nawet w bardziej wymagające graficznie tytuły.

Użytkownicy pracujący w zasięgu sieci 5G cieszą się z informacji, że moto G100 potrafi obsłużyć wykorzystywane w Polsce pasma sieci najnowszej generacji. Nowy model motoroli oferuje także tzw. hybrydowy dual SIM. Można więc korzystać z dwóch kart nanoSIM (5G oraz 4G) lub też jednej karty nanoSIM oraz karty microSD, która zwiększa ilość pamięci dostępnej dla użytkownika.

Osoby, które wolą pracować tylko na smartfonie, docenią duży ekran o przekątnej 6,7 cala, rozdzielczości 2520 x 1080 pikseli (Full HD+), częstotliwości odświeżania 90 Hz z HDR 10. Szkoda jednak, że to ciągle tylko IPS LCD, a nie OLED.

Nową motorolą można też robić dobre zdjęcia. 64-megapikselowy aparat główny wyposażony jest w obiektyw o jasności f/1.7. W szybkim ustawianiu ostrości pomaga laserowy autofocus. Moto G100 umożliwia też nagrywanie filmów w jakości 6K. Użytkownik do dyspozycji dostaje też obiektyw szerokokątny 16 MPix o jasności f/2.2. Miłośnicy selfie cieszą się z dwóch przednich obiektywów: standardowego 16 MPix (f/2.2) oraz szerokokątnego 8 MPix.

Po stronie plusów można zapisać też solidną baterię o pojemności aż 5000 mAh, dzięki której smartfon na jednym ładowaniu powinien dwa dni wytrzymać.

Wady? Największym minusem jest wzornictwo. Choć wszystko jest solidnie spasowane, to z wyglądu moto G100 bardziej przypomina budżetowe, „ceglane” modele z szerokimi ramkami za tysiąc złotych niż flagowce za niemal 5 tys. zł. Moto G100 jest też stosunkowo ciężka (waga 207 g). Minusem w tej kategorii cenowej jest również płasko grający głośnik mono. Dobrze jednak, że producentowi udało się znaleźć

miejsce na tradycyjne gniazdo słuchawkowe jack 3,5 mm. Szkoda również, że smartfon nie jest wodoodporny, a także, że znakomicie działający czujnik linii papilarnych – ukryty z boku ekranu – jest umieszczony nieco za wysoko, przez co korzystanie z niego jest mniej wygodne, niż mogłoby być.

Mimo tych minusów Motorola G100 to model wart rozważania przez osoby, które nie chcą wydawać pięciu tysięcy na smartfona, a jednocześnie oczekują więcej możliwości, niż oferują modele budżetowe. Wstrzymałbym się jednak z zakupem do czasu, gdy cena spadnie w okolice 2 tys. zł. Obecnie za nowości motoroli trzeba zapłacić 2499 zł. © © **Jacek Przybylski**



SŁUCHAWKI NA SŁOŃCE

Urbanista Los Angeles to słuchawki bezprzewodowe z technologią aktywnego tłumienia szumów (ANC), które energię do działania czerpią ze słońca. Według producenta można z nich korzystać bez konieczności podłączania do ładowarki. Godzinny spacer przy słonecznej pogodzie ma wystarczyć, aby przez trzy godziny bez przerwy słuchać muzyki. Przy pogodzie pochmurnej godzina spaceru ma dać użytkownikowi dwie godziny pracy słuchawek. Na wypadek, gdyby w deszczu i mrozie nikomu nie chciało się jednak wychodzić na godzinny spacer, sprzęt powinien móc korzystać też ze światła wpadającego do pomieszczeń. W razie czego słuchawki można też podłączyć do tradycyjnej ładowarki. Akumulator o pojemności 750 mAh ma, według deklaracji producenta, umożliwić słuchanie muzyki przez 50 godzin. Zapowiadana cena: 199 dol., czyli 749 zł.



KIESZONKOWY POLAROID

Polaroid Go. Tak nazywa się najmniejszy analogowy aparat natychmiastowy znanego producenta, który nawet w czasach wszechobecnych smartfonów może pomóc w upamiętnianiu letnich imprez po pokonaniu pandemii. Gadżet o rozmiarach 105 mm x 83,9 mm x 61,5 mm na jednym ładowaniu pozwala zrobić do 15 pakietów zdjęć w rozmiarze 6,66 cm na 5,39 cm. Ich wywołanie trwa od 10 do 15 minut. Cena modelu, który w zeszłym tygodniu zadebiutował już na rynku, wynosi 100 dol. (376 zł). Koszt paczki folii Go, która pozwala wywołać 16 zdjęć, wynosi 20 dol. (75 zł). © © **Jacek Przybylski**



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Pojedynek pancernych
bestii na gruzach
Kolonii

Steve Barnes – Archipelag zbrodni

Krzysztof Masłoń – Świadczenia z nieludzkiej ziemi

Tomasz Stańczyk – AK-owcy w łagrach

Piotr Zychowicz – Marokańskie gwałty na Włoszkach

Arkadiusz Karbowski – Tajemnice Protektoratu

Mikołaj Iwanow – Tajna misja Karola Radka w Polsce

Piotr Semka – Krucjata Niemców bałtyckich

Jacek Bartosiak – Do Anglii znowu daleko

Rafał A. Ziemkiewicz – Polacy to ludzie łagodni

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

KATARZYNA PINKOSZ: Badania pokazują, że w ciągu tego roku przytyliśmy średnio 5 kg. To dużo, zwłaszcza w kontekście, że otyłość okazała się jednym z najpoważniejszych czynników ryzyka COVID-19. Właściwie dlaczego?

PROF. PAWEŁ BOGDAŃSKI: Osoby z otyłością łatwiej i szybciej zakażają się koronawirusem, ponieważ jest u nich większa produkcja białek, poprzez które koronawirus wnika do komórek. Osoby z otyłością dłużej są zakażone COVID-19, dłużej mogą zakażać innych, a przebieg choroby jest dużo cięższy. Ryzyko konieczności hospitalizacji u osób otyłych z COVID wzrasta o 113 proc., ryzyko konieczności hospitalizacji na oddziale intensywnej opieki medycznej – o 74 proc., ryzyko zgonu – o 48 proc. Gorzej odpowiadają na szczepienia, czyli mogą mieć po nich mniejszą odporność. Pandemia COVID-19 obnażyła wszystkie zagrożenia związane z otyłością.

Przez lata wydawało się, że otyłość to nie jest polski problem, że dotyka on raczej mieszkańców USA.

To błędne myślenie. Co czwarty dorosły Polak choruje na otyłość, 68 proc. mężczyzn i 53 proc. kobiet ma nadmierną masę ciała, a 25 proc. dorosłych Polaków choruje na otyłość. Jeśli chodzi o dzieci, to prawdziwy dramat: mamy już piąte miejsce na świecie pod względem liczby dzieci z nadmierną masą ciała. Jesteśmy liderami w Europie, jeśli chodzi o wzrost liczby dzieci z otyłością. Szacuje się, że każdego roku będzie przybywać 400 tys. dzieci z nadwagą. A dziecko i nastolatek z nadwagą mają 17 razy wyższe ryzyko otyłości w wieku dorosłym.

Coraz częściej podkreśla się, że otyłość jest chorobą, mówi się o chorobie otyłościowej. Jednak pacjent w gabinecie lekarza rzadko dostaje taką diagnozę. Dlaczego?

Często już w drzwiach widać, że dana osoba ma chorobę otyłościową. Całe nieszczęście polega na tym, że jest to choroba nieuświadomiana. Ostatnie badania pokazują, że tylko 10–11 proc. Polaków traktuje ją jako chorobę.

Większość uważa, że to jest...

...defekt urody. To nie tylko polski problem. Z danych amerykańskich wynika, że trzeba było średnio pięciu lat, żeby lekarz powiedział: „Choruje pan/pani na otyłość”. W dodatku

Z prof. Pawłem Bogdańskim, kierownikiem Katedry i Zakładu Leczenia Otyłości, Zaburzeń Metabolicznych i Dietetyki Klinicznej UM w Poznaniu

rozmawia Katarzyna Pinkosz



Otyłość i 200 powikłań

taką diagnozę usłyszała tylko połowa pacjentów. W Polsce sytuacja może być znacznie trudniejsza.

Kiedy to już jest choroba? A kiedy po prostu przybyło nam kilka kilogramów i da się je jeszcze zrzucić?

Podstawowym wskaźnikiem służącym do rozpoznania otyłości jest wskaźnik masy ciała, BMI: dzielimy masę ciała

(wyrażoną w kilogramach) przez wzrost (w metrach) podniesiony do kwadratu. Jeśli BMI jest wyższy niż 30, to jest to już choroba otyłościowa. Warto też zmierzyć obwód pasa (w połowie odległości między ostatnim wyczuwalnym żebrzem a talerzem biodrowym). Jeśli jest większy niż 94 cm (u mężczyzn) i 80 cm (u kobiet), to jest to otyłość brzuszna: duża ilość tkanki tłuszczowej



Takiej osobie trzeba przede wszystkim powiedzieć: „Proszę pani/pana, choruje pani/pan na otyłość. To bardzo poważna choroba”. Z przerażeniem słyszę od pacjentów w gabinecie, że chodzili do kardiologa, diabetologa, ortopedy, hipertensjologa i nikt im nie powiedział, że chorują na otyłość. A wszyscy leczyli jej powikłania.

Na pewno jednak mówili, że trzeba się odchudzić.

Nie chcę nawet przytaczać komentarzy, które czasem te osoby słyszą. Mówienie samego „schudnij”, „jedz mniej” to nieprofesjonalne podejście do choroby. My nie odchudzamy; leczymy otyłość, bo to jest choroba. Jeśli nadal będziemy myśleć o otyłości jako o defekcie kosmetycznym, to nie pojawi się myśl: „Choruję na otyłość, potrzebuję pomocy, zastosuję się do zaleceń, bo rozumiem, że to poważna choroba, z wieloma konsekwencjami”.

Niestety, to prawda. Jeśli nic z tym nie zrobimy, to budżet opieki zdrowotnej nie wytrzyma kosztów związanych z leczeniem otyłości i jej powikłań, a jest ok. 200 potencjalnych chorób i zaburzeń związanych z otyłością.

Dlaczego nie wystarczy po prostu stosować diety tysiąca kalorii? I być w tym konsekwentnym?

Oczywiście dieta, aktywność fizyczna są konieczne, jednak gdy mówimy o chorobie, to trzeba iść do lekarza, który potwierdzi rozpoznanie. Musi wykluczyć, czy pacjent nie ma chorób, które sprzyjają przyrostowi masy ciała (np. niedoczynność tarczycy), zobaczyć, czy nie ma powikłań, a dopiero potem zaproponować leczenie. Konieczna jest modyfikacja sposobu odżywiania, indywidualnie dla danej osoby, uwzględniająca wiek, choroby współistniejące, styl życia, przyjmowane leki. Ważna jest aktywność fizyczna: każdego dnia trzeba przejść odpowiednią liczbę kroków. Aktywność poniżej 3 tys. kroków dziennie można zakwalifikować jako bezruch. Średnio każdy z nas powinien przejść 10 tys. kroków dziennie. Jednak w leczeniu otyłości ważne są czynniki psychologiczne. Chorego trzeba nauczyć, jak robić zakupy, jak zachowywać się w czasie imprez, wyjazdów, jak odzyskać poczucie własnej wartości, motywację do działania. Potrzebny jest do leczenia cały zespół terapeutyczny: lekarz, dietetyk,

psycholog. Jeśli postępowanie niefarmakologiczne jest nieskuteczne, to konieczne jest rozważenie farmakoterapii: tak jak w każdej chorobie przewlekłej, np. nadciśnieniu, cukrzycy.

Skoro otyłość jest chorobą, to czy są na nią leki? Nie suplementy, herbatki, zioła, diety, tylko skuteczne leki?

Na razie są w Unii Europejskiej zarejestrowane trzy leki do leczenia otyłości, niedługo będzie czwarty. Leczenie trzeba indywidualnie dobrać do pacjenta, nie rezygnując z postępowania niefarmakologicznego, czyli odpowiedniego sposobu odżywiania i aktywności fizycznej. Leczenie farmakologiczne rozważamy u wszystkich, którzy chorują na otyłość (czyli mają BMI powyżej 30) lub nadwagę (BMI powyżej 27) i co najmniej jedno klasyczne powikłanie otyłości, a przy tym postępowanie niefarmakologiczne okazało się nieskuteczne. Leki działają w różnych mechanizmach: jeden z nich powoduje zmniejszone wchłanianie tłuszczów, dwa inne powodują, że pacjent mniej odczuwa głód, szybciej czuje się najedzony. Działają też na ośrodek nagrody w mózgu, co powoduje, że za pacjentem „nie chodzą” ciągle myśli w stylu „coś bym zjadł”. Decyzje dotyczące wyboru konkretnego leku każdorazowo powinny być podejmowane indywidualnie przez lekarza, zgodnie z Evidence Based Medicine i jego dobrą praktyką kliniczną.

Jak długo trzeba leczyć otyłość?

Zgodnie z aktualnie obowiązującymi rekomendacjami czas stosowania farmakoterapii otyłości nie powinien być krótszy niż 12 miesięcy. U wielu pacjentów istotną szansę na poprawę widzimy już po kilkumiesięcznej terapii, oczywiście połączonej z kompleksowym leczeniem. U części osób leczenie musi trwać wiele lat – podobnie jak przy innych chorobach przewlekłych. Z niektórymi pacjentami, z bardzo poważną otyłością, trzeba porozmawiać o chirurgii bariatrycznej: to ratowanie ich życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

jest zlokalizowana między narządami wewnętrznymi. To tkanka tłuszczowa endokrynnie czynna, która odpowiada za wiele powikłań otyłości.

Gdy widzi pan na ulicy osobę z otyłością, to co pierwsze przychodzi panu na myśl?

Widzę osobę chorą na bardzo poważną, przewlekłą chorobę, która sama nie ustąpi, ma za to tendencję do nawrotów i która jest czynnikiem ryzyka ponad 200 innych schorzeń.

Chorzy na otyłość często mówią, że od otyłości gorsze są reakcje innych, komentarze dotyczące ich wyglądu.

To dlatego, że wciąż nie rozumiemy, iż to jest choroba. Często pytam studentów, z którymi prowadzę zajęcia, jakie mają skojarzenia, gdy widzą osobę z otyłością? Słyszę: „Zajada stres, je za dużo, za mało się rusza”. Pytam: „A nie widzicie osoby chorej, która jest obciążona ryzykiem powikłań, prawdopodobnie ma zaburzenia gospodarki węglowodanowej, tłuszczowej, zwiększone ryzyko raka, mocno obciążone stawy?”.



prof. dr hab. n. med. Paweł Bogdański – specjalista w dziedzinie chorób wewnętrznych i hipertensjologii, kierownik Katedry i Zakładu Leczenia Otyłości, Zaburzeń Metabolicznych i Dietetyki Klinicznej UM w Poznaniu



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dziuple dla banitów

Banici, rabusie i swawolnicy, podobnie jak dziś gangsterzy, mieli w I Rzeczypospolitej dziuple, w których ukrywali łupy, siebie samych przed mieczem małodobrego mistrza sprawiedliwości. Władysław Łoziński w „Prawem i lewem” wymienia dwa

takie miejsca, pisząc:

„W górach sanockich (dzisiejsze góry Słonne) istniały ok. 1629 r. osobne jaskinie zbójckie, w których układały się plany wypraw, przygotowywały się zasadzki i ukrywały się zrabowane kosztowności. Gospodarzem bywał jakiś skończony

łotrzyk, najczęściej wywołaniec, niemający nic do stracenia, niekiedy imiennik lub wyrodnny członek

bardzo pocziwej rodziny, niegodny swego szlacheckiego pochodzenia i nazwiska. Takimi jaskiniami były Hołczków i Gwoźnica”.

W Hołczkowie leżącym nieopodal Tyrawy Wołoskiej pod Sanokiem zachowała się pochodząca z XIX w. cerkiew greckokatolicka pw. św. Paraskewii, dziś służąca jako kościół katolicki. W XVII w. pod wsią miał hultajską karczmę Piotr Ramułt i przechowywał w niej rozbójników i ich łupy. W 1634 r. kilku takich łotrów szlacheckiego pochodzenia napadło pod Jarosławem Żyda Jelenia i zrabowało mu

70 tys. zł, sumę wówczas wprost ogromną, wartość małego klucza wsi. Napastnicy oczekiwali na niego w gospodzie Pod Bukiem, dopadli go na odludnej drodze i zabrali pieniądze. Jeleń zachował się, jak na człowieka epoki przystało, ponieważ zamiast rwać pejsy, zaciągnął kilku ludzi i zaczął śledzić napastników, którzy udali się wprost w góry – do Hołczkowa. Pościg prowadzony był na odległość prawie 80 km. Jeleń udał się natychmiast do Sanoka i wniósł protestację przeciwko Ramułtowi. Wówczas miejscowy podstarości Jan Pieniążek zwołał szlachtę, wyruszył do Hołczkowa, pojął, okuł w żelazka i osadził w wieży hultaja. Co stało się z trzema złoczyńcami – tego nie wiadomo, chodźli jednak słuchy, że Ramułt wspólnie z pasierbem – Samuelem Krainińskim i niejakim Załuszkowskim – zamordował ich skrytobójczo, a ciała „zgubili”, aby pozbyć się dowodów. Tak czy owak pieniądze nie odzyskano, w dodatku żona uwięzionego, Beata, wniosła protestację przeciwko Jeleniowi, gdyż szlachcica osiadłego nie wolno było aresztować bez wyroku sądu, a Ramułta nie schwytano „in recenti” na miejscu zbrodni. Co więcej, trybunał orzekł, że podstarości naruszył prawo – skazując Pieniążka na rok więzy i 120 grzywien kary, a Jelenia na 240 grzywien pod groźbą infamii i gardła. Ramułt zatem po dziewięciu tygodniach odzyskał wolność i wrócił do rozbójniczej działalności, a Jeleń odszedł z kwitkiem.

Hołczków jeszcze nieraz był widownią zajazdów i gwałtów. W 1655 r., a więc w czasie najazdu szwedzkiego i moskiewskiego, doszło do małej wojny domowej pomiędzy Jarockimi, posiadaczami wioski, i Dybowski, którzy pierwsi (chyba?) zajechali Jarockich, porwali ich krewnego Kowalskiego i utopili w Sanie. Następnie zabili kolejnego ich stronnika – Grzegorza

Kosmowskiego, co więcej – napadli na wiozącego zwłoki do Sanoka Adama Jarockiego, ścigali go aż do dworu i wpadłszy do niego, zelżyli kobiety i pogruchotali sprzęty. Tym razem po stronie Jarockich stanęli Chrzastowscy, Błotniccy, Kurbutowie, Dębicy, Siecińscy i wiele sanockich rodów szlacheckich. Pomimo ich pomocy Dybowscy urządzili zajazd na dwór 11 listopada 1655 r., oblegali go, ale nie mogąc zdobyć – podłożyli ogień pod zabudowania. Krwawy konflikt zakończył się dopiero w 1660 r., kiedy już nie było komu wojować, bo oba rody wybiły się wzajemnie w bratobójczej walce. Dopiero wówczas ostatni z rodu Dybowskich, Wojciech, pojednał się z... wdowami po swych przeciwnikach, a król odpuścił mu infamię i przywrócił prawa szlacheckie.

W Gwoźnicy, która leży na południe od Rzeszowa, w górach koło Domaradza, i dziś dzieli się na Górną i Dolną, miał złodziejską spółkę niejaki Paweł Zaklika, wywołaniec, gdyż tak – od wywoływania ich nazwisk przez woźnego na rynkach – określano szlachciców skazanych na infamię lub banicję. W 1629 r. zabił Pawła Domaradzkiego i przez długie lata grasował w okolicy – dopóty, dopóki nie znalazł się w końcu posesjonat Aleksander Gizowski, który zdobył to wilcze gniazdo, pojął jednego z jego łotrów – szlachcica gołotę Dzikowskiego – i odstawił go do grodu. Teraz odkryła się cała przestępcza organizacja – okazało się, że Zaklika miał w okolicy siatkę szpiegów, którzy informowali go np., który kupiec i z jakim zapasem gotówki będzie przejeżdżał niedaleko Gwoźnicy. Jednym z nich był Daniel Wisłocki; jego listy znaleziono we dworze. Ostatecznie Dzikowski został ścięty w Sanoku za rozbój. Co stało się z Zakliką i jego kompanią – tego już nie wiadomo. W aktach grodzkich zaginął bowiem po nim od tamtego czasu wszelki ślad. ©



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, RIS. PEGAZ

I RZECZYPOSPOLITA

Gwoźnica • Hołczków

EKSPRESOWY OBIAD MARKA SIEROCKIEGO

Wielu rzeczy w kuchni uczyć się od mojej żony, która świetnie gotuje. Bardzo często pichcimy razem, dzieląc zadania. Uważam, że wspólne przygotowywanie, a później oczywiście także wspólne spożywanie posiłków jest fantastyczną sprawą, która zbliża ludzi. Zdradzę Państwu jeden z przepisów, który wypracowaliśmy wspólnie z żoną. To pulpety z indyka w sosie pomidorowym z makaronem tagliatelle – proste danie, które można przygotować w 20 min, ale bardzo smaczne i zdrowe.

Składniki (dla dwóch osób):

- 30 dag mielonego mięsa z indyka (najlepiej z uda)
- czosnek
- papryka chili
- suszone morele
- orzechy
- jajko
- bułka tarta
- kolendra
- koperek
- pomidory w puszcze
- parmezan
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Mięso z indyka doprowadzamy solą i pieprzem. Blendujemy jeden ząbek czosnku, pół papryki chili (może być cała, jeśli ktoś lubi ostrzejsze), 3–4 suszone morele, trochę orzechów (najlepiej

pieniowych), jedno jajko, trochę bułki tartej, kolendry i koperku. Po zblendowaniu mieszamy to razem z mielonym mięsem i formujemy pulpety, pamiętając, żeby cały czas moczyć dłonie w wodzie.

Na patelni rozgrzewamy olej (najlepiej rzepakowy, bezzapachowy) i smażymy pulpety, obracając je. Kiedy wysmażą się z każdej strony dodajemy drobno pokrojone pomidory z puszki i makaron ugotowany al dente. Dolewamy trochę wody, w której gotowaliśmy makaron, a na koniec starty parmezan. ©©

*oprac. raw
Marek Sierocki jest
dziennikarzem muzycznym.*



FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FOTOLIA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Lady kompost(ela)

Człowiek słabo zna się na rolnictwie, za to naogląda się i naczyta o ekologii. A tam piszą, że liści nie grabić, trawnika nie kosić, nie nawozić, tui nie sadzić, grządek pod liniijkę nie wytyczać... Wszędzie piękne zdjęcia kwitnących dzikich łąk. Łąka kwietna – o to chodzi. Owszem, kiedyś wysypałam zawartość niemieckiej torebki z obrazkiem dzikiego kwiecia, tak dzikiego jak w wierszu Leśmiana. I co wyrosło? Chwaścior, a wśród nich jeden zabłąkany mak i jeden rumianek.

Wszystko naturalne, natura sama potrafi o siebie zadbać – piszą Internet. W tym wypadku nie zadbała.

Jestem więc skołowana między pragnieniem zstąpienia czcicielem natury, tak jak książkę Karol, a praktycznym podejściem krajowych ogrodników, którzy pomagają nam w ogrodzie. – U nas liści się nie grabi – mówi kuzynka z Ameryki, patrząc z pogardą na nasz dosyć przyjemnie się prezentujący skoszony trawnik. Jej zdaniem nie jest naturalny, bo na trawniku powinny być liście. Ameryka zawsze wie lepiej, przyznaję, ale żeby aż nie grabić? Bądź tu mądry, człowieku.

– Nie grabić liści? Bzdura! – mówi pan Marcin, moja wyrocznia w kwestii ogrodu. – Nie będzie pani miała trawnika. Jak liście zgniją, trawa nie wyrośnie. Koniec kropka.

Chcąc naturze pomóc, ale naturalnie, zaprowadziłam w ogrodzie kom-



FOT. ADRIAN STOK

postownik. Poszły do niego żniwa ze skoszonego trawnika oraz tona jesiennych liści Anno Domini 2020. Zamiast mieć tylko praktyczne tuje, posiadam sporą liczbę drzew liściastych. No i ten kompost sobie spokojnie gnije od października w oczekiwaniu na to, aż zostanie humusem. Trafiły mnie wątpliwości: coś z nim trzeba robić. Może coś dosypać, dolać? Postanowiłam podejść do sprawy naukowo. Obejrzałam na zoomie półtoragodzinny wykład na temat kompostowania. Wynikało z niego, że produkt finalny kompostu będzie pachniał jak las i będę mogła rozrzucić go po ogrodzie, gdzie zakończy swój obieg i wróci do ziemi, sprawiając, że wszystko będzie rosło pięknie i szybko. Może nawet łąka kwietna ożyje? Może zakwitną irysy, com je wsadziła dwa lata temu i od tej pory nie dały znaku życia? Nazajutrz rano, w sobotę, zamiast wsiadać na rower, chwyciłam widły i zabrałam się do aeracji. Zadzwoiła przyjaciółka. – Dżdżownice masz? – zapytała. Rzeczywiście, przypominałam sobie. Bez dżdżownic nie da rady, na wykładzie o tym było.

Na torebce z pięknym kwieciem wcale nie było dżdżownic. Czuję się oszukana. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Słodkie życie

Ostatnio zauważyłem u siebie pewne zmiany, które dały mi do myślenia. Odkryłem na przykład istnienie słodczy.

Do tej pory wszelkie słodkości były dla mnie równie istotne co sushi. Czyli dwa, trzy razy w roku nachodziła mnie nieprzeparta ochota na surową rybę z wasabi. Robiliśmy sobie wieczór z sushi i na wiele miesięcy miałem je z głowy.

Ze słodczymi było podobnie. Może nie romansowałem z nimi aż tak rzadko, ale zdecydowanie wyobrażałem sobie życie bez lodów czy czekolady. Różniłem się pod tym względem od żony, której – pewnie się do tego nie przyzna – sens życia w dużej mierze pokrywał się z konsumpcją ciast. Święta były dla niej szczególnym czasem tyleż z powodów metafizycznych, ile dziecięcej radości spożywania sernika i szarlotki w ilościach prawdziwie grzesznych. Dla mnie to było dziwactwo, a esencji smaku życia szukałem raczej w potrawach słonych niż słodkich. W każdym razie za makowiec nie dałbym się pokroić, ale za dobre śledzie w oleju z cebulką... już bardziej.

I nagle świat nabrał dla mnie barw i kolorów – jak dla tych dzieci z wadą wzroku, które pierwszy raz w życiu wkładają okulary (jeśli nie widzieliście filmików uwieczniających te sceny, zobaczcie koniecznie!). Zaczęłem rozumieć, co mają na myśli ludzie mówiący o tym, że uśmiecha się do nich jakiś rożek czy babeczka. Jeszcze pół roku temu piekarnia to było dla mnie miejsce, do którego

wstępuje się na minutę, by nabyć żytni chleb i iść dalej. A teraz to jakaś diabelska pułapka kusząca rozkoszami. Coraz rzadziej jestem w stanie wyjść z niej bez paczuszki kremówek, jagodzianek czy zwykłych pączków. Właśnie, pączki! Przez całe moje życie tłusty czwartek i ta cała orgia pączkowa to było dla mnie coś równie niezrozumiałego jak wmawianie ludzkości, że Julia Roberts to najpiękniejsza kobieta świata, a Ireneusz Krzemiński to intelektualista. Aż do teraz. Ostatni tłusty czwartek był faktycznie bardzo tłusty.

Zaczęłem się zastanawiać, coż się ze mną stało. Rozumowo zawsze odrzucałem cukier, bo jako obżartuch przynajmniej w ten sposób chciałem robić coś dobrego dla swego zdrowia. A teraz i ten szaniec padł. Dlaczego?

Głowiłem się ostatnio nad tym problemem na kanapie tak zapamiętale, że zasnąłem. A kiedy się obudziłem, uświadomiłem sobie dwie rzeczy. Pierwszą taką, że jakoś tak mi się zdarza ostatnimi czasy kimnąć na kanapie. I drugą, że w ogóle drzemki stały się moją ulubioną życiową rozrywką, zdecydowanie dystansując takich niedysyjszych liderów jak huczne imprezy w klubach, podrywanie dziewczyn czy łożenie wody z kolegami. Tak, drzemki jawią mi się obecnie wyjątkowo pociągającym aspektem rzeczywistości.

No i pojąłem, co się stało. Drzemki, słodczyce. Szybko poszło. Zaskakująco szybko. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Pomidory a sprawa polska

Małgośka, mówi mi, czy wy tam, w Polsce, w ogóle znacie pomidory? Oui, monsieur, depuis le XVIIe siècle – odpowiadałam, bo pytającym był oczywiście pewien Francuz. I choć zdarzyło się to 20 lat temu, to pamięć tamtego upokorzenia, i to w obecności wielu gości na pewnej kolacji na Prowansji, zaważyła jakoś na moim życiu. Oczywiście powinienam wtedy odpowiedzieć: Niektórzy, utrzymują nawet, że to Polacy nauczyli was jeść pomidory widelcem. Niestety, los sprawia, że Polka zjawia się za granicą zwykle w charakterze ubogiej krewnej i więcej gryzie się w język, niż mówi. Jak tu się oburzyć i trzasnąć drzwiami, gdy ma się uroczy śliniak pod brodą, coq au vin na talerzu i jest się gościem w pałacyku jaśnie państwa z widokiem na Mont Ventoux?

Lekkie ukłucie w receptor polskiego honoru notowałam zresztą wielokrotnie, choć wychodziłam ze skóry, żeby mój francuski czy zachowanie wzbudzały sympatię. Dla starej Europy wciąż bywamy Irokezami, katolickim skansenem i coraz częściej współnikiem zagłady Żydów. Toteż od czasu innej kolacji, podczas której nadmiar wina zasilł moją elokwencję i skusił, aby udzielić raz na zawsze dużo starszym ode mnie Francuzom lekcji historii, nikt mnie – o dziwo – już nie zaprasza do Francji. Nie rozumiem, bo moje korepetycje były całkiem gratis i z epickim rozmachem.

To, co mi jednak zostało z tamtych lat, to sprzeciw wobec stereotypów, które żywi na nasz temat zagranica, oraz fiksacja, aby sami Polacy nie brali udziału ani w ich rozpowszechnianiu (memy o Słowianach na Facebooku), ani tym bardziej w ich solennym wypełnianiu. Obraz Polaka jako pijacka i niechlujnego robota przenika wciąż do zbiorowej wyobraźni Zachodu. Gdy dodać do tego obecne tsunami podłości i bzdur na temat Polski rozpowszechniane w mediach zachodnich przez Lempart i spółkę, ale przecież też dziennikarskim piórem przez Michnika i jego oddział Stasińskich, Wielińskich piszących o Polsce pełnej „nacionalistycznych fanatyków”, to człowieka ogarnia rozpacz. Jednak i mobilizacja. Wszystkiego nie zakłamię, wszystkich nas nie oczernią, nie przekonają wszystkich. I co najważniejsze: publikują w mediach, które słyną z manipulacji i lewicowej wrażliwości, w których najmniej chodzi o prawdę, a najwięcej o bycie po „właściwej” stronie. Mainstreamowa chuligarchia nie wbije mnie w kompleksy. Dla nich Polska zawsze będzie dzikim krajem, który nie zna smaku pomidora albo ośmiorniczek. Dla mnie ważniejsze jest, że moja Polska wielokrotnie wykazywała herbertowską potęgę smaku: wypływała totalitaryzmy i ideologie. ©©

Przypomnienie światlanej przyszłości



ANDRZEJ NOWAK

Prawo i Sprawiedliwość wygrywa wybory w Polsce od sześciu lat i sprawuje w naszym kraju ustawodawczą i wykonawczą władzę w takim zakresie, jaki daje tej partii (i jej mniejszym koalicjantom) mandat demokratyczny, ograniczony m.in. przez instytucje Unii Europejskiej i rządzące w niej ideologie. Sześć lat to w dzisiejszym świecie dość dużo, by zapomnieć o tym, jak rządzona była Polska wcześniej: zgodnie – przez rząd, większość parlamentarną i medialną, karnie egzekwującą razem linię „europejskiej centrali”.

Warto przypomnieć sobie jednak nie tylko detale korupcji tamtej władzy, by porównywać ją z zepsuciem obecnej. Warto zapytać o rzecz bardziej fundamentalną: „Ku czemu Polska szła” pod ówczesną władzą? Ten cel jasno sformułowany został w lutym roku 2012, niedługo po drugich z rzędu wygranych przez Platformę wyborach parlamentarnych, kiedy jej lider orzekł, że nie ma z kim przegrać. To był czas dobry do szczerego zaprezentowania daleko siężnych planów. Miejscem do tego właściwym było konwersatorium, nieco przewrotnie nazwane „Dialog i Przyszłość”. Było to w istocie konwersatorium ograniczone do kręgu związanego raczej z tradycjami „centralizmu demokratycznego” niż dialogu. Bardziej precyzyjnie nazywać się powinno: „Monolog i Przyszłość”, a właściwie: „Unisono o Przyszłości” – zgodny chór o światlanej przyszłości. Organizatorem spotkania był Aleksander Kwaśniewski. Były prezydent zaprosił na nie polityków, ekspertów i ekonomistów, wśród których znaleźli się m.in. Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz, lider Ruchu Janusz Palikot, twórca Gadu-Gadu (i zarazem publicysta „Trybuny Robotniczej”) Łukasz Foltyn, socjolog prof. Janusz Czapiński, założyciel „Krytyki Politycznej”

Sławomir Sierakowski, poseł Platformy Dariusz Rosati, minister zdrowia w rządzie Donalda Tuska Bartosz Arłukowicz (zatrzymały go obowiązki w ministerstwie, ale obiecał, że na następne spotkanie przyjdzie), doradca prezydenta Komorowskiego, Tomasz Nałęcz oraz senator Marek Borowski. Oczywiście niejedno takie spotkanie się odbywało, na pewno w bardziej elitarnych jeszcze gronach. To jednak zasługuje na uwagę ze względu na jasną deklarację, która nad nim padła i została podana do publicznej wiadomości: „Przyszłi czas, by powiedzieć Polakom, że muszą się wyrzec swojej polskości”.

Tak w lutym 2012 r. stwierdził lider trzeciego co do wielkości wówczas klubu w polskim Sejmie, nieco wcześniej oficjalnie prawa ręką Donalda Tuska w Platformie, nadal używany wszakże przez premiera do działań w swojej awangardzie walki z „przeszłością”, którą trzeba wyburzyć. Tak, to był Janusz Palikot, ten sam, który wcześniej mówił, że trzeba Jarosława Kaczyńskiego zastrzelić i wypatroszyć, a dzień po wygranych przez swojego przyjaciela, Bronisława Komorowskiego, wyborach prezydenckich, a trzy miesiące po tragedii smoleńskiej wezwał do sprawdzenia, czy poprzedni prezydent Lech Kaczyński był trzeźwy podczas lotu do Katynia. Wzór awangardy nie tylko politycznej, lecz także moralnej. Palikot był i pozostał doskonałym rzecznikiem obozu postępu. Mówi otwarcie, co inni mają na myśli, ale jakoś nie mają jeszcze śmiałości powiedzieć. Nadal tę rolę odgrywa, choćby przez szczerze ogłoszoną na swoim blogu w styczniu tego roku deklarację, że tylko kłamstwem, i to tysiącrotnie powtarzanym, można wygrać z PiS wybory. „Potrzebna jest konsekwencja, nawet najbardziej absurdałna” – w powtarzaniu kłamstwa.

Tutaj właśnie dochodzimy do sedna: tylko kłamstwo nas wyzwoli! To są strategia i cel razem połączone. Chodzi bowiem o emancypację. Emancypacja ma wyzwolić od tego, co zniewala. Tych, którzy czują się zniewoleni, a nawet tych, którzy nie wiedzą jeszcze, że są zniewoleni, ale trzeba jednak ich wyemancypować.

Szczytny cel wyzwolenia od polskości, drobnomieszczańskiej kultury i przesądów moralnych, związanych z fatalnym dziedzictwem religii (zwłaszcza chrześcijańskiej) – to uzasadnienie metody. Każdej metody, byle była skuteczna. „Patriotyzm jest jak faszyzm” – długo przed konwersatorium „Dialog i Przyszłość” to właśnie hasło ogłosiła główna trybuna emancypacji tego kraju od Polski. Polskość – systematycznie prowadzona do epitetu „endeckości” (Mickiewicz – endeck!, Malczewski – endeck!, Chopin – przynajmniej w mazurkach i polonezach – endeck!), z historią zredukowaną do zbrodni w Jedwabnem i dziejów pańszczyźnianego wyzysku – musi budzić obrzydzenie. Jej związek z chrześcijaństwem jest oczywiście związkiem najbardziej toksycznym, coś jak pierwiastek – trafnie nazwany przez europejską chemiczkę – polon.

Dzisiaj sztandar walki o emancypację podejmują nowe siły. Na zmianę Januszowi P. przychodzi Marta L., zdolna krzyczeć głośniej i doprowadzić do gabinetu przewodniczącego Tuska w Brukseli nową nadzieję na ostateczne wyzwolenie polskiej peryferii od „nienormalności”. Przyjdą następni i następne zmienniczki. Rzucone będą do walki o lepsze jutro. Na pewno. Zadanie postawione na posiedzeniu sztabu emancypacji jest nadal, a nawet coraz bardziej aktualne. Ma je wykonać władza, która wreszcie zajmie miejsce hamującego ten proces PiS. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Polsce majówka. Moja rodzina spotyka się z tej okazji na dorocznym zjeździe w leśniczówce u jednego z naszych kuzynów. Wcześniej w tym samym miejscu leśniczym był jego ojciec, a mój wuj. Za czasów wuja spotykaliśmy się nielegalnie, czyli tak jak teraz. Wtedy był stan wojenny, teraz też jest, tylko się inaczej nazywa. Wtedy był zakaz zgromadzeń i teraz jest (co chwilę wprowadzają i znoszą). Wtedy wsadzali za niezgodę z władzą i teraz wsadzają. Wtedy to się nazywało „internowaniem”, teraz nazywa się „kwarantanną”. W obu przypadkach człowiek niewinny mógł być bez wyroku osadzony PREWENCYJNIE w przymusowej izolacji. Tak, tak – wiem – są różnice, ale moim zdaniem ISTOTA jest ta sama: odebrano nam przymocą wolność, ograniczono swobody obywatelskie.

I wtedy też istniał ten sam podział na dwie zwalczające się grupy. Istniał w całym społeczeństwie i w mojej rodzinie. Jedni popierali władzę, drudzy mieli jej dość. Jedni popierali Solidarność, drudzy komunistyczny reżim Jaruzela. Dzisiaj są kowidianie i antykowidianie.

Nie wiem, czemu rozsądni ludzie popierają nierozsądne reżimy (w tym sanitarne). Nie wiem, czemu rozsądni we wszystkich innych sprawach ludzie zostają wyznawcami jednej władzy oraz jednej doktryny i reagują agresją na argumenty strony przeciwnej. Ja jestem w stanie posłuchać kowidiana i odpowiedzieć na jego argumenty swoimi, ale on nie jest w stanie zrobić tego samego dla mnie. Zatyka uszy, argumentacja logiczna



FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. KRZYZANOWSKI

ODWAŁ SIĘ!

ani naukowa do niego nie przemawiają, bo oni ich nawet nie chce wysłuchać.

Na miejscu Lichockich i Morawieckich bym się wprosił do programu Pospieszalskiego i skonfrontował swoje koncepcje z koncepcjami ludzi, którzy uważają maski za medyczną bzdurę, lockdown za medycznie szkodliwy, a szczepionki, owszem, niech se będą. Ale czemu zakazujecie podawania leków? Wyzwałbym ich na pojedynek. Jeżeli koncepcje kowidiańskie są lepsze, to się w debacie obronią. Skoro zaś odpowiedzą na argumenty antykowidianów są knebel i kopniak, to... Znaczy, że Lichocka-Morawiecka nie ma argumentów rzeczowych, a jedynie siłowe – zawiesić ten program, bo szerzy sprzeciw wobec mojej władzy jedynie słusznej. Oni mówią, że szerzy ciemnotę i podważa dobre działania rządu. Odpowiedzią na ciemnotę powinna być oświata, a nie kopniak i pała. A działania rządu, jeśli są naprawdę dobre, nie dadzą się skutecznie podważyć, czyli niech sobie „foliarze” gadają, co chcą, bo się ośmieszają i nikt Pospieszalskiego nie będzie chciał dalej oglądać – sam

spadnie, nie trzeba go będzie zdejmować siłą.

I w tym miejscu doszedłem (po raz kolejny) do przekonania, że Z GŁUPKAMI NIE WARTO ROZMAWIAĆ. Szkoda oddechu na ortodoksyjnych wyznawców sekty Morawieckiego czy doktryny rządu. Kowidian nie przekonasz argumentem naukowym, a jedynie dadzą ci w mordę, zamkną kolejną pływalnię i tak dalej.

W USA jest podobnie – tam też są wyznawcy kowidianizmu i reszta, która bezskutecznie podaje argumenty. Kowidian nawet dowody EMPIRYCZNE nie przekonają, bo oni zamknęli na argumenty – już wybrali swoją sektę i tyle.

Przykład Florydy i Kalifornii jest dowodem empirycznym i eksperymentalnym na poparcie tezy, że lockdown przynosi skutki fatalne. W Kalifornii trup ściele się gęsto, a na Florydzie nie. Klimat ten sam, tu ocean i tam ocean, populacja prawie identyczna wiekowo i rasowo. Floryda od kwietnia 2020 r. otwarta i prowadzi się tam normalne życie. Szkoły, imprezy sportowe, rozrywka, knajpy, plaże – wszystko otwarte i sam

decyduję, jak bardzo chcesz się wystawić, lub nie, na wirusa. Do kowidian ten przykład nie przemawia, bo oni zamknęli na argumenty. I możesz w Kalifornii oraz w Nowym Jorku dostać w mordę za brak maski na pysku. Nie od władzy, ale od innego obywatela. Idziesz sobie po Manhattanie i jeżeli nie masz maski, to zostaniesz zaatakowany – ktoś na ciebie nawrzeszczy. Kowidianie zaatakują jak komsomolcy.

Na szczęście Ameryka to nadal miliony ludzi wolnych, żyjące obok milionów ludzi już zniewolonych umysłowo. Te miliony wolnych to potencjał i siła oporu. Jest też w Ameryce inercja systemu, którego założeniem są (były) wolności obywatelskie – rozpędzony w roku 1776 potencjał. Wdrukowane w głowy Amerykanów zasady „We the People” – my, naród, mamy pewne niezbywalne prawa dane nam od Boga, nie od rządu, nie od władzy, nie od króla, ale od Boga. Więc żadna władza państwowa, ani rząd, ani nawet król nie mają nam prawa odbierać tych praw, bo one nie od nich pochodzą i nie do nich należą, lecz do nas. Takie myślenie obowiązujące prawie od 250 lat powoduje, że ludziom jest łatwiej kwestionować zarządzenia władzy – łatwiej niż w krajach, gdzie nie ma takiej tradycji wolnościowej. Czyli w USA łatwiej niż w Polsce postawić się publicznie kowidianom.

Na ten nasz doroczny zjazd rodzinny zakupiłem paczkę koszułek popularnych na Manhattanie.

Idziesz ulicą i ktoś na ciebie wrzeszczy, że nie masz maski. Na to pokazujesz mu napis na koszulce: „Fuck off – I am vaccinated”. Polska wersja byłaby taka: „ODWAŁ SIĘ, CIULU – JE-STEM ZASZCZEPIONY”. Bardzo dobra koszulka – pozbawia drugą stronę argumentów rzeczowych. Trzeba tylko uważać, bo ze złości nadal mogą się na ciebie rzucić z pięściami. ©©

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE PAKIET KSIĄŻEK RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA

„JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO”
„MICHNIKOWSZCZYŻNA”
„MYŚLI NOWOCZESNEGO ENDEKA”
„POLACTWO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

289,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 540 zł

~~829 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl e392e076fe



PGNiG

marka godna zaufania

Odpowiedzialność, wiarygodność, partnerstwo i jakość to filary naszego działania. Jesteśmy dumni, że świadczone przez nas usługi zostały docenione przez polskich przedsiębiorców, którzy przyznali nam tytuł Marki Godnej Zaufania. Dziękujemy za to zaszczytne wyróżnienie!

